

WIELKIE ŁOWY



A. DYGASIŃSKI

Gepüft und freigegeben 20. X. 1916. T. № 3185. Dr. № 16.

DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW W WARSZAWIE

ADOLF DYGASIŃSKI

WIELKIE ŁOWY

Z ILUSTRACYAMI

STANISŁAWA SAWICZEWSKIEGO



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ===== LUBLIN ===== ŁÓDŹ
KRAKÓW ===== G. GEBETHNER I SPÓŁKA



**INSTYTUT
LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. S-iat Nr 72
0 Warszawa
Tel. 20-58 53, 26-52-31 w. 42

SKŁADY GŁÓWNE:
POZNAŃ, KSIĘGARNIA M. NIEMIERKIEWICZA
NEW YORK, THE POLISH BOOK IMPORTING CO, INC.

680

W S T Ę P.

Człowiek walczy zawzięcie z różnemi siłami przyrody w tym celu, ażeby z ciężkiej pracy swojej osiągnąć korzyści jak największe. Szlachetnieje on w tych zapasach, uspołecznia się, wytwarza dobrobyt swój, moralność, naukę, sztukę. Łagodnieją jego obyczaje surowe, gdy z dzikiego włóczęgi-łowcy staje się patryarchą-pasterzem, z pasterza - koczownika — osiadłym rolnikiem-obywatelem. Pustynie nieurodzajne, bory dziewicze, zamieniają się w łany żyzne, szalasy i namioty koczowników—w chaty osadników, przywiązanych do ziemi, którą uprawiają w pocie czoła. W taki sposób powstają wsie, miasta — istne mrowiska pracy ludzkiej — wznoszą się świątynie, szpitale, szkoły, fabryki i t. d. Drogi lądowe i wodne krzyżują się, tworzą jedną wielką sieć na całej kuli ziemskiej, ułatwiają wymianę owoców pracy i bliższego poznania się, zbratania ludzi. Udoskonalenie, wykończenie tego

dzieła, prowadzi się przez wieki, gdyż pokolenia starsze powierzają swą robotę młodszym do załatwienia. Ciągłe naprzód postępujący rozpęd cywilizacji niema granic i nikt nie zdoła przewidzieć, jak daleko sięgną zwycięskie tryumfy człowieka nad przyrodą. Ale ileż to przeszkód trzeba zwalczyć, aby w każdym pokoleniu ludzkim zaznaczyć ulepszenia pracy, postęp, nowe kroki naprzód!

Przyroda przeciwstawia prądowi temu wysiłków ludzkich swoje siły, zdolne w nicosć obrócić w jednej chwili dzieło, mozolnie budowane przez długie wieki. Straszliwa ta groźba nie przeraża jednak nikogo, gdyż człowiek właśnie przeolbrzymie siły przyrody bierze pod swoje panowanie i rozporządza, jakby własnymi, w trudnej pracy. Zrozumiał, przeniknął czarodziejską niegdyś przyrodę, a przeto musi zwyciężyć. Cała ludzkość nowożytna, jakby jedna rodzina, zajmuje się dziś sprawą przeobrażenia starożytnego porządku na ziemi, zmienia go na nowy, który bytowaniu człowieka sprzyja pod każdym względem. Z wytrwałością niezmordowaną na każdym polu pracy zdobywa się twierdzą za twierdzą, a gdzie raz zatknięto sztandar postępu, zwycięstwa nad przyrodą, tam on już powiewa, utrzymany przez zastęp dzielnych rycerzy. Tryumfy, naturalnie, nie przychodzą darmo: zdobycie każdego prawie stanowiska wal-

czący muszą opłacać nietylko nadzwyczajnymi wysiłkami pracy, ale i ofiarami cennej krwi ludzkiej. Żyjący w czasie teraźniejszym zawsze pracują i giną dla dobra tych, którzy będą żyli w przyszłości. — Człowiek nowożytny walczy wprawdzie pod takim samym hasłem „naprzód“, jakiem niegdyś posługiwały się hordy barbarzyńców, szeroko niosących grabieże po świecie. Dzisiaj jednak przyświeca mu idea przyszłości, o wiele, wiele wyższa nad cele korzyści chwilowych, zawsze samolubnych. Pod tem hasłem bowiem rzucają się w świat zwarte szeregi misjonarzy świętobliwych, żeglarzy, wykształconych geologów i innych badaczy przyrody, etnologów i inżynierów, geografów i t. d. Za nimi idzie, uzbrojony w energię, cierpliwy i pracowity rolnik, przemysłowiec obrotny, kupiec mądry. Lasy, nietknięte siekierą, pustynie, od stworzenia świata leżące odłogiem, niedostępne góry i skały z przepaściami, strumienie, rzeki, jeziora ogromne, niemające łożysk stałych, zamieszkałe przez potwory straszliwe — oto są wielkie szkoły, w których człowiek nowożytny kształci się, hartuje wolę swoją wśród niebezpieczeństw na każdym kroku. Giną jedynie słabi, nieudolni, ograniczeni. Należy więc działać dzielnie, mądrze. Człowiek nowożytny dopiero staje się prawdziwym królem, panem przyrody, jeżeli ją pokonywa. — Osadnik opuścił kraj rodzinny

przeludniony, nie znajdując w nim pola pracy i warunków utrzymania się z rodziną. Kiedy się teraz rozpatruje w swej nowej ojczyźnie, widzi naokoło sąsiadów, którzy czyhają wrogo nie tylko na jego pracę, ale i na życie. Często-kroć spotyka on tu bliźnich, pozostających w stanie dzikości pierwotnej, i trzeba ich od-pierać siłą, ponieważ wszelkie inne porozumie-nie się jest niemożliwe. Liczne zwierzęta dra-pieżne dniem i nocą otaczają spokojną zagrodę, chciwe łatwej zdobyczy, jaką im przedstawiają trzody osadników.—Walka człowieka z dzikimi zwierzętami, współmieszkańcami ziemi, jest od-wieczna, a kres jej nieuchronnie musi być taki: zachowanie lub oswojenie gatunków użytecz-nych, wyłączenie szkodliwych. Ludzkość nie po-wróci już nigdy do tych starych czasów, kiedy tygrys i krokodyl odbierały cześć religijną. — Zamiarem moim jest właśnie przedstawić obraz walk, które człowiek stacza z olbrzymami staro-byłego porządku przyrody.



LEW.

<http://rcin.org.pl>

L e w.

Sąsiedztwo potężnego króla zwierząt, który potrzebuje dużo mięsa, aby zaspokoić głód, naraża człowieka na straty dotkliwe i zmusza do zawziętej walki z krwiożerczym rozbójnikiem. Ośadnicy i podróżnicy europejscy biorą nie mały udział w krwawych zapasach z monarchą pustyń afrykańskich. Było to na obszarze jednego z południowo-wschodnich dopływów Nilu, a w roku 1861 — opowiada sławny S. Baker, podróżnik angielski. — Zastrzeliłem był raz na polowaniu bawoła, z którego zaleciłem zdjąć skórę, a szkielet i nieco mięsa porzucić, jako przynętę dla lwów, gęsto uwijających się po okolicy, a trudnych do wykrycia z powodu gąszczów ciernistych. Słyszeliśmy w nocy ryki lwie, rozlegające się na wszystkie strony, o świtanu zaś widzieliśmy liczne tropy naokoło obozu. Niebawem przyzwałem Hassana, Tahera i Hadzi-Alego, Arabów, którzy nosili za mną nabite karabiny, i skierowałem się w stronę, gdzie położono szczątki zabitego bawoła. Z przy-

nęty tej nie zostało ani znaku. Tylko na ziemi wszędzie widniały odciski stopy lwiej i przytem ślad bardzo wyraźny, wskazujący, że lew powłókł w zarośla resztki bawoła. Ślad ów na nieszczęście biegł z kierunkiem wiatru, musiałem więc okrążyć znaczny kawałek drogi i z innej strony przeciskać się w gąszcze dopóty, dopóki woń padliny nie wskaże mi jej położenia. Lew — myślałem — niedaleko stamtąd musi przebywać. Wszedłem w zarośla, napomniawszy służących, aby postępowali za mną w bliskości. Karabiny do zmiany były mi tembardziej potrzebne, że wyborna moja broń była jednostrzałowa. Posuwałem się cichutko, ostrożnie, pełzając, jak wąż w trawie, przemykając wśród cierni, spoglądając baczenie w około, a palec — zawsze na cynglu. Łaziliśmy tak z pół godziny, zanim poczułem ławą do rozpoznania woń mięsa, które się psuć zaczyna. Odwróciłem teraz głowę, na migi dając do zrozumienia towarzyszom, że prawdopodobnie jesteśmy już blisko celu i potrzeba wymaga, abym miał strzelby na pod ręczu. Podwoiłem ostrożność, usiłowałem nie zdradzić się najmniejszym szmerem. Naraz zabrzmiał ryk straszliwy w pobliżu i kiedym spojrział, zobaczyłem tuż poza krzewem, gdzie czołgałem, o jakie trzy kroki, ciało lwicy. Liście zakrywały mi głowę zwierzęcia, a niewiele brakowało, abym jej dotknął końcem lufy kara-

bina. Była to chwila bardzo poważna. Złożyłem się, mierząc pod łopatkę, wypaliłem. Ryk nie dający się opisać, ogłuszył mię najzupełniej, potem nastąpił jakiś szalony skok, od którego krzaki straszliwie zatrzeszczały... Znowu ryk nadzwyczajny, i oto lew potężny zajął miejsce lwicy, a wyglądał jakby zdziwiony tem wszystkim, co słyszał. Utkwiłem wzrok w to zwierzę straszne i wspaniałe, a wyciągnąłem rękę za siebie po inny karabin, gdyż byłem bezbronny. Lew ciągle stał w tem samem miejscu, zwracał łeb w kierunku wiatru, widocznie pragnął zwęszyć nieprzyjaciela. Pysźnie, okazałe wyglądał z tą swoją gęstą grzywą, z postawą zuchwałą, wyzywającą. A tu jakby na złość nie podają mi karabina! Obejrzałem się za siebie: moi pomocnicy leżeli powolnie w odległości pięciu kroków. Rzuciłem im groźne spojrzenie, pokazałem pięść zaciśniętą. Taher wyrwał karabin z rąk Alego, sunął, aby mi go podać; teraz i Hassan zawstydzony ręczo pomknął ze swoim. Cóż z tego, kiedy lwa już nie było! Nigdy nie straciłem na polowaniu sposobności równie pięknej z powodu tak błahego. Ślubowałem sobie, że odtąd nigdy nie będę już polował na grubą zwierzynę o jednym naboju w ręku. Nie było atoli czasu na rozmyślenia, gdyż narzucało się pytanie: gdzie jest ta lwica, do której strzeliłem? Wziąłem teraz karabin o dwóch na-

bojach i zacząłem nasłuchiwać. Po chwili wydało mi się, że słyszę coś, jak gdyby mruczenie w niewielkiej odległości. Taher z szablą wzniesioną i z tarczą w drugiej ręce — innego oręża nigdy nie używał na polowaniu — przetrząsał gęstwinę chrustów, ja zaś podpełzłem w stronę, dokąd mię ucho wiodło. Stała się rzecz niesłychana: rozległ się ryk lwi, potem słyszałem odgłos skoku gwałtownego, wszystko blisko, a nic nie widziałem i nie mogłem strzelać. Teraz mruczenie stłumione dało się słyszeć wyraźnie; przyczajony pełzałem w kierunku tego szmeru. Jakoż niezadługo ujrzałem przed sobą wspaniałą lwicę, rozciągniętą w trawie: umierała od kuli otrzymanej. Gryzła z wściekłością łapę, darła ziemię pazurami. Odległość pomiędzy nią a nami wynosiła jakie dziesięć metrów. Chciałem się przekonać, czy może powstać i dałem znak pomocnikom, aby rzucili na nią kilka bryłek ziemi. Odpowiedziała na to rykiem głuchym, więc zakończyłem jej cierpienia wystrzałem w głowę. Moja pierwsza kula przestrzeliła tę lwicę na wylot. Zasadzałem się potem w noc księżycową o dwadzieścia kroków od założonej przynęty i wyczekiwałem cierpliwie; ale tylko hyeny przychodziły, szybko uprzętały mięso, a nie opłaciłoby się do nich strzelać. Obfitość mięsa z różnej zwierzyny w obozie naszym sprawiała, że tłumy drapież-

ników krążyły po nocach wokoło, a były tam i lwy i inne mięsożerne włóczęgi. Aż jednej nocy lew przesadził wysoki częstokół i wtargnął do naszego obozu, ale służący wypłoszyli go krzykami i głowniami rozpalonemi. Zbudzono mię natychmiast, wybiegłem uzbrojony w strzelbę; cóż, kiedy niepodobieństwem było strzelać przez gęste ogrodzenie. Dopiero nazajutrz przyzwałem Hassana i Alego, którzy—surowo zgromieni za opieszałość w podawaniu nabitych karabinów na przeszłym polowaniu — przyrzekli iść za mną bodaj w ogień. Pod tym warunkiem powierzyłem im strzelby i ruszyliśmy na wyprawę. Cały dzień przeszedł bezużytecznie, nałożyłem się tylko po trudnych do przebycia zaroślach. Ponieważ wyszedłem z zamiarem polowania na lwa, przeto nie strzelałem ani do bawołów, ani do antylop, chociaż mi się nastęczały. Słońce zaszło, więc wracałem do domu z strzelbą na ramieniu, już to przebywając małe polanki, już torując sobie drogę przez cierniste gęstwiny. Wtem poblizki ryk lwa wezwał mię do bacności. I oto okazały król zwierząt powstał za naszym nadejściem. Stał, jak posąg, na polance, a uchem łowił szmery, gdyż chrósty zasłaniały nas przed jego okiem. Złożyłem się w mgnieniu oka i strzał huknął. Lew wykonał skok konwulsyjny i zwałił się, padając na grzbiet. Zanim zdołał powstać z upadku otrzy-

mał drugą kulę. Teraz już wyszliśmy na polankę. Hassan podał mi karabin nabity, a Taher z szablą w garści stanął przy moim boku. Ranny zwierz szalał z wściekłości; rycząc przeraźliwie i mrużąc, rzucał nam swoje groźby i robił wysiłki, aby nas dosięgnąć. Był bezsilny, powłóczył zad za sobą, z czego wniosłem, że kula strzaskała mu biodro. Kręcił się niespokojnie, to znowu upadał, powstawał, zgrzytał zębami, darł pazurami ziemię. Czaszka człowieka pękłaby, jak skorupka jaja, w tych pazurach potężnych. Ponieważ noc zapadła, uważałem za właściwe wrócić do biwaku, tembardziej, że trzecia kula nie była już tu potrzebna.

Rano, skoro świt, w towarzystwie prawie całej służby, zabrawszy silnego wielbłąda, wybrałem się na poszukiwanie wczorajszej zdobyczy. Dosiadłem swego wierzchowca Tetela, który złożył już niejedyn dowód dzielności myśliwskiej, ale dziś chciałem go postawić wobec lwa i zrobić próbę jego odwagi. Przybywamy na miejsce, gdzie się wczoraj odbyła rozprawa krwawa, ku wielkiemu zdziwieniu nie znajdujemy ani śladu lwiej kłęski. Chyba to było inne miejsce?... Jakże się tu zmiarkować, gdy wszystkie polanki są podobne do siebie, niby krople wody? Ha, niema rady, trzeba przetrząsnąć zarośla! — „Jest, jest!“ — zawołał nagle Hadzi Ali. — „Oto tutaj leży martwy!“ — Spodziewałem się

tego z pewnością i pociągnąłem razem z innymi w kierunku wskazanym. Atoli przybycie nasze powitał ryk przerażający. Rzekomo martwy lew przysiadł z grzywą najeżoną, spojrzął na nas oczyma, w których błyskawice świeciły, i w krótkich a głębokich rykach rzucał nam wyzwanie. Prawdziwy pan tych pustyń! Do ostatniej chwili życia zdradzał namiętne pragnienie walki: wyrażały to ruchy gwałtowne, wysiłki szalone ciała, dotkniętego niemocą. Tetel odznaczył się tego dnia przedziwnem męstwem. Wielbłąd uciekł przy pierwszym ryku lwa, służący się rozbiegli; mój wierzchowiec skoczył w bok, ale potem dał się powodować i szedł prosto na mocarza pustyni, który w odległości dwudziestu kroków miotał się w najwyższej niecierpliwości. Zatrzymałem konia przed straszliwym zwierzem. W miarę mego zbliżania się, lew zdwajał wściekłość, mruczał ponuro i groźnie, a w koniu utkwiał wzrok piorunujący: był groźny, umierając. Pogłaskałem Tetela, zachęcałem dobrem słowem. Spoglądając bacznie na lwa, zjeżył grzywę, jął chrapać, jednak nie zdradził najmniejszej chęci do odwrotu. „Dobrze, dobrze, Tetel“ — rzekłem, dodając mu głosem odwagi, a przytem głaskałem go ręką, lekko pobudzałem ostrogą, cuglami. Wolno, krok za krokiem, ale stanowczo, postępował ku wściekłemu lwu, który go ciągle wi-

tał mrukiem strasznym. Znowu przystanąłem teraz o sześć kroków. Prawdziwie godny podziwu obraz: ten koń z odwagą nadzwyczajną wobec lwa rozwścieczonego! Tetel przecież nie wiedział, że zwierz jest bezwładny i nie może wykonać skoku. Miałem dosyć tej próby, opuściłem lejce. Koń zrozumiał o co chodzi i stanął, jak skała: wiedział, że zamierzam strzelać. Wymierzyłem w głowę, kula zakończyła męczarnie rannego zwierzęcia.

Jesteśmy w tej okolicy Sudanu wschodniego, gdzie grunt poczyną przechodzić w krainę stepową. Na wschodzie błękitnieje w oddaleniu pasmo gór i stamtąd płynie węzłem strumień, wrzynający się w ziemię głęboko; w około, jak sięgnąć okiem, równina usiana tu i owdzie wzgórkami. Gęste, kolczate zarośla krzewią się na tych wzgórzach i ich pochyłych uboczach, a u stóp wzgórzy porastają aloesy i podobne do kaktusów rośliny mleczwate. Ponad rzeczką las trzcin, traw ogromnych. Koczownicze plemię Beduinów żyje tu w namiotach, znajdując dostateczną paszę dla trzód swoich. Z pni i gałęzi mimozy zrobiono płot, niby wał gruby na trzy stopy, wysoki na stóp dziesięć, a najeżony powszędy kolcami ostrymi. Otoczono nim przestrzeń taką, ażeby trzoda w tej zagrodzie, zwanej seriba, mogła mieć na noc wygodne schronienie. Słońce stoczyło się właśnie za widno-

krąg, trzodę zawarto w seribie. Noc rozpościerała czarny płaszcz nad ziemią i siała ciszę. Ruch życiowy ustawał zwolna w spokojnem domostwie Araba. Jeszcze tylko owce-matki przyzywały bekiem jagnięta, krowy wydojone z pomrukiem kładły się na ziemię, a psy czujne biegały naokoło, przystawały, zdawały się łowić uchem zgiełki w oddaleniu. Naraz któryś z psów szczeknął, poskoczył i w mgnieniu oka wszystkie inne popędziły za nim, zniknęły w mroku nocy. O jakie sto kroków od zagrody słysząc odgłosy walki zaciętej, wściekłe ujadanie psów, przerywane rykiem ochryplym, złośliwym. Skończyło się to niebawem i psiarnia, poszczekując tryumfalnie, wraca na swe stanowisko. Odbyła się właśnie rozprawa bardzo dobrze tu znana: hyena okrążała siedzibę, ale musiała pierzchnąć po krótkiej utarczce z walecznymi strażnikami trzody. Prawdopodobnie nawet lampart nie miałby lepszego powodzenia w pobliżu seriby. I znowu nastaje cisza, spokój nocy zalega naokoło. Tylko kozodoje, jakby duchy, lekkuchnym lotem mkną ponad trzodą uśpioną. Już teraz i psy, powarkując za najmniejszym szmerem, pozwijały się w kłębki i zasnęły, chociaż nieprzyjaciel zagrody niech bynajmniej nie dowierza temu ich snowi. Przeszła już tak godzina trzecia w nocy, kiedy nagle rozległ się odgłos taki, jak gdyby ziemia

zagrzmiała: to lew ryknął. Ten ryk, rzetelny wyraz olbrzymiej siły lwa, przyprawia wszystkie zwierzęta o utratę przytomności. „Roznosiiciel trwogi“ zapowiedział swoje polowanie monarsze. Arabowie twierdzą, a bezpodstawnie, że lew zapowiada się okolicy przez trzykrotne ryknięcie, ostrzegając zwierzęta, aby mu schodziły z drogi. Teraz w seribie zrobił się popłoch nadzwyczajny: owce rzucają się w strachu na płot ciernisty, kozy beczą jękliwie, bydło bezładnie zbite w kupę, tłoczy się i wydaje ryk trwogi, wielbłąd przerażony miota się z ogromnym zgietkiem, chciałby się wyrwać i uciec, gdzie oczy poniosą, psy, zawsze gotowe do zapasów z hyeną i lampartem, wyją teraz żalostnie, chroniąc się pod opiekę pana. A gospodarz, właściciel trzody, zwątpił we własne siły i drży w namiocie, bo przecież się nie odważy, uzbrojony w lancę, stawić czoła przemożnemu nieprzyjacielowi i bezbronny musi patrzeć, jak „dusiciel trzód“ zbliża się coraz bardziej i bardziej. Straszna para oczu już świeci w ciemności, jakby dwie pochodnie. Lew dotarł do seriby. Odсадził się na zadzie, susem potężnym przeskoczył płot ciernisty. Zamęt, nie dający się opisać, zapanował wśród ogłupiałych z przestachu zwierząt domowych: zdaleka słychać ponure mruki i ryki trwogi, łoskot tupania i tłoku całej gromady. Tymczasem król straszliwy go-

spodaruje, jak w domu własnym: jednym uderzeniem potężnej łapy zwałił z nóg piękną jałowicę, zgruchotał jej silną szczęką kręgi i, mrużąc gniewnie, legł na swym łupie. Oczy jego żarzą się, iskrzą, ogon niespokojnie rozbija powietrze. Pozostawił chwilę czasu na skonanie swej ofierze, poczem znowu ją pochwycił w szczęki i zabiera się do odwrotu. Zatrzeszczał płot u wierzchu, kiedy oń zawadziła ofiara, uniesiona w lwim skoku, a potem rozległ się głuchy odłos spadłego na ziemię ciężaru lwa i jego łupu. Ludzie oglądali rano, przy świetle dziennem, dół w piasku wytłoczony przez to spadnięcie, widzieli także, jakby bruzdę, wyoraną przez wleczoną jałowicę, aż do miejsca, gdzie król zwierząt odprawił ucztę. Człowiek płaci ogromną daninę ze swego dobytku strasz-nemu „dusicielowi trzód“, jak go zwaą Arabi. Obliczono, że w Afryce północnej, w jednej prowincyi Konstantyny, koszta tego haraczu dla jednego lwa wynoszą rocznie tysiąc pięćset rubli. Po inne lata i w innej prowincyi, na jednego lwa wypadało przeciętnie sto sześćdziesiąt sześć sztuk mniejszych i większych zwierząt domowych. Że zaś życie lwa oblicza się przeciętnie trzydzieści pięć lat, więc wyżywienie go kosztuje około dwunastu tysięcy rubli w samych tylko zwierzętach domowych. Z tego wynika, że kraina zamieszкана przez pięćdziesięciu

takich „dusicieli trzód“ łoży na ich utrzymanie sześćset tysięcy rubli. Wysokość tych strat obliczona na pieniądze maleje, ma się rozumieć, w miarę tego, jak się przenosimy z krain wyższej uprawy rolnej do wnętrza Afryki, gdzie ludność prowadzi wyłącznie pasterski sposób życia. Szkody, wyrządzane w trzodach osadników przez lwy i inne drapieżce chciwe na mięso, dlatego są tak wielkie, że zwierzęta domowe stanowią zdobycz o wiele łatwiejszą, niż dzikie. Człowiek rozciąga troskliwą opiekę nad swym dobytkiem, zaspakają wszystkie jego potrzeby, a w razie niebezpieczeństwa osłania i broni mężnie z narażeniem własnego życia. To też zwierzęta, przyswojone i udomowione, nie będąc w konieczności pamiętania o sobie na każdym kroku, łagodnieją, zatracają sposoby samoobrony. Lew wie doskonale, że zwierzę dzikie jest nadzwyczajnie przezorne, czujne, podejrzliwe, wiatronogie. Musi on wyteńczyć cały swój lwi rozum, jeżeli powodzenie ma uwieńczyć jego łowy. Przedewszystkiem poluje tam, gdzie zwierzyna zgromadza się licznie: na obfitych pastwiskach, a lepiej jeszcze przy źródłach i strumieniach, w których zwierzęta przywykły gasić pragnienie. Zasadza on się tam albo podchodzi, na brzuchu pełzając pod wiatr, ażeby zdobycz spodziewana nie zwietrzyła woni wroga śmiertelnego. Łowy takie prowadzi nie-

raz samowtór, gdyż „co dwaj, to nie jeden“. Trzeba znać to życie zwierząt, dziko żyjących w stepach Afryki środkowej lub południowej. Jest ono ciężkie, pełne groźnych niebezpieczeństw, które ćwiczą i hartują dziecko przyrody w trudnej walce o utrzymanie bytu. Owe zapasy, nieustające ani w dzień, ani w nocy, dają gazeli naukę mądrości zwierzęcej i kształcą ją w sztuce ucieczki z szybkością nieporównaną. Mądrość stworzeń jednego gatunku nie wystarcza częstokroć, aby ująć podstępnej zasadzki wygłodzonego lwa lub lamparta. Wtedy strusie, żyrafy, antylopy przerozmaite, zebry, bawoły, zawiązują między sobą jakby przymierze obrony wspólnej na wspólnem pastwisku. Długoszycja żyrafa spełnia tu obowiązki czatownika, który z wysokiej wieży może ogarnąć wzrokiem daleki widnokrąg. Jeszcze lepiej wywiązuje się z tego zadania struś, gdyż jego piękne oko posiada zadziwiającą siłę bystrości. Jeżeli on porwie się, pierzcha, stanowi to hasło ucieczki powszechnej. Więc też król zwierząt chociaż jest chytry, silny, potężny, a groźny, doznaje jednak na łowach częstych zawodów, niekiedy zaś spotykają go i przygody osobliwe. Zdarza się, jak opowiadają, że głodny uderza na gromadę tych antylop, *antidorcas euchores*, które ciągną w stadach, liczących po kilkanaście tysięcy głów. Porwany w środek szalonym

pędem masy, która się nie myśli zatrzymać, ze wszystkich stron party i popychany, nie mając żadnego punktu wyjścia, musi mimowolnie gonić i gonić przez wiele mil, a to go wyczerpuje i pozbawia apetytu. Krajowcy i podróżnicy opowiadają także o bardzo przykrych dla lwa zajściach z bykami gatunku *bubalus caffer*, przed którym ludność miejscowa zna uszanowanie większe, niż przed słoniem. Wobec tego wszystkiego, o ileż łatwiejsze są łowy na zwierzęta domowe, tak spokojne, łagodne, nieprzeczuwające zasadzek podstępnych i niezdolne do ucieczki!

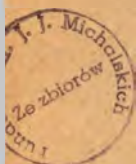
Minął dzień skwarny, w którym promienie słońca, niby rozpalone żelazo, zdają się wypalać mózg w czaszce, szpik w kościach. Po tych znojach straszliwych, kiedy się noc chłodna zbliża, wszelkie stworzenie żywe gorąco pragnie i poszukuje napoju. Garną się do strumienia antylopy, żyrafy, bawoły, zebry. Ale one się nie tłoczą beładnie, jak bydło trzód ludzkich, byle dopaść wody: przezorność niemi kieruje i świadomość, że tam, gdzie sobie obiecują wiele zadowolenia, przyjemności, czeka na nie zapewne niebezpieczeństwo najgroźniejsze. Przewodnicy gromady bystrzy, doświadczeni, ogromnie czujni, postępują na czele i wzrokiem, węchem, słuchem badają, czy niema jakiej zasadzki. Nie stawia się tu żadnego kroku bez na-

leżytej rozwagi. Antylopy są po największej części tak przezorne, że zawsze pod wiatr zbliżają się do wody. Wódz ich na czele ciągle przystawa, patrzy, baczy, wietrzy. Nagle zawraca i już pędzi jak strąła, a za nim całe stado w susach, podskokach, sadzi ponad krzewami, kępami traw, i znika w stepie bez granic. Wyśmukłe gizele, jak gdyby drwiły z zawodu, który spotkał właśnie na łowach monarchę zwierząt, pozwalają sobie w ucieczce swawolnych wybryków i bywa nieraz, że w rączym pędzie jedna przez drugą przesadzi. Mądre zebry i żyrafy zbliżają się do wody w podobny sposób. Bo biada zwierzęciu, jeśli na jedną chwilę zapomniało o zwykłych środkach ostrożności i, aby tylko co rychlej ugasić pragnienie, za wiatrem pobiegło do strumienia! Jedno mgnienie oka wystarcza na jego zgubę. Przytrafia się jednak i to w chwili stanowczej, że skok napasći lwiej chybia, a wtedy napastnik nie ściga już zdobyczy, nie ponawia skoku; powoli krok za krokiem wraca on do zasadzki, skąd skoczył, i wygląda tak, jak gdyby odmierzał przestrzeń, potrzebną do wykonania skoku z powodzeniem.

W świecie zwierzęcym lew spotyka wprawdzie godnych siebie przeciwników, jednakże z nimi nie potrzebuje żyć na stopie wojennej. Dopiero człowiek, który nazwał lwa królem

zwierząt, a właściwie sam ma prawdziwie królewską władzę nad wszystkimi zwierzętami, wypowiedział lwu wojnę zagłady. Nie trudno zaś przewidzieć kresu tej wojny: przejście olbrzymiego mocarza do rzędu gatunków zaginionych. Zanim to jednakże nastąpi, walka długo jeszcze będzie się srożyła, a dzieje jej zapiszą szereg zwycięstw człowieka i niejedną porażkę krwawą. Pójdźmy na plac boju, przyjrzyjmy się jeszcze lepiej tym zapasom. Ciemny i zabobonny wyznawca proroka w Afryce środkowej szczerze wierzy, że najskuteczniej obroni swój dobytek od napaści lwów, jeżeli za pieniądze kupi sobie u fakira stosowną jaką sentencję, wypisaną z Koranu, i przybije to u wejścia do seriby. Atoli wiara, choćby najgorętsza, ma bardzo małe znaczenie w takich razach. Lwy trzeba zabijać. Jesteśmy w okolicach gór Atlasu. Pojawił się oto lew, który wśród plemienia Beduinów szerzył przestrah nadzwyczajny. Nietylko jego ryki napełniały obawą serca skądinąd dzielnych mężów, ale i odwiedziny często się powtarzające, przybrały charakter bardzo zatrważający: zwierz był uosobieniem „roznosiciela strachu“ i „dusiciela trzody“. Arabowie, nie widząc końca i miary napaści zuchwałego rabusia, zebrali się nareszcie na naradę wojenną i uchwalili wałą wyprawę, to jest postanowili stoczyć bitwę z nieprzyjacielem. Wszyscy zdolni do noszenia oręża

stawili się nazajutrz rano w punkcie zborym i bez zwłoki czasu podążyli ku zaroślom, gdzie lew miał kryjówkę. Szyk wojenny składał się z trzech szeregów, ustawionych jeden za drugim. Ci, którzy stanowili szereg naczelny, mieli obowiązek wywabienia zwierza na plac boju. Arab uważa lwa jako wojownika i sądzi, że ten rycerz mocno bierze do serca wszelką obelgę słowną, uwłaczającą czci jego. Więc mężowie pierwszego szeregu, stosownie do tradycyi i zwyczajów starożytnych, przekazanych przez przodków, jęli wyzywać nieprzyjaciela do boju zelowymi słowy: „Gdzie jesteś psie podły i psi synu? Pokaż swe męstwo, łotrzel! Czekamy na ciebie, dusicielu trzód i nędzniku! Wystąp, synu szatana i rozbójniku! Nocny włóczęgo i nikczemniku! Ha! drzyj, złodzieju podły i wyrzutku piekła! Dalej-że, ukaż się w dzień jasny, ty opryszku, który masz noc za przyjaciółkę! Cóż to, nie jesteś widać taki odważny, za jakiego się przedstawiasz! Nabierz odwagi, tchórze marny! Prędejj-że, daj pole mężom śmiałym, synom dzielności, przyjaciółom wojny!“ — Te wyzwania i obelgi nie dokuczały widocznie królowi pustyni, nie wywierały nań żadnego wrażenia: zachowywał się spokojnie i cicho w swoim ukryciu. Poczęto więc strzelać w gęstwinię, nie oszczędzając prochu i ołowiu. Teraz cierpliwość wyczerpała się już u wielkiego mocarza, może



która z kul gwizdnęła mu zbyt blisko nad uchem. Zatrzęsły się chrósty, jak od burzy: ryk straszliwy rozdarł powietrze; lew ruszył z legowiska i w jednej chwili stanął naprzeciw nieprzyjaciół, gotów do boju. Ryknął powtórnie, opuszczając gąszcze, z groźbą i gniewem spoglądał płomiennymi oczyma. Powitano go okrzykami dzikimi. Szedł krokiem miarowym, ze spokojem, godnym swej postaci i zdawało się, że od niechcienia tylko bije ogonem boki. Obrzucił napastników wzrokiem, jakby nieco zdziwionym. W mgnieniu oka huknęły strzały z szeregu pierwszego, a jednocześnie szereg drugi już się przygotował do nowych wystrzałów. Raniony olbrzym wydał ryk przeraźliwy i jak piorun poskoczył naprzód. Łatwo było ocenić, że drogo sprzedać zamierza swe życie. W dwóch potężnych susach wpadł na wrogów i prędzej, niż to opowiedzieć można, zwałił jednego z nich na ziemię, podesał go sobie pod stopy. Ale spostrzegł popłoch, ucieczkę, porzucił pierwszą ofiarę i runął za uchodzącymi. Zbroczony krwią własną i nieprzyjacielską, dyszący zemstą nieubłaganą, z szybkością błyskawicy spadł na kark innego przeciwnika. Mruczał teraz gniewnie, a szarpał swą ofiarę tak, że słychać było, czy to zgrzyt zębów jego, czy łamanie kości nieprzyjaciela. Zachnął się raz jeszcze na prawo, może sobie upatrzył nową ofiarę, ale obfity

uptyw krwi osłabił go widocznie i kiedy stał chwiejny, padło kilka strzałów. które położyły kres jego życiu. Podskoczył w górę, padł z głuchym mrukiem. Jeden z ranionych przezeń Arabów czwartego dnia umarł w męczarniach, drugi postradał prawą rękę. Polowanie na lwa, urządzone przez Arabów, rzadko obywają się bez przelewu krwi ludzkiej. Znamy inny opis takich łowów, które miały miejsce w Nubii południowej. W bliskości miasta Berber nad Nilem pojawił się był lew, który siał trwogę w okolicy, pobierając nieustannie uciążliwy haracz w bydło z miast i wiosek przyległych. Stan taki trwał przez kilka tygodni, aż nareszcie pokrzywdzeni mieszkańcy sprzykrzyli to sobie i postanowili pozbyć się szkodnika. Urządzono więc polowanie, w którym szesnastu junaków wzięło udział, a między nimi tylko czterej uzbroili się w broń palną, pozostali zaś mieli za cały oręż lance. Ów zastęp podążył pewnego dnia rankiem ku gąszczom boru dziewiczego, gdzie, jak wiadomo, lew się zwykle ukrywał, ile razy unosił zdobycz porwaną. Śmiałkowie bez żadnych przygotowań wstępnych uderzyli od razu na legowisko drapieżnika, który, nie będąc przywykły do odbierania takich odwiedzin, wyszedł na przeciw gości ogromnie zdziwiony. Jak tylko się ukazał, natychmiast czterej strzelcy przyjęli go ogniem z rusznic, a następnie oszczep-

nicy odważnie poskoczyli ku niemu. Skaleczony w wielu miejscach lew, nie otrzymał jednak żadnej rany śmiertelnej, a przeto rzucił się i zapalczywie uderzył na napastników. Teraz stała się rzecz godna uwagi: zwierz, jakkolwiek poraniony, okazywał przedziwne umiarkowanie. Najbliższego tylko, który się nawinął, uderzeniem łapy powalił i zranił dość ciężko. Ale zaraz potem przystanął, zdawał się namyślać co ma robić. Wtem występuje zuchwale jakiś junak i śmiało naciera z nastawioną lancą. Zanim jednakże zdołał zadać cios swoim orężem, już go lew zwałił z nóg takim samym uderzeniem łapy i znowu przystanął, nie okazując wcale zwykłej w takich razach wściekłości. Myśliwi na widok niepowodzenia już-już mieli powierzyć nogom swoje ocalenie i zostawić na polu bitwy dwóch powalonych towarzyszków. Lew dostawał właśnie napadu wściekłości: ryknął i zaczął gwałtownie wydrapywać pazurami ziemię. Naraz wrywa się młodzieniec, uzbrojony, niezależnie od lancy, w grubą i długą pałkę, podchodzi do lwa z istnie szalonym zuchwalstwem, i uderza go tym drągiem w łeb między ślepie. Cios silny musiał ogłuszyć, oślepić olbrzyma, gdyż się zatoczył, jak pijany i upadł. Śmiałek poskoczył co tchu i dopóty walił zwierza pałką, dopóki nie wygnał z niego ostatniego tchu żywota. Arabowie jednak rzadko

kiedy wypowiadają lwu wojnę otwartą, zakłócając mu spokój w legowisku, a tem samem zmuszając go do przyjęcia bitwy. Wiedzą oni bardzo dobrze, na jakie niebezpieczeństwo narażają ich łowy tego rodzaju. Hassan już od kilku dni z powagą i właściwym sobie spokojem umysłu bada tropy lwie na piasku, uważnie rozpatruje drogę, po której król zwierząt wychodzi nocą z legowiska na łowy. Kiedy ten człowiek rozważny zbadał już wszystko, zabrał się następnie do kopania dołu w niewielkiej odległości od linii, przez lwa wydeptanej. Dół w ziemi mógł mieć jakie sześć stóp głębokości, był szerszy u dołu, a zwężał się ku górze. W jasną noc księżycową spokojny Hassan wziął swoją długą rusznicę i wlażł do dołu, gdzie sobie przedtem już był przygotował wiązkę gałęzi, któremi teraz nakrył otwór dołu. Czatował tutaj cierpliwie z głową wychyloną ponad dół o tyle, ażeby oczy mogły widzieć, co się dzieje wokoło. Jednakże noce upływały, a lew nie ukazywał się na tej drodze. Cierpliwy Hassan wiedział, że „dusiciel trzód“ chadza różnemi drogami, ale przyjdzie nareszcie taka noc, a z nią kolej i na tę drogę. Dopiero czternastej nocy ciemnej, około północy, spostrzegł z daleka dwie latarnie pałających oczu, które sunęły prosto w kierunku dołu. Hassan jest mąż waleczny, a przecież na widok lwa serce biło

mu mocno w piersi; słyszał wyraźnie te uderzenia i zwierz może je także posłyszał, gdyż nagle przystanął, widocznie coś zwietrzył usiłując. Chwila była tak dobra, jak tylko można sobie życzyć. Arab złożył się, wypalił. Ale w ciemności strzał nigdy nie jest pewny i lew tym razem otrzymał tylko ranę. Ryk wściekły rozległ się w głuszy nocnej, leciał daleko po okolicy. Zwierz miotał się, jak szalony, a nie widząc zdradzieckiego wroga, rozrzucał wokoło łapami piasek, kamienie, wrywał razem z darnią, zdierał z drzew korę zębami i pazurami. W tych płasach, podskokach rozszalałej wściekłości znalazł się w pobliżu dołu z zasadzką, skąd wypadł strzał nowy, teraz już celniejszy. Masa ogromnego ciała runęła z ponurym mrukiem na ziemię, tchnienie życia ulatywało z niej wśród drgań i głuchych stęków. Pewny swego, Hassan, wylazł teraz z dołu, rozniecił suty ogień, obwinął się w burnus, usiadł na ziemi i z oczyma utkwionymi w zdobycz, oczekiwał świtania.

Milczenie nocy zakłócał od czasu do czasu jęczący głos hyeny, krążącej wokoło i dalekie, a posępne naszczekiwanie szakala. Do tych zwierząt Arab nie strzela. Promienie wschodzącego słońca zalewały purpurą i złotem rąbek nieba, kiedy się dźwignął Hassan i z spokojem niewzruszonym pociągnął w stronę swego

duaru. Napotkał po drodze źródło, nad którym przykucnął, dopełnił umywań, przepisanych przez religię, odmówił pobożnie modlitwę dziękczynną, poczem krokiem już śpieszniejszym szedł dalej. W domu pokrzepił się naprędce posiłkiem, napojem, a potem zabrał z sobą osła i wrócił do lwa zabitego, którego należało teraz przewieźć do miasta. Tutaj rozpoczyna się historia tryumfu Hassana, gdyż wieść o czynie jego znakomitym jak na skrzydłach już obiegła naokoło. Kiedy więc znowu przybył do swego duaru, powychodzili z namiotów mężowie, kobiety, dzieci, a wszyscy witali go jak bohatera. Posypały się liczne przemówienia, którym towarzyszyły nieodłączne przy takich okolicznościach wystrzały z rusznic. Zastawiono ucztę godową, ażeby zwycięzca pokrzepił siły do odbycia dalszej podróży. Hassan naprzód wiedział, co go oczekuje i przyjmował hołdy należne spokojnie, poważnie, jak przystało na męża chrobręgo. Po skończeniu uczy, niektórzy przyjaciele, wielbiciel, rwali się, aby mu towarzyszyć do miasta i oto miał już swój orszak. Na drodze, wiodącej ku miastu, znajdowały się inne duary, z których występowali Arabowie, a każdy pięknemi słowy wychwalał wielką waleczność męża i ogromną siłę lwa pokonanego. Jaki taki przyłączał się dobrowolnie do orszaku, który wzrastał coraz bardziej, im bliżej było

do miasta. W mieście całe towarzystwo zatrzymało się przed tak zwanem biurem arabskiem, gdzie nasz bohater wstąpił, ażeby odebrać z rąk zwierzchnika nagrodę, przepisaną prawem. Rząd francuski płacił pierwotnie za zabicie lwa sto franków; kiedy atoli krajowcy poczęli się oddawać temu polowaniu na równi z przybyszami europejskimi, obniżono nagrodę do pięćdziesięciu franków. Teraz wypłacono Hassanowi pieniądze niezwłocznie i następnie orszak pociągnął przed kwaterę generała dowodzącego wojskiem, miano bowiem nadzieję, że wódz ten za ofiarowaną skórę lwia, wywdzięczy się jakimś okazałym podarunkiem. Ale generał posiadał już tyle skór, rozdał za nie tak wiele podarunków, że dzisiaj uczcił tylko Hassana przemową ciepłą, jako męża niepospolicie walecznego. Zwycięzca i tem się zadowolił, poczem podążył z towarzyszami do garbarza, który po długich targach kupił skórę za sto dwadzieścia franków. Nie dość na tem: teraz mnóstwo ludzi, pochodzenia europejskiego, tłoczyło się, jak do jatki, aby rozkupić mięso, i chętnie płacono pół franka za funt lwiny. A tak, Hassan zarobił przeszło siedemdziesiąt pięć rubli, nie licząc sławy, której wartość nie daje się wyrazić w pieniądzech.

Arabowie w górskiej krainie Atlasu często łowią też lwa w doły głębokie na

piętnaście łokci. Widziałem to raz na własne oczy, opowiada głośnej sławy poskramiacz lwów, Juliusz Gerard. Okazały lew, podczas swej nocnej wyprawy, wpadł do takiego dołu. Kiedy wczesnym rankiem wieść się o tem rozeszła, tłumy ludzi śpieszyły, aby oglądać jeńca i wrzawa ogromna powstała około dołu! Król zwierzęt, podstępnie złowiony, stał spokojnie, jak gdyby chciał w niewoli okazać godność monarchszą i dumę. Tłum rzucał mu zewsząd obelgi, łajania szpetne, raził pojmańca rzucanymi z góry kamieniami, błotem, kijami. Zarzucano zwierzęciu podłość, tchórzostwo, złodziejstwo i urągano wśród pośmiewisk bezsilności jego. Kobiety w tem zdarzeniu składały dowody najszeptniejszych uczuć okrucieństwa, dzieci wyrażały bezmyślnie barbarzyństwo wstrętne, mężowie, przynajmniej niektórzy, zdawali się rozumieć, kto jest ich jeńcem i milczeniem szanowali gorycz niewoli olbrzyma. Nareszcie, zwierzę oplwane, spowiewierane w sposób przynoszący hańbę rodzajowi ludzkiemu, zakończyło żywot od licznych wystrzałów. Potem zarzucono mu powróż na szyję i wywleczono z nieszczęsnej jamy.— „Spłonąłem rumieńcem upokorzącego wstydu na widok czynów, które popełniali przy tym dole moi bliźni“ — mówi dzielny i szlachetny Francuz. — „Najbardziej jednak zabołało mię i obraziło moją godność ludzką to, że na lwa już

martwego, po wydobyciu go z dołu, posypały się pociski nowe z rąk niewieścich“. — Gerard polował zwykle z zasadzki i na przynętę z kozy żywej, przywiązanej do drzewa. Pamiętając zawsze, że człowiek cywilizacji powinien dawać barbarzyńcom przykład męstwa rzetelnego, nie zniżył się nigdy do zasadzki ukrytej w dole, ani do czatowania wśród konarów drzewa. Spotykał on nieraz lwa oko w oko, a nigdy mu ręka nie zadrżała z przerażenia, kiedy mierzył w czoło lub serce olbrzyma. Był to także lew w swoim rodzaju. Wysoka dzielność, odwaga nieustraszona tego człowieka, prawdziwie nowożytnego, wywierały wrażenie ogromne na umysły pół-dzikich wyznawców proroka, którzy ostatecznie musieli uczcić niewiernego Franka, jako bohatera, pół-boga. Do rzędu myśliwych tego samego pokroju należy Szkot, Gordon Cumming, który przez pięć lat podróżował po Afryce południowej i tylko, jako myśliwy. Nie potrzeba tu chyba dowodzić, że męstwo jest jedną z cnót najpiękniejszych, zdobiących rodzaj ludzki. Z powodu owej cnoty, ludzkość po wszystkie wieki kocha i wielbi licznych bohaterów. Szkołą, w której się dziś kształci męstwo człowieka, są zapasy myśliwskie z olbrzymami państwa zwierzęcego, będące jakby odbiciem owych mitów o walkach z nienawistnymi potworami, w dziejach młodzieńczej jeszcze

ludzkości. Przytoczymy tu łowy, na których myśliwy własnowolnie stawił czoło potężnemu królowi zwierząt.

W okolicach gór Smoczych mieszkał chłop holenderski. utrzymujący się głównie z tego, co mu przynosiło polowanie na słonie. Może o milę angielską od jego siedziby lew założył był sobie legowisko. Zwierz znajdował tam spokój niczem niezamącony i wodę; przeto miejscowość dobrze się nadawała na pobyt dzienny, na wypoczynek po doznanych trudach wypraw nocnych myśliwskich. Nasz chłop przekonał się rychło, że ma sąsiada bardzo niebezpiecznego. Pewnej pięknej nocy lew zapowiedział się w osadzie z odwiedzinami, odstraszyło go jednak ujadanie psów bardzo zaciętych. Zato przybył w noc następną i już bez względu na psy uniósł z zagrody wołu. Strata mocno dotknęła chłopca, który jak tylko jasny dzień nastał, zrobił wyprawę z psami, przekonany, że mocno zaniepokoi, a może i wypłoszy z zarośli dokuczliwego szkodnika. Doznał zawodu ciężkiego. Cztery najdzielniejsze psy śmiało dotarły do kryjówki lwiej, ale już nie wróciły do domu, gdyż przypłaciły życiem swoje zuchwalstwo. A lew zaraz najbliższej nocy wtargnął do zagrody, pozbawionej już strażników czujnych i tym razem zabrał gospodarzowi bardzo cennego konia. „Oo, źle!”—pomyślał osadnik, którego wszystkie

te straty popychały do działania szybkiego i stanowczego. Jakoż nie namyślał się długo, zarzucił na ramię dubeltówkę i poszedł z mocnym postanowieniem w duszy, że tak, jak był, sam jeden, zajrzy w oczy nieprzyjacielowi. Kiedy wszedł w zarośla i przebył nie więcej nad pięćdziesiąt kroków, spostrzegł kości i inne szczątki niedojedzonego swojego konia. Doświadczony myśliwy zmiarkował od razu, że lew, stosownie do swego zwyczaju, musi mieć legowisko niedaleko od miejsca, gdzie odprawiał ucztę ostatnią. Przyczaił się więc, zasiadł, jak tylko mógł najwygodniej, gdyż od tego zależało zachowywanie się bez szelestu najmniejszego i spokojne rozpatrywanie stanu rzeczy naokoło. Nasłuchując teraz, rozglądając się uważnie na wszystkie strony, spostrzegł niebawem, że w odległości jakich dwudziestu kroków, wśród roślin szerokolistnych, porusza się jakiś przedmiot. Wpatrzył się w ów punkt całą siłą natężonego wzroku i po chwili ujrzał głowę lwia, wyzierającą z liści. Ta głowa również z wielką bacznością zwracała oczy, a uszy nastawiała w kierunku, gdzie myśliwy czatował. Zwierz, ma się rozumieć, zauważył już był szmer czyichś kroków, ale nie był dostatecznie pewny, skąd się to coś zbliżało. Myśliwy w zasadzce stał się teraz słupem martwym: ani drgnął, ani tchu z ust nie wypuszczał. Nie mógł on dać się

unieść gorączce, ponieważ na linii strzału krzyżowały się rozmaicie liczne gałęzie i gałązki, tworząc jakby siatkę. A tu chodziło przecież o strzał pewny, niezawodny. Ułynęły najmniej ze trzy minuty, a dla naszego strzelca trzy długie godziny. Nareszcie lew, jak gdyby zadowolony ze swoich spostrzeżeń, opuścił głowę i złożył ją na łapach poza krzakami. Strzelec cichuteńko odwiódł kurki, a strzelbę powoli, z ostrożnością nadzwyczajną, nakierował w stronę, gdzie lew spoczywał. Oprócz tego, zmienił przezornie położenie swoje na tyle, ażeby sobie zapewnić możność dobrego strzału. Szmery, sprawione przez te czynności, jakkolwiek bardzo nieznaczne, nie uszły bacności czujnego zwierza, który teraz powstał i ukazał swoje czoło szerokie. Nie można było wyczekiwać dłużej; myśliwy wziął na cel i strzelił..

Cóż, kiedy zgórował, jak się to nieraz zdarza przy strzałach na małą odległość, a przy silnych nabojach prochu. Wprawdzie lew zwałił się na grzbiet, ale natychmiast powstał, podskoczył i wydał ryk, od którego mniej otraskanemu strzelcowi skóra na ciele cierpnie. Nasz myśliwy nie odejmował strzelby od twarzy i z zimną krwią czekał na sposobność, aby strzał poprawić. Jakoż niebawem lew się odsonił, w tej chwili otrzymał drugą kulę w piersi i wśród walk konania całym ciężarem padł na

ścianę gąszczu. Słońce jeszcze nie skryło się za góry, a już skóra lwa wisiała rozpięta na drzwiach chaty osadnika. Inny Holender, osadnik w Afryce południowej, doświadczył przygody z lwem bardzo osobliwej. Pewnego dnia wypadło mu zająć się naprawą wozu, a pracę tę załatwił na tyłach chaty. Żona jego siedziała w izbie, blisko drzwi otwartych, oddana zupełnie jakiejś robocie ręcznej, obok niej zaś dzieci bawiły się swobodnie. Ni stąd ni zowąd, w biały dzień, lew ogromny staje w drzwiach chaty. Popatrzył przez chwilę na mieszkańców izby, a następnie położył się spokojnie w cieniu na progu. Kobieta skamieniała z przerażenia na ten widok, nie śmiała poruszyć się z miejsca, a dzieci poskoczyły co tchu z okrzykiem garząc się do matki. Ów krzyk właśnie zwrócił uwagę ojca, który też natychmiast porzucił zajęcie i pobiegł zobaczyć, co się stało. Jakież było zdziwienie gospodarza domu, kiedy z oddalenia jakich dziesięciu kroków, ujrzał wejście do swej chaty zagrodzone przez tak niespodziewanego strażnika! Lew, prawdopodobnie zajęty rozpatrywaniem wnętrza siedziby ludzkiej, wcale nie widział osadnika, który na miejscu zawrócił i wiedząc, że przez lwa nie można przeskoczyć, podążył ku przeciwległej ścianie domu, gdzie było okienko innej izby. Okoliczności złożyły się nadzwyczajnie szczęśliwie.

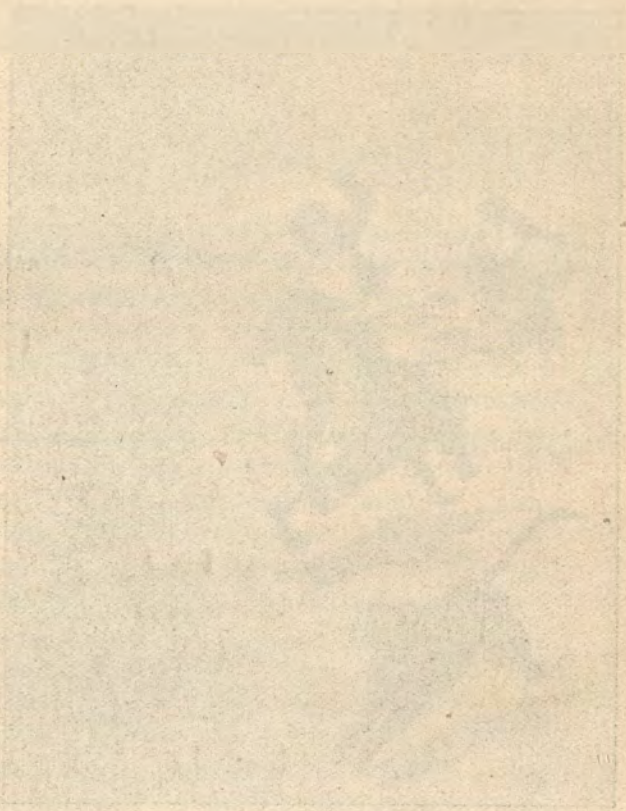
Przedewszystkiem, gospodarz, sięgnawszy ręką przez okienko, zdołał wydobyć strzelbę nabitą. Następnie, drzwi tej drugiej izby stały otworem i tak na przestrzał, że przez okienko łatwo było przejrzeć na wskroś całe groźne położenie w izbie następnej. Właśnie lew zrobił jakieś poruszenie niespokojne: może go krzyki dzieci rozdrażniły; gotował się do skoku. Bądź co bądź, osadnik mniemał, że już niema chwili do stracenia. Złożył się, wymierzył w czoło, między straszliwie pałające ślepia i wypalił. Kula gwizdnęła, przeleciała tuż około czupryny chłopczyka, stojącego przy matce, a trafnie widać ugodziła w cel, skoro lew, jak leżał na progu, tak pozostał w miejscu nieruchomy.

Jaguar.

Ameryka ma także swojego wielkiego kota, a jest nim jaguar, który nie gardzi mięsem żadnego ze zwierząt kręgowych, tylko, że fauna Ameryki nie posiada tej siły, jaka się znamionuje na lądach Starego Świata; więc jaguar nie wytrzymuje porównania z lwem i tygrysem. Chociaż mniej silny, chociaż dzikość jego nie posiada owego, że tak powiem, majestatu grozy, jest on jednak dostatecznie potężny i straszny dla człowieka. Głównie Ameryka południowa jest ojczyzną jaguara; ale człowiek biały, siejący zboże, wróg wszelkich łowców, ogranicza go i wypycha coraz natarczywiej, podobnie, jak bliźnich swoich czerwonoskórych. Jaguar napada trzody bydła rogatego, konie, muły i chętnie wyprawia sobie z nich ucztę. Woły dorosłe i konie umieją jednak mężnie stawić czoło rabusiowi i z powodzeniem odeprzeć jego napaść, o ile jaguar w pierwszym skoku nie powalił któregoś trupem na ziemię. Są okolice,



JAGUAR.



gdzie zwierz ten godzi zuchwale na ludzi, przyczem, jak powiadają, przekłada Murzyna, Indyanina lub Mulata nad Białego. Raniony, wpada w wściekłość i wtedy bywa bardzo niebezpieczny. Indianie polują nań w sposób bardzo pierwotny, który ma jednak tę zaletę, że nigdy nie zawodzi. Robią oni dmuchawkę z bambusu, a z żyłek liści palmowych, albo z cieniutkich cierni, wyrabiają strzałki drobne, delikatne, podobne do małych igiełek, i napuszczają je gwałtownie działającą trucizną. Indianin, który posiada zwinność i podstępność kota, a umie pełzać, prześlizgiwać się w trawach, jak wąż, zbliża się niespostrzeżony do zwierzęcia na taką odległość, ażeby strzałka wydmuchnięta niezawodnie dotarła do celu. Puszczają swoje pociski zdradliwie jeden za drugim, nie sprawiając najmniejszego szelestu. Kiedy te szpileczki padają, niby kolki ostów, jaguar wcale na to nie zważa, gdyż kolą go mniej dotkliwie, niż ciernie aloesu; przytem wydaje mu się, że je powiew wiatru strząsa nań z traw lub krzewów. Ale już w kilka minut przekonywa się, co za straszne następstwa są owych pozornie niewinnych igiełek, które człowiek tak podstępnie i okrutnie wbił mu w ciało. Trucizna bowiem działa bardzo szybko; członki zwierzęcia omdlewają niebawem, siły opuszczają je coraz więcej, zjawia się, jakby senność, nieprze-

parcie ubezwładniająca. Zwierz dostaje drgawek, które nim wstrząsają, podrzucają. Porywa się nagle, usiłuje podskoczyć, biegnąć. Nie, straszliwa niemoc krępuje, nie pozwala na żadne ruchy własnowolne, i tętno życia zanika wśród drgań, męczarni konania. Tak działa ów oręż, dmuchawka i szpileczka, który z pozoru wygląda, jakby przeznaczony na zabawkę dla małych dzieci. Jest to sposób podstępny, który wymownie świadczy o charakterze okrutnym dzikiego łowcy. Poco narażać swoje życie! skoro trucizna spokojnie zwali z nóg wroga. Sposoby takie łowieckie skrytym sztychem, zdają się pochodzić od węzów jadowitych i żmij, które człowiek pierwotny podpatrzył i z powodzeniem naśladował. Atoli Indyanin, jako łowca, zdobywa się także na odwagę w boju otwartym i posuwa ją do zuchwalstwa w stopniu najwyższym, a jednocześnie zachowuje przytomność umysłu i zimną krew rycerza nieustraszonego. Przedstawimy tutaj mianowicie inny sposób polowania na jaguara. Myśliwy starego stylu właśnie się uzbraja na wyprawę. Naprzód, z pomocą przyjaciela, owinął sobie lewą rękę, precz poza łokieć, skórą baranią, dobrze wysuszoną, twardą, którą utwierdził przez liczne wiązadła, tak, że ręka stała się prawie sztywna. Teraz uzbroił prawicę w nóż obosieczny, długi na łokieć, przyzwał dwa psy bardzo cięte i ruszył na

łowy w te lasy traw, trzcin, krzewów różnych, które rosną tak bujnie na poręczach w Ameryce południowej. Zaczęło się polowanie. Już oto psy zwietrzyły jaguara, naszczekują, ujadają niecierpliwie, jak gdyby przyzywały pana swego; a umieją one unikać zamachów przeciwnika i utrzymać go jednocześnie w osaczeniu. Kroki pośpieszne dają się słyszeć w zaroślach chrzęszczących i wnet myśliwy staje na placu bitwy. Nie unika on wcale przeciwnika groźnego, bo już i jego psy nacierają zniecierpliwionego, podrażnionego. Owszem, zbliża się do jaguara i zwyczajem rycerzy starożytnych, rzuca mu wyzwanie, miota nań obelgi znieważające, wykonywa ruchy, które nieprzyjaciela pobudzają do gniewu, drażnią. Zwierz, doprowadzony do wściekłości, rzuca się na człowieka, a czyni to zawsze, wspinając się w górę, jak niedźwiedź. Chwila ta ma w zapasach znaczenie najgłówniejsze. Teraz bowiem człowiek z całą zimną krwią przedstawia jaguarowi, jakby do uścisku, lewicę wyprężoną i owiniętą w skórę, a równocześnie ręką prawą w mgnieniu oka zadaje mu cios śmiertelny w serce. Psy już bezpotrzebnie rzucają się na ubezwładnionego i zatapiają mu kły w szyi. Jeszcze daleko pierwotniejszy sposób polowania polega na tem, że myśliwy wszczyna walkę z jaguarem, ufny jedynie w swą siłę i zręczność, a nie

używa nawet żelaza ostrego. Przed takim Indyaninem ma się chęć schylić głowę z uszanowaniem, gdyż zręczność, siły fizyczne, choćby największe, nicby tu nie znaczyły, gdyby w sercu męża brakowało męstwa. W tym razie człowiek również owija mocno lewą rękę w skórę baranią, ale prawicę uzbraja w pałkę zwyczajną z drzewa twardego i idzie potykać się z jagua-rem. Przebieg zdarzeń na tem polowaniu odbywa się mniej więcej w takim samym porządku, jak poprzednio. Zwierz wspina się w górę, wydaje mruk przeraźliwy, a ślepie jego pałają wściekłością. Teraz Herkules, w nowem wydaniu, nadstawia drapieżnikowi rękę lewą, a wraz maczugą w prawicy razi go z takim dzielnym rozmachem, że mu przetrąca kolumnę pacierzową. Na powalonego i uniedołęźnionego w ten sposób, szybko potem spadają ciosy pałki, godząc już w nos, już w czoło, dopóki ostatni dech żywota nie uleci z ciała. Pewien podróżnik i przyrodnik opisuje zajmująco polowanie na jaguara w Paragwaju. Trzej myśliwi wybrali się jednego dnia na wyprawę łowiecką, której celem był jaguar. Każdy z tych myśliwych miał inny rodzaj oręża. Jeden, strzelec zawołany, uzbroił się w dubeltówkę; oręż drugiego stanowiły widły żelazne, osadzone na tęgim drągu; trzeci dzierżył w ręku oszczep. Oprócz tego, towarzyszył im tuzin psów rostrych, a chętnych do służby myśliwskiej.

Na porzeczach Parany i Paragwaju jaguar nie jest zjawiskiem rzadkiem. Więc też psy, może po jakich dwóch godzinach poszukiwań gorliwych, wytropiły w zaroślach zwierza, widocznie jeszcze nieszczutego, gdyż nie umiał coś radzić sobie z psami i nie dał drapaka. Ten fryc, ufny w swoje siły, śmiało stawił czoło, chciał stoczyć bitwę z natrętnymi szczekaczami. Bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w boju otwartym, gdyby się wzięto, jak to mówią, za bary, nawet tuziny psów poniosłyby porażkę, walcząc z jaguarem. Psy naszych trzech myśliwych widocznie wiedziały, że zapasy z takim mocarzem nie do nich należą i, że mają zupełnie inne zadanie. One tylko obskoczyły zwierza wokoło, trzymały się bacznie w odległości należytej, aby nie przyszło do zatargu czynnego, a swoją drogą zaciekle oszcze kiwały nieprzyjaciela. Tylko jeden z nich, nowicjusz w rzemiośle, dał się unieść zapałowi wojennemu, podszedł bliżej, niż należało, i w jednym mgnieniu oka rozszarpany okrutnie, nie miał nawet czasu, ażeby żałośnie oskomlić cierpienie skonu. Niemniej pozostałe psy skwapliwie spełniały obowiązek, usiłując ciągle nie spuszczać z oka ruchów jaguara, którego niepokoilo, odurzało to szczekanie. A ile razy zwierz wyrwał się, wybiegł poza obręcz, już jedne psy dopadały go z tyłu tak, że musiał stawać do walki, odpę-

dzać napastników, inne zaś rozwijały się natychmiast w łańcuch oblężnicy. Powtarzało się to nieustannie. Jaguar, zniecierpliwiony i zacierzwiony, uganiał się już za tym, już za owym natrętem, a ciągle jakiś nowy następował mu na pięty. Więc rzucał się, miotał, tracił napróżno czas drogi i nie mógł wyrzucić zemsty. Psy już ochrypiły, zapienione, z językami wywieszonymi pełniły służbę, kiedy nareszcie nadbiegli ich panowie. Myśliwi przestąpili śmiało obręcz obławy; w trójce ich strzelec z dubeltówką zajmował miejsce środkowe i on to właśnie rozpoczął walkę, której ciąg dalszy przekazał widłom i oszczepowi. Huknęły dwa strzały; ale żadna z kul nie ugodziła widać w jakieś gniazdo życia i zwierz otrzymał tylko ranę, co dodało ostrogi jego wściekłości. Ranny, rozjuszony jaguar rzucił się na strzelca z rykiem groźnym. Ale, jak tylko wzniósł się na łapach tylnych i przednimi zamierzał dosięgnąć przeciwnika, już inny myśliwy nadstawił mu widły, a w tej samej chwili oszczepnik zadał w pierś lancą pchnięcie potężne. Padł, zerwał się, powstawał i znowu otrzymał pchnięcie. Teraz psy, jak gdyby zrozumiały, że przyszła kolej ich działania, opadły zwierza ze wszystkich stron i niby pijawki, spragnione krwi, przyssały się do jego szyi; dwa nawet wskoczyły na grzbiet i szczę-

kami wpijały się w kark jaguara.—Przypatrzmy się innemu rodzajowi łowów, które są bardzo powszechne w pampasach Ameryki południowej. Konni pasterze trzód, tak zwani gauchos, spostrzegli raz w pobliżu jaguara, o którego zamiarach względem bydła nie miano najmniejszej wątpliwości. Pasterze szybko się porozumieli, i ziemia wnet zagrzmiała pod kopytami ich koni rączych, pędzących jak wicher z grzywami i ogonami na wiatr rozpuszczonymi. Jeźdźcy w jednej chwili obskoczyli drapieznika, dokładając starań, aby przedewszystkiem odciąć mu drogę ucieczki w zarośla krzaczaste, gdzie pogoń na koniach byłaby niepodobieństwem. Zwierz zwrócił się ku równinom, pomykał w skokach nadzwyczajnych, z ową rącznością i lekkością, które znamionują tylko sprężyste ciało rodziny kotów. Dwaj gauchos, istne centaury, przygarbieni na szyjach koni, pędzą za nim, aż ziemia dudni i trawy z pod kopyt wylatują daleko w powietrze. Wokoło rozlegają się okrzyki dzikie. Te bieguny wiatronogie, z nozdrzami rozdętymi, wyciągnięte w pędzie jak struny, i ci jeźdźcy, gibcy z włosami rozwianymi, ze spojrzeniem jastrzębia, ścigającego zdobycz, ze straszną pętlą, świszczącą w powietrzu, wyglądają jak uosobienie burzy na skrzydłach której leci groźny anioł śmierci. Już jeden dopada jaguara, pochyla się i prze-

gina na koniu, w całym pędzie zarzuca pętlę, czyli lasso, na szyję dościgniętego zwierza. Jaguar poczuł obrożę morderczą, usiłował stawić opór, a wtedy pętla zaciesniała się tem bardziej, i trwoga śmierci ogarnęła dławionego rabusia. Wtem drugi gauchos dopada, zarzuca na zwierzę nową dusienicę, zwraca konia i pędzi w stronę przeciwną kierunkowi swego towarzysza. Tu niema już żadnej walki, jest tylko ofiara, udużona w sposób gwałtowny przez dwie siły, działające w kierunkach wręcz przeciwnych. Kiedy się rzemienie obu pętli wyprężyły i utworzyły linię prawie prostą, w środku tej linii widniał jaguar już bezwładny. Bywa i tak nieraz, że zwierz w ucieczce dopada do jakiegoś drzewa, na którym szuka schronienia przed pogonią. Atoli tem łatwiej dosięgnie go tam lasso, a siła konia nielitościwie zwlecze na ziemię, bo drugi koniec rzemienia pętli, przytwierdza się zwykle do popręgów na koniu. Właściwy mieszkaniec Ameryki Południowej, czerwonoskóry tuziemca, tak zwany Indianin, dziś jeszcze żyje tu po lasach, jak ongi, w epoce łowiectwa i rybołówstwa. Przybysze zaś, Hiszpanie i Portugalczycy, zdobywcy tych pięknych krain, przy pomocy niewolników czarnych, nie zdołali dotąd rozwinąć rolnictwa i życia osiadłego w całym znaczeniu tego słowa. Życie pasterskie odgrywa tu jeszcze wielką rolę,

a przeto i jaguar ma pobyt zapewniony na ogromnych przestrzeniach. Nadzwyczajna obfitość zwierzyny w lasach dziewiczych tej części świata sprawia, że sąsiedztwo jaguara nie daje się uczuwać zbyt dotkliwie, dosyć jeszcze rzadkim osadnikom rolnym. Drapieżnik znajduje i czerpie bardzo łatwo środki do życia z bogatej spiżarni przyrody, nie potrzebuje więc zaglądać do komory ludzkiej. Kiedy dopiero w porze deszczów woda pozalewa ogromne równiny, zamieni je w jedno niezmierne morze, wtedy jaguar, przyciśnięty głodem, zbliża się do miast, wsi i przez częste rabunki zawiadamia ludzi o swoim istnieniu. Podobnie, jak tygrys, jaguar jest pływakiem wybórnym; ale należy powątpiewać, czyby się ważył napaść zuchwale człowieka na wodzie, jak to czyni jego powinowaty azyatycki. Że napadnięty i podrażniony broni się mężnie w takim razie, o tem świadczy następujące zdarzenie. W którejś okolicy nad Parana, trzech marynarze, cudzoziemcy, spostrzegli raz, że jaguar z przeciwnego brzegu skoczył do wody i przepływa rzekę. Porwali czempredziej strzelby, wsiedli w czółno, postanowili zastąpić mu drogę. Napróżno jeden krajowiec, Paragwajczyk, ostrzegał śmiazków o niebezpieczeństwie. Podpłynęli i jeden z odległości pięciu lub sześciu stóp, zranił wystrzałem zwierzę-pływaka. Zanim teraz nasi marynarze

zdołali się spostrzedz, już jaguar położył łapy przednie na krawędzi czółna, które mocno przechylił.

Posypał się nań grad uderzeń silnych, bądź wiosłami, bądź kolbą strzelby; nic to nie pomogło, zwierz miał widać łeb twardy, wytrzymał razy zadane i wskoczył do łodzi zwycięsko. Junacy, przed chwilą jeszcze tak zuchwali, niebaczni na przestrogi, przerazili się nadzwyczajnie, potracili głowy i jeden za drugim powskakiwali w wodę. Jaguar spokojnie zasiadł w czółnie, które przebojem zdobył, wcale nie myślał ścigać pływaków, garnących się z pośpiechem ogromnym do lądu; wyglądał tak, jak gdyby chciał w całej pełni użyć owoców zwycięstwa, popływać sobie. Ale zajście spowodowało na brzeg gromadę ludzi, którzy krzykami, wystrzałami i różnymi pociskami, spędzili zwierzę z czółna. Trzej marynarze użyli tylko kąpieli przymusowej, a po doznanej przygodzie mieli miny nie tęgie, gdyż otrzymali wrażenie że jaguar z nich zadrwił.

Tygrys.

Tygrys jest królem zwierząt w Azji, podobnie, jak lew na lądzie Afryki. Przebywa on w tak zwanych dżunglach, to jest w gąszczach trzcin i traw bardzo wysokich; ale nie brakuje go także w lasach wysokopiennych. Wypoczywa najchętniej w cieniu rośliny korynty, której korona gęsta nie przepuszcza promieni słońca. Zwinny i szybki w ruchach, podchodzi zdobycz pełzając, włazi zręcznie na drzewa i pływa po mistrzowsku. Tylko słoń dorosły, nosorożec i bawoły mogą mu stawić opór dzielny, skuteczny. „Obwieszczono nam,—opowiada pewien podróżnik,—że w zaroślach trzcinowych ukrywa się tygrys. Pośpieszyłem więc bezzwłocznie, aby się połączyć z myśliwymi, którzy już postanowili uderzyć na zwierza i zaczepić go w legowisku. Słonie, przeznaczone do naszej wyprawy, oczekiwały przed bramą domostwa, a zaprawdę, miały one w tym dniu wiele do roboty. Jeden z tych olbrzymów dźwigał na sobie gro-

madę muzykantów, zaopatrzonych w różne instrumenta, brzmiały hałaśliwie. Innego obarczono bardzo bogatym zapasem ogni sztucznych, fajerwerków wybuchających, które miały zmusić tygrysa do opuszczenia kryjówki, w takim razie, gdyby sposoby zwyczajne nie wywierały nań wpływu. Jeszcze inne niosły na swych grzbietach namioty wygodne dla myśliwych w wieku starszym. Nareszcie te słonie, które miały służyć za fortecę dla ludzi najczynniejszych podczas boju, obłożono materacami grubymi, przymocowanymi do ciała zwierząt zapomocą tęgich popręgów. Każdy myśliwy miał przy sobie dwie strzelby i na wszelki wypadek, sztylet. Całość naszego pocztu myśliwskiego, sprawiała wrażenie wyprawy wojennej. Nadeszła chwila odjazdu: słonie opuściły się na kolana, ażeby nam ułatwić dosiadanie, a jednocześnie kornacy, uzbrojeni w kolce pobudliwe, zajęli miejsca na szyjach posłusznych zwierząt. Trzeba długo podróżować morzem, ażeby nabyć wprawę w trzymaniu pionowo swego ciała na okręcie, podrzucanym przez fale. Zupełnie to samo można powiedzieć o jeździe na słoniu. Kto nie przywykł do odbywania takiej podróży, ten doświadcza coś w rodzaju choroby morskiej i uczuwa mocne osłabienie we wszystkich stawach. Mielśmy naprzód do przebycia rzekę dosyć bystrą, głęboką. Słoń

mój skoczył wprawdzie odważnie do wody, ale wnet stracił grunt pod stopami i przez chwilę myślałem, że zginę marnie, nie używszy wrażeń polowania. Nawet materac, na którym siedziałem, był pod wodą, a ja widziałem przed sobą tylko głowę ciężkiego wierzchowca, który obwisłymi kłapami uszu, niby wiosłami, bił fale, a trąbę, jakby maszt, wznosił w górę. Chwała Bogu, dotarliśmy nareszcie do brzegu przeciwnego. Szczęście, że się ta przygoda skończyła tylko na kąpieli. Przybyliśmy wkrótce do lasu trzciniowego, gdzie się miał znajdować przedmiot naszych łowów. Muzykanci w tej chwili przyłożyli do ust instrumenta. Szereg myśliwski rozwinął się w linię bojową, i szliśmy do bitwy. Dobry kwadrans czasu upłynął, zanim odkryto ślady tygrysa. W kilka minut potem wystrzał z karabinu zapowiedział, że zwierz opuścił legowisko. I ja spostrzegłem go niebawem, widziałem jak zmierzał w naszym kierunku. My i strzelcy, usadowieni na słońcu sąsiednim, daliśmy ognia. Tylko jedna kula go dosięgła. Zraniony, zawrócił na miejscu i w mgnieniu oka przepadł w gęstwinie. Robiono teraz usiłowania, aby go wypłoszyć, ale szalone zgietki muzyki, wystrzały, wrzaski nadzwyczajne, pociski kamieni w gąszcze, okazały się bezowocne. Upart się i nie chciał opuścić schronienia. Teraz więc puszczono naprzód słońia z fajerwer-

kami i na na znak dany—rakiety, jakby długie węże ogniste, poleciały nad zaroślami.

Nieszczęśliwym trafem zajęty się dzungle w jednym punkcie i pożar począł ogarniać okolicę z szybkością nadzwyczajną. Jeden ze słoni, niespodziewanie zaskoczony przez płomienie, przystanął, jak skamieniały. Napróżno kornak wbijał mu kolce w szyję, zwierz ciągle stał w miejscu i rykiem przeraźliwym napełniał powietrze. Strzelcy, którzy siedzieli na nim, musieli zeskoczyć i szukać w ucieczce ocalenia przed pożarem. Już las trzcinowy zamienił się w morze płomieniste, a wystraszony stoń jeszcze nie opuścił stanowiska, niby przykuty do ziemi. Nagle wzniosł trąbę wysoko w powietrze i, bijąc swe ciało ogonem, jął w szalonych susach uchodzić z żaru. Skóra jego przypieczona wyglądała jak wapno. Trapiiony widocznie bólem srogim, skoczył gwałtownie w strumień i zanurzył się w wodę po głowę. Coś rozpaczliwego było w tych czynnościach jego. Kiedy wyszedł z wody, padł na ziemię i wydał jęki tak wzruszająco żałosne, że serce się krajało od słuchania. Po kilku minutach zakończył życie. A pożar srożył się, wzrastał nieustannie, płomienie czerwonymi językami zdawały się lizać niebo. Rozmaite zwierzęta dzikie, zamieszkujące w tych gąszczach, miały się rozpaczliwie, a na wszystkie strony słychać

było odgłosy trwogi. Węże z sykiem przeraźliwym wznosiły głowy ponad fałę ognia, ażeby odkryć jakie miejsce, wolne od duszących je płomieni. Również i tygrys usiłował wyrwać się z tego piekła dokuczliwego. Wskoczył z płomieni pod rzęsim ogniem naszych rusznic i, rzecz dziwna, nieugodzony, popędził na równinę z szybkością wichru; w tę stronę, skąd przybyliśmy. Bez nadziei, że go zdołamy dopędzić, puściliśmy się jednak za nim w pogoń. Kiedyśmy docierali do wsi, usłyszeliśmy grzmiące wystrzały, które nas wprowadziły na tor właściwy. Wnet też znaleźliśmy się wobec ściغانego tygrysa, którego właśnie kula chłopca powaliła. Leżał wyciągnięty, nieruchomy, i nikt nie powątpiewał o jego śmierci. Jeden ze strzelców dowodził uparcie, że przy pierwszych strzałach najniezawodniej dosięgnął zwierze kulą, a chcąc nas o tem wyraźniej przekonać, zbliżył się do zwłok w celu zbadania i obliczenia ran na martwym ciele. Wtem, dziwo niesłychane, nieżywy tygrys podnosi głowę, wstaje i przybiera taką postawę, jakby się gotował do skoku. Strzelec, jakkolwiek nadzwyczajnie zdumiony, miał tyle przytomności, że co tchu umknął i schronił się pod słońia. Wszyscy naśladowali ten dobry przykład, a słońie wyciągnęły w górę swe trąby i przybrały postawy bojowe, co nam dodało otuchy, a tygrysa zdało się przejmować

obawą. Jednakże ten strach tygrysa przed słoniami był widać nie wielki, czy też może trwał tylko krótką chwilę. Zwierz wyraźnie dawał do zrozumienia, że czuje w sobie pragnienie zemsty, a może go na jakiś czas powstrzymywało jedynie wahanie, na kim wyrzucić zemstę. Teraz zebrał ostatnie siły i w skoku wściekłym rzucił się na słonia z muzykantami. Usłyszeliśmy w tej chwili krzyk, jaki tylko jedna trwoga śmierci zdolna jest wyrwać z piersi ludzkiej. Tygrys pochwycił wściekłą paszczą nogę jednego z grajków, rozmiął ją w zębach, a człowieka zwałóknął na ziemię. Wtedy strzelec jakiś śmielszej natury, poskoczył rażno i silnym pchnięciem sztyletu zmusił napastnika do puszczenia ofiary krwią broczącą. Jednocześnie zachnęła się straszliwie i słon, który podczas napadnięcia na muzykanta otrzymał był ranę dotkliwą od pazurów tygryskich. Kiedy więc teraz nastęczała się chwila, podana do odwetu, skorzystał z niej słon, pamiętny swej krzywdy, owinał trąbą tygrysa i w mgnieniu oka, całą siłą olbrzymią, cisnął go wysoko w powietrze. Po tym upadku ciężkim, zwierz nie miał już tchu życia w sobie, tylko krew obficie broczyła z paszczy. Ale i nieszczęśliwy muzykant niedługo przeżył śmierć swojego wroga.

Ma i Azya swoich bohaterów na polu zapasów z drapieżnymi olbrzymami świata zwie-



TYGRYS.

rzęcego. Opowiadają, że Henryk Ramus w ciągu życia pokonał trzysta sześćdziesiąt tygrysów. W walkach tych chlubnie zasłynął także porucznik Rice, który własnoręcznie zgładził ze świata sześćdziesiąt osiem tygrysów, trzy pantery i dwadzieścia pięć niedźwiedzi, nie licząc zranionych drapieżników. Uzbrojony w wyborną dubeltówkę, w towarzystwie płatnych naganiaczów i psów odważnych, Rice osobiście przenikał w dżungle i, jak afrykański Gerard z lwem, potykał się mężnie z tygrysem wypłoszonym. Przodem szedł zwykle szikari, czyli naganiacz główny, który uważnie i przezornie bada ślady tygrysa i nadaje kierunek polowaniu. Obok niego, na prawo i na lewo postępowali Anglicy w każdej chwili przygotowani do strzału, a tuż za nimi służący ich, ludzie wypróbowanej odwagi, nieśli nabite strzelby do wymiany. Następnie szła muzyka, składająca się z pięciu bębnow, różnej wielkości instrumentów, zaopatrzonych w dzwonki zgiełkliwe, rogów i pistoletów dla sprawienia tem większego huk wystrzałami. Ludzie, uzbrojeni w szable i długie oszczepy myśliwskie, służyli za straż bezpieczeństwa muzykantów. Ostatnią gromadę stanowili procarze, którzy ponad głowami idących na przedzie rzucali nieustannie w dżungle kamienie, co zwykle płoszy tygrysa daleko skuteczniej, aniżeli zgiełki muzyki wrzaskliwej. Na-

reszcie w wyprawach takich przyjmował jeszcze udział człowiek umyślnie wybrany, a mający obowiązek już to chodzić tu i owdzie, już wlażyć na drzewa i śledzić wszystkie ruchy tygrysa. Jednego razu Rice, jego przyjaciel i kolega wojskowy Eliot i czterdziestu naganiaczów osaczyli dżungłę, która, jak im się wydawało, niewiele obiecywała. Dwaj przyjaciele pozajmowali stanowiska na drzewach dosyć niskich i, gotowi do strzału w razie danym, oczekiwali skutków naganki. Wbrew przewidywaniom, naganiacze wypłoszyli wspaniałego tygrysa, który krokiem powolnym zbliżał się właśnie ku naszym myśliwym, zachowującym spokój i milczenie godne takiej chwili. Tymczasem jeden z towarzyszków, zajmujący stanowisko także na drzewie, w obawie, aby tygrys nie uszedł uwagi Rice'a i Elliota, zawołał: „Pilnuj!”. Głos ten sprawił, że zwierz natychmiast zmienił kierunek, a dwaj oficerowie zaledwie zdążyli wysłać za nim kulę. Ryk potężny zagrzmiął w odpowiedzi na wystrzał, co stanowiło dowód, że się kula jednak nie zmarnowała. Teraz obaj Anglicy dali się unieść gorączce i pogonili za zwierzem z ostrożnością mniejszą, niż należało. W niedługim czasie ryk wściekły wstrząsnął powietrze. Oto tygrys wyskoczył z jamy ukrytej w trawie i rwał prosto na Rice'a, który miał tylko tyle czasu, ażeby z odległości dwóch czy

trzech kroków wypalić z obu luf w łeb potwora. Huk, dym, a może i kule świszczące, wywarły taki wpływ, że zwierz znowu zmienił kierunek i susem szalonym rzucił się jak piorun na Elliota, zanim ten zdolał złożyć się strzelbą. Wszystko to razem trwało tyle czasu, ile go potrzebuje błyskawica, aby przebiez niebo. Kiedy Rice poskoczył za tygrysem zbitym z tropu, przyjaciel jego nieszczęśliwy już leżał pod stopami potwora, rozjuszonego w najwyższym stopniu. Porucznik osłupiały z przerażenia stał o jakie dziesięć kroków od miejsca straszliwego widowiska, trzymając w ręku strzelbę pozabawioną nabojów. W tejże chwili zbliżył się przewodnik naganki i z krwią zimną, rzetelnie godną podziwu, spokojnie podał mu nabitą dubeltówkę. Rice wypalił niezwłocznie z jednej lufy; ale widać gorączka silnego wzruszenia sprawiła, że strzał zawiódł. Tygrys z tem większą wściekłością pochwycił zębami ramię omdlałego Elliota i, wstrząsając ofiarą swoją unosił ją co tchu do jamy, z której przed chwilą wyskoczył. Ktoby się teraz odważył strzelać, powinien być zupełnie pewny, że wsadzi kulę w mózg, gdyż każda inna rana zwiększyłaby tylko wściekłość drapieżnika, a tem samem stopień niebezpieczeństwa ofiary pozostającej w zębach jego. To też Rice biegł żwawo w niewielkiej odległości od zwierza, wyczekując sposob-

ności, w której strzał stanowczy będzie możliwy. Składał się strzelbą i w niepewności znowu ją opuszczał, a powtórzyło się to wiele razy. Wydało mu się nareszcie, że chwila dobra nadeszła. Strzelił z dokładnością strzelca wytrawnego i umieścił kulę w czaszce tygrysa, który w tej chwili zatoczył się i runął na swą ofiarę. Następny strzał wypędził słabe resztki życia z potwora i położył kres wzruszającemu polowaniu. Ocalony Elliot mógł powiedzieć z całą słusnością: „Byłem już jedną nogą na tamtym świecie, kiedy naraz przyjaciel podał mi rękę i wyciągnął do życia“. Rany jego, jakkolwiek bardzo ciężkie, nie były śmiertelne. W całych Indyach Wschodnich podróżnicy widywali szczególnie rodzaj polowania, które na pozór przedstawia się jako bardzo niebezpieczne, a w samej rzeczy jest ono mniej groźne, aniżeli wyprawy z bronią palną. To pewna, że wszelkie łowy na tygrysa wymagają zimnej krwi, odwagi nieustraszonej. Cały obszar rzeki Irawadi roi się od tych strasznych potworów, które tu, w gęstwinach trzciny i traw przeróżnych, mają schronienie wyborne. Okolicę miasta Pegu szeroko plądrowały tygrysy, pobierając ogromny haracz w ludziach i zwierzętach domowych. Grabieże mordercze powtarzały się tak często, że mieszkańcy zubożeli nareszcie na swój los i znosili go jako przeznaczenie, którego

słaby człowiek nie zdoła odwrócić. Atoli jeden z krajowców miał swój własny pogląd na ten stan rzeczy i uciekł się do sposobu znanego już wprawdzie, ale podówczas zaniedbanego powszechnie w tej okolicy. Energiczny ten człowiek zbudował klatkę obszerną z tęgich palików bambusowych i postawił ją na drodze tygrysa straszliwie tam drapieżącego w około. Kiedy się wieczór zbliżał, bohater nasz, uzbrojony w oszczep, wlaźł do klatki z zamiarem przepędzenia w niej nocy, jeżeli zajdzie potrzeba: oczekiwał na przybycie drapieżnika. Ażeby zaś tem lepiej ogłosić swą obecność i przyspieszyć przybycie, człowiek w klatce zaczął jęczeć, pisać, stękać, pokrzykiwać, w przekonaniu, że takie głosy oddziaływiają przywabiająco. Tygrys, który właściwie nie jest zwierzęciem czysto nocnem i chadza na łowy o każdej porze, niebawem pojawił się tutaj już o zmroku. Szmerowe owe zaciekały go widać, gdyż czając się, krok za krokiem zwolna podchodził, a jak kot cicho. Zaiskrzyły mu się oczy nadzwyczajnie, kiedy po przez szczelby spostrzegł zdobycz tak blisko i jak gdyby uwięzioną, niezdolną do ucieczki. Wpatrzony w swoją ofiarę, przystąpił do klatki, przystanął na chwilę, jak gdyby rozważał, co należy czynić teraz. Dotknął lekko szczelbą łapą i szczelbel ugiął się nieco: wyglądało to, jak zabawka kota, który

nie ma najmniejszej potrzeby wyzwania swego okrucieństwa. Jednakże jeniec w klatce nie uczuwał chęci do zabawy i kolnął dzidą tygrysa w łapę.

Zwierz podrażniony wspiął się, usiłując łapami przednimi wyłamać szczeble; ale jak tylko odsłonił pierś, otrzymał w nią natychmiast pchnięcie silne dzidy, która należy dodać, była zatruta. Ale cios nie był na razie stanowczo śmiertelny, taki, co to na miejscu z nóg zwała. I tygrys, mający jeszcze tyle czasu życia, że mógłby dziesięciu ludzi oprawić, wspiął się powtórnie z rykiem strasznym i oparł łapy przednie na szczeblach klatki, które się wygięły. Łowca zadał mu nowe pchnięcie i tym razem oszczep prześwidrował na wylot serce potwora. Pierwsze próby tego polowania osobliwego były tylko tyle nieudatne, że myśliwy musiał powtarzać pchnięcia. W późniejszych zasadzkach otrzaskanie się, wprawa, zrobiły swoje: człowiek w klatce zawsze już potem raził tygrysa w samo serce i za pierwszym pchnięciem kładł trupem.

Mieszkańcy Jawy i Sumatry lękają się zabijać tygrysów, a to z powodu wiary jakoby w ciałach tych potworów przemieszkiwały dusze zmarłych. Różni książęta indyjscy znowu zabraniają łowów na tygrysy, ponieważ tę rozrywkę królewską pragną zachować dla siebie.

W czasach dawniejszych tylko oni jedni wyprawiali polowania, w których atoli wystawność huczna, okazałość wielce zgiełkliwa odgrywały główną rolę. Taki władca zgromadzał obok siebie wielki zastęp ludzi pieszych, rozmaicie uzbrojonych, mnóstwo jeźdźców, zabierał z sobą na wyprawę nawet działa. Słonie, których liczba dochodziła do tysiąca, wielbłądy, mnogie konie, woły juczne, szereg niezliczonych wozów, zajmowały nieraz przestrzeń, nie dającą się objąć okiem. Do orszaku należały kobiety, które się sadowiły na wozach krytych, ozdobnych. Następnie liczni śpiewacy, kome-dyanci, kuglarze, bajadery. A oprócz tego, lamparty ułożone do łowów, koguty umiejące staczać walki, sokoły, słowiki, gołębie. Zabijano mnóstwo zwierzyny, a jeżeli wytropiono tygrysa, natychmiast setki słoni obstawiały jego legowisko. Kronika podaje, że na jednym z takich polowań, dwieście słoni otoczyło kryjówkę tygrysa i posuwało się ku środkowi, coraz więcej zacieśniając koło. Nim strzały padły, tygrys w szalonym susie skoczył na grzbiet słonia, który niósł trzech jeźdźców. Słoń otrząsnął się zaraz z taką siłą, że zwałił w zarośla i tygrysa i trzech owych myśliwych; wszystko to zbiło się razem w jedną kupę. Zatrzęsły się krzaki od tego roju i mniemano, że ludzie zmieszani z tygrysem niezawodnie śmierć znaleźli. Tym-

czasem, ku zdziwieniu ogólnemu, strzelcy wyleźli z krzaków jeden za drugim; żadnemu nic złego się nie stało, mieli tylko twarze wydłużone i blade z przestachu. Nabab rozkazał teraz puścić w krzaki jeszcze większą ilość słoni i napędzać zwierza w tę stronę, gdzie on sam, otoczony mnóstwem zbrojnych, oczekiwał go na słoniu. W dalszym ciągu polowania naprzód postrzelono tego tygrysa, potem uniedotężnionego już napędzono w stronę księcia, który go raczył dobić. Tygrys jest straszliwą plagą ludności w Indyach Wschodnich. Zasadza on się nad brzegami rzek świętych, gdzie liczni pokutnicy dopełniają umywań religijnych, spada z szybkością strzały na ofiarę upatrzoną i znika z nią w gąszczach. Nadzwyczajne skwary dzienne w tych krajach, zmuszają ludzi do odbywania podróży nocnych, ale trwoga ogarnia każdego na myśl, że straszny potwór czyha przy drodze. Więc podróże takie odprawiają się gromadnie: na czele orszaku idzie człowiek z pochodnią, inny wali mocno w bęben, przytem rozlegają się wystrzały z pistoletów. Częstokroć jednak ani światło, ani zgiełki, ani mnogość ludzi, nie odstraszą drapieznika: wpada jak piorun, porywa człowieka i uchodzi. Nawet oddziały wojska w pochodzie opłacają mu daninę z ludzi, głównie giną pozostający na tyłach maruderzy. Jeszcze większe niebezpieczeństwo

zagraża tu biednym listonoszom, którzy z torbami pełnymi papierów muszą po nocy przebywać lasy. W Guzeracie jednego roku tygrys przez dwa tygodnie z rzędu codziennie pożerał listonosza. Innym razem znowu tygrysica, czatująca w wąwozie, przez kilka miesięcy zabijała ludzi, a w liczbie jej ofiar znajdowało się dwunastu listonoszów. Ten straszliwy potwór bajeczny zatamował zupełnie komunikację i rząd ujrzał się w konieczności wyznaczenia nagrody za jego głowę. Cóż kiedy nikt nie śmiał wystąpić do takiej walki. Świadkowie naoczni a wiarogodni opowiadają o wypadkach krwawych napaści, której się tygrys dopuszcza i na wodzie. Jednego razu ludzie płynący w łodzi spostrzegli z przerażeniem niemałym tygrysa, który przepływał rzekę wpoprzek i prosto ku nim zamierzał. Niektórzy, przejęci trwogą niezmierną, wskakiwali w nurty rzeki, inni zaparli się w małej kajutce na tyłach statku. Zwierz bez żadnej przeszkody opanował łódź niebawem, usiadł spokojnie i widocznie doznawał zadowolenia, że go woda unosi. Nareszcie, jakby znudzony ciągłą jednostajnością, czy może zawiedziony w nadziejach pozyskania łupu, skoczył w wodę, dosięgnął brzegu, otrząsnął się, potem przepadł w dżunglach. Bardzo rzadkie są wypadki, w których tygrys przypląca napaść życiem własnym, a jednak i to bywa, jak świadczy następujące

zdarzenie. Wypadłszy raz niespodziewanie z zasadzki, drapieżnik gwałtownym skokiem opanował grzbiet słonia, porwał siedzącego tam Anglika i co tchu uniósł go w gąszcze. Podróżny, odurzony napaścią nagłą, a jeszcze bardziej upadkiem ze znacznej wysokości, postradał zrazu przytomność. Ocknął się atoli wkrótce, kiedy go wleczonemu po manowcach poczęły dotkliwie drapać, szarpać, kaleczyć ostre ciernie i kolce różnych krzaków. Nieszczęśliwy człowiek pojął odrazu całą okropność swego położenia, a chociaż był w paszczy strasznego potwora i czuł nacisk bolesny jego kłów, myślał jednak o obronie i ocaleniu drogiego życia. Miał na szczęście prawą rękę wolną i zdolną do działania, więc sięgnął nią, wyciągnął z za pasa pistolet, a miał jeszcze i drugi, wymierzył, jak mógł i strzelił. Łatwo zrozumieć, że położenie człowieka nie sprzyjało dobremu strzałowi. Bieg zwierza podskakujący i wstrząsający ciałem ofiary wleczonej, gąszcz gałęzi ciernistych rozrywających skórę, odzież, kamienie, o które zawadzała głowa krwią brocząca, no i stan duszy nieszczęśliwego sprawiły, że strzał chybił. Tygrys ścisnął tylko silniej zdobycz zębami, przyspieszył kroku i gnał dalej. Dzielny człowiek nie stracił krwi zimnej, nie zdał się na łaskę i niełaskę losu: wyciągnął drugi pistolet, wyczekiwał chwili dobrej, a kiedy nadeszła, wy-

pał w pierś swego oprawcy. Tym razem kula ugodziła w serce i tygrys na miejscu padł martwy. Dwa wystrzały sprowadziły tam towarzyszków podróży i ci z ogromnem zdziwieniem ujrzeni, że ten, którego już za straconego uważali, leży żywy jeszcze na trupie potwora. Oddany w troskliwe ręce chirurga, przyszedł do zdrowia, chociaż na jedną nogę chromał przez całe życie.

S ł o Ń.

Z pomiędzy wszystkich łowów na słonie, najbardziej zajmujące są te, które oddają w moc człowieka od razu setki tych zwierząt. Pora roku najodpowiedniejsza do urządzania takich łowów przypada na czas między żniwami a zasiewem w polach ryżowych. Lud znajduje w tem zadowolenie, ponieważ niezależnie od rozrywki, rad widzi zmniejszającą się ilość słońi dzikich, które w ogrodach i na niwach sprawiają znaczne spustoszenia. Oprócz tego, liczni robotnicy mają zyskowne zajęcie przy wbijaniu pali, wytyczaniu i przecinaniu ścieżek w trzcinach, przy nagankach. Jako miejsce dobre łowów, obiera się okolicę przyległą do drogi, po której zwierzęta chadzają, poszukując żywności i napoju; bliskość strumienia jest tu niezbędna, ażeby słonie miały wodę nietylko wtedy, kiedy się je obławą pędzi, ale i w czasie późniejszym,

kiedy się je oswaja. A zwierzęta te koniecz-
nie potrzebują ochłody, kąpeli. Przy urzą-
dzeniu tak zwanego korrala, to jest okólnika
łowieckiego, unika się starannie trzebienia drzew
i chróstów wewnątrz przestrzeni ogrodzonej,
a głównie od tej strony, z której pędzone sło-
nie mają tam wchodzić. Chodzi o to, ażeby
gęste porosty zakrywały wszelkie płoty, mogące
obudzić podejrzliwość roztropnych zwierząt.
Pnie użyte na pale mają dziesięć do dwunastu
cali średnicy, wbija się je na trzy stopy głębo-
ko w ziemię, a wysokość ich ponad ziemię wy-
nosi jakie dwanaście do piętnastu stóp. Między
każdą parą pali przedział jest taki, że człowiek
mógłby się przecisnąć. Rośliny wijące się albo
poprzeczne belki trzcinowe, służą do spojenia
i wzmocnienia tych słupów. Od zewnątrz zaś,
w celu powstrzymania słońi dzikich od napa-
dów na ogrodzenie, podpira się częstokół słu-
pami widłatymi, które idą od ziemi do belki
poprzecznej. Przestrzeń tak ogrodzona ma około
pięciuset stóp długości, a połowę tego szeroko-
ści. Z jednej strony znajduje się wygodne
wejście, które stoi otworem, a można je zam-
knąć w każdej chwili przez zasunięcie belek
w poprzek. Ten bok częstokołu, gdzie jest wej-
ście, przedłuża się u obu swych rogów zapo-
mocą silnego parkanu, starannie zasłoniętego
przez drzewa. Bo jeśli stado słońi nie wejdzie

na razie w bramę otwartą i zbroczy w prawo lub w lewo, to spotka ów parkan, nie dający się przebyć i znowu musi do bramy powrócić, jako do jedyne go przejścia. Nareszcie na grupie drzew, które tworzyły jakby mały gaj, urządzono lożę dla towarzystwa głównego zarządcy prowincyi i z tego wzniesienia można było widzieć, jak się odbywają całe owe łowy. Kiedy już przygotowano korral, naganiacze wzięli się do roboty. Ci ludzie obstawiają częstokroć wielomilową przestrzeń, ażeby zagarnąć jak najwięcej słońi i przez to wynagrodzić sobie koszta wyłożone na łowy. Przedewszystkiem nie można niepokoić zwierząt, gdyż mogłyby nie iść w kierunku pożądanym. Zachowując jak największą ostrożność, naganiacze dzień w dzień spędzają w jedną okolicę różne stada i zwolna, nieznacznie, popychają je w kierunku korrala. Jeżeli się zbudzi podejrzenie w takim stadzie, a zwierzęta wyraźnie okazują niepokój, trwogę, należy wtedy dopiero uciec się do środków bardziej energicznych, aby powstrzymać ucieczkę. Co dziesięć kroków nokoło okręgu, w którym są słońie, roznieca się ogniska dzień i noc podsycane. Liczba naganiaczów wynosi dwa lub trzy tysiące ludzi, utrzymujących właściwy związek między sobą na całej linii, a to za pośrednictwem ścieżek, przeprowadzonych przez dżungle. Słońie na-

pędza się do korrala ostatecznie już tak blisko, że oba skrzydła pasa naganki dotykają ogrodzenia. Cała obręcz naganiaczów rozciąga się wówczas na przestrzeni, którą można przebyć w ciągu godziny. Nadchodzi chwila wydania hasła do ukończenia obławy. Przygotowania trwały dwa pełne miesiące, aż po oznaczoną godzinę, kiedyśmy zajęli miejsca we wspomnianej łoży na drzewach, aby widzieć koniec ciekawych łowów. Spędzono trzy różne stada w ogólnej ilości głów czterdziestu do pięćdziesięciu. Zwierzęta otoczone leżały w dżunglach niedaleko od ogrodzenia. Starannie unikano wszelkiego szmeru, dopóki nie wyszło hasło, że trzeba kończyć. Teraz ciszę boru zakłóciły krzyki straży, bicie w bębny, huk wystrzałów. Rozpoczęło się to w miejscach najbardziej oddalonych od ogrodzenia, przez co słonie napędzono bliżej korrala.

Inni naganiacze zachowywali się cicho, dopóki słonie nie przeszły; potem już naśladowali innych, wyprawiając hałasy. Niebawem też trzask gałęzi łamanych i chróstów zapowiedział zbliżanie się słoni. Wódz ich wypadł z dżungli, z dzikością poskoczył naprzód i dotarł na odległość trzydziestu kroków od bramy korrala. Stado szło za nim, jeszcze chwila, a rzucą się w otwartą bramę... Nagle wódz skoczył w bok, ziemia zadudniła i słonie zniknęły w dżunglach.

Dowódca naganki objaśniał to, jakoby dzik wyrwał się z legowiska i przebiegł drogę wodzowi słoni, stąd popłoch. Przytem oświadczył, że należałoby odłożyć nagankę ostatnią do wieczora, ponieważ niejaki wzburzenie panuje wśród słoni, a przeto ogniska i pochodnie mogą głównie oddać łowom dobrą przysługę. Po zachodzie słońca widownia tego działania przedstawiała się bardzo zajmująco. Ogniska, które się w dzień biały tylko kurzyły, płonęły teraz blaskiem ciemno-czerwonym, uroczco oświecając wokoło różne przedmioty. Dym unosił się w kłębach poprzez konary drzew bogatych w liście. Tłumy widzów zachowywały milczenie tak uroczyste, że tylko szum lotu owadów nocnych dawał się słyszeć. Naraz znowu huknął odgłos bębna i wystrzały się rozległy. Był to znak naganki wznowionej. Naganiacze dreptali, krzycząc, hałasując. Suche liście i gałązki rzucono na ogniska, których nie było tylko przy korralu, gdzie jak najstaranniej utrzymywano ciemność. Tam też zwrócili się słonie wystraszone, zostawiając poza sobą wrzawę i zgiełki przesładowców. Przybiegły tutaj z pośpiechem szalonym, deptąc zarośla, miażdżąc stopami suche gałęzie. Ich wódz ukazał się przed bramą, stał przez chwilę, oglądał się podejrzliwie, potem poskoczył na łeb na szyję, a za nim pognąła gromada. Obwód korrala, dotąd pograżony



SŁOŃ.

w ciemnościach grubych, nagle zajaśniał tysiącem świateł, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Z chwilą bowiem, kiedy słonie wbiegły do ogrodzenia, każdy naganiacz pośpieszył tam z pochodnią zapaloną u ogniska najbliższego. Słonie rzuciły się w popłochu w punkt najbardziej krańcowy, a kiedy tam napotkały opór, poskoczyły ku bramie, przez którą weszły. Bramę, naturalnie, zaparto. Przerażenie zwierząt było nadzwyczajne. Szybko pędziły wokoło po korralu i widziały wszędzie płonące światła. Usiłowały rozwalić ogrodzenie z pali, ale je odpędzano pociskami i ogniem. Gdziekolwiek się zwróciły, spotykały wrzawę, strzelaninę. Więc skupiły się nareszcie w jedną gromadę i przez chwilę tak stały stropione widocznie. Znowu poskoczyły w innym kierunku, jak gdyby im nagle przyszło na myśl, że to właśnie jest miejsce, które przeoczyły. Dłużej, niż przez godzinę biegały tak po korralu, niezmordowanie uderzając na płot palowy. Po każdej zaś próbie nieudanej, wydawały głosy trąbienia i skrzeczenia. I znowu uderzyły na bramę, jak gdyby wiedziały, że skoro tędy weszły, to i wyjść można; ale stropione, oszołomione przez odstraszenia, cofały się z powrotem. Stopniowo wysiłki ich gwałtowności stawały się coraz rzadsze; jeszcze niektóre wrywały się pojedynczo, biegały tu i owdzie, a potem wracały do towa-

rzyszów posępnych. Nareszcie całe stado osłupiało, wyczerpane, wzięwszy młodzież do środka, ustawiło się nieruchomo w posępnych cieniach drzew, na środku korrala. Poczyniono teraz rozporządzenia, mające na celu utrzymywanie straży podczas nocy. Zwiększono liczbę strażników około ogrodzenia, dodano paliwa do ognisk, ażeby płomienie gorzały, dopóki słońce nie wejdzie. Ta obława zajęła była i popędziła trzy stada, które jednakże ciągle trzymały się oddzielnie. A kiedy przyszło już do owej naganeki ostatecznej, zdołano wpędzić do korrala tylko jedno stado; dwa inne, mimo zgietki i ognie, pozostały w dżunglach. Nazajutrz o świtanu, cisza panowała wśród więźniów. Wraz ze wschodem słońca pogaszono ognie. Słonie stały spokojnie w gromadzie zbitej, upadłe na siłach, złamane trwogą i podziwem tego wszystkiego, co się dokoła nich działo. Jeńców ułowionych było dziewięcioro, a wśród nich trzy bardzo duże i dwa małe, które liczyły wiek życia na miesiące. Tymczasem poza korralem przygotowano już pierwsze oswajania dzikich więźniów. Usunięto ostrożnie zapory bramy i do zagrody wstąpiły dwa, oddawna z niewolą obyte, oswojone i ułożone słonie. Każdy z nich miał na szyi mocną opaskę, przy której wisały, po obu stronach przyczepione, sznury ze skóry antylopy, zaopatrzone w pętle. Oprócz tego, na każdym

słoniu wjechał tutaj kornak i służący. Ukrywając się poza tymi słoniami, wszedł także do korrala naczelnik poskromicieli, chciwy zaszczytu osadzenia pierwszego z dzikich brańców. Był to mały, zwinny, już siedemdziesięcioletni człowieczek, który w służbie tego rodzaju pozyskał już dwie sprzączki srebrne, chlubne znaki zasługi. Towarzyszył mu syn, również znany z odwagi i zręczności w trudnem rzemiośle. Przy prowadzeniu całych tych łowów miano do rozporządzenia dziesięć sztuk słoni oswojonych i właśnie dwa z nich weszły teraz do ogrodzenia. Jeden był bardzo stary, gdyż od stu lat wysługiwał się rządowi: holenderskiemu i angielskiemu; drugi młodszy, imieniem Siribedi, liczący około pięćdziesięciu lat wieku, znany z łagodności i pojętności, a jak się zda wało, zamilowany w łowach na dzikich współbraci. Szedł on poufale ku jeńcom, zatrzymywał się po drodze, zrywając w przejściu bądź trawę, bądź liście. Kiedy przybył do gromady dzikich rodaków, wszystkie one zwróciły się ku niemu, a ich wódz dotknął łagodnie trąbą jego głowy i potem odwrócił się do towarzyszków zgnębionych. Siribedi podążył za nim krokiem spokojnym i z obojętnością ustawił się na tyłach olbrzymiego wodza. Ukryty pod jego brzuchem starzec, mógł teraz zakładać pętle na nogę dzikiego jeńca. Słoń jednak w tej

chwili zmiarkował niebezpieczeństwo, wstrząsnął liną i zwrócił się groźnie do człowieka, który byłby drogo przypłacił swą śmiałość, gdyby go Siribedi nie wziął pod opiekę i nie odpędził dzikiego słonia do środka gromady. Zraniony starzec opuścił korral, pozostawiając synowi spełnienie trudnego zadania. Gromada dzikich ustawiła się w okrąg z głowami zwróconymi ku środkowi. Słonie oswojone wcisnęły się zuchwale w tę gromadę i tak, że obstały największego z dzikich, biorąc go między siebie. Ten jeniec nie stawiał im najmniejszego oporu, zdradzał jednak jakieś niezadowolenie, przestępując z nogi na nogę. Syn zranionego podpełznął, trzymając oburącz otwartą pętlę, której drugi koniec był przytwierdzony do naszyjnika Siribedi. Jak tylko dziki słoń podniósł tylną nogę, już miał zarzuconą na niej pętlę, poczem człowiek, który to zrobił, oddalił się natychmiast. Teraz Siribedi odszedł na bok, a tem samem lina się wyprężyła, odciągając olbrzyma od gromady. Drugi oswojony słoń w tej chwili wystąpił i stanął między gromadą dzikich a Siribedi, aby go bronić, gdyby wynikł jakiś zatarg. Następnie chodziło o to, ażeby jeńca przymocować do drzewa; należało go więc pociągnąć o jakie czterdzieści kroków dalej. Atoli stawał on opór nadzwyczajny: rzucał się na wszystkie strony, pomniejsze drzewa roz-

deptywał jakby żdźbła słomy, przyczem ryczał przeraźliwie. Siribedi jednak ciągle go pociągał za sobą zwolna, a kiedy już dotarł do drzewa, obszedł je tak, że owinął na nim linę utrzymywaną w natężeniu nieustannem. Potem przestał pić ową linę i jeszcze raz ją owinął na pniu drzewa. Ale nie zdołał przyciągnąć słonia do samego pnia, co było koniecznem. Wówczas towarzysz jego oswojony, zrozumiał trudność i parł jeńca już głową, już całym ciałem, dopóki go nie przysunął do drzewa. Naturalnie, za każdym krokiem obluźniała się lina na drzewie owinięta, a Siribedi ciągnął ją, wyteżał, aż nareszcie noga z pętlą znalazła się przy samym pniu drzewa. Poskromiciel zawiązał teraz węzeł, a nadto założył nową pętle na drugą nogę tylną, którą, podobnie jak pierwszą, także przymocował do drzewa. Nareszcie obie te nogi związał razem linami bardziej już giętkimi, ażeby powstałe od krępowania rany i ropienie uczynić mniej dotkliwymi. To jeszcze nie koniec. Oswojone słonie znowu obstawily więźnia, a poskromiciel pod tarczą ich ciała skrępował przednie nogi słonia, linę zaś przeciągniętą od nich, tego przymocował do drzewa. Biedny jeńiec, dopóki miał obok siebie oswojonych pobratymców, zachowywał się jeszcze jako tako cierpliwie i wśród dolegliwości okazywał niewielką oporność. Dopiero z chwilą, kiedy po-

został osamotniony, rozpoczął wysiłki nadzwyczajne. Dotykał więzów swoich trąbą i usiłował rozplątać niezliczone węzły; rozpierał się ku tyłowi, chcąc wyzwolić z pęt nogi przednie, pochylał się naprzód, jakby mniemał, że tym sposobem oswobodzi nogi tylne. Od jego szamotań, jak od wichru, trzęsły się gałęzie wielkiego drzewa. Skrzeczał w utrapieniu swoim i wznosił w górę trąbę, przechylał się na bok, kładł głowę na ziemi, to znowu ściągniętą trąbę wtlaczał tak w ziemię, jakby ją chciał prześwidrować. To znowu nagle podrzuczał się, usiłował stanąć na głowie. Smutne to widowisko trwało przez kilka godzin. Czasami uspakajał się nieco, coś jakby przemyślał, poczem wznawiał usiłowania. Ostatecznie nastąpiło beznadziejne pogodzenie się z losem: stał nieruchomy, jak symbol zwątpienia i wyczerpania. Poskromiciele wybierali następnie inne dzikie słonie podług stopnia dzielności, a skrępowanie każdej sztuki zajmowało przeciętnie około trzech kwadransów czasu. Godna jest uwagi ta okoliczność, że dzikie słonie wcale nie napadały kornaków, którzy przez cały czas siedzieli na słoniach oswojonych. W miarę tego, jak stado jeńców traciło swych wodzów, wzrastał coraz większy niepokój wśród pozostałych, a jednak żaden z nich nie odważył się podejść do drzew, gdzie ci wodzowie stali skrępowani. Jeżeli któ-

ryś wolny jeszcze przechodził tamtędy, zatrzymywał się wtedy i następowało pozdrowienie przez wzajemne dotykanie się trąbami, lizanie się po szyjach, ale nigdy nie wystąpiło usiłowanie oswobodzenia towarzysza z więzów. Usposobienia różnych osobników były też bardzo odmienne: jedne poddawały się losowi smutnemu z oporem stosunkowo niewielkim, inne okazywały nieuległość w nadzwyczajnych wybuchach gwałtowności. Niektóre rzucały się na ziemię z taką siłą, że każde zwierzę słabsze przypląciłoby życiem ten upadek. Wywierały one swój gniew na drzewach, na wszelkiej roślinie, którą dosięgnąć zdołały. Obrywały one pęki liści, łamały gałęzie i rzucały je w powietrze, a zioła, wątle krzewiny miażdżyły i równały z ziemią. Były tam i słonie milczące, nie-
me; podczas gdy inne ryczały wściekle, to znowu wydawały z siebie skrzeczenia jakies krótkie, jakby przez kurcz dławione, a nareszcie — stękania głuche, żalosne. Bardzo przykre wrażenie na widzach sprawiały te, które po kilku gwałtownych wysiłkach padały na ziemię, leżały nieruchome, a o ich cierpieniach świadczyły tylko łzy nieustannie płynące z oczu. Jeszcze inne w przystępie wściekłości wykonywały tak zadziwiająco zręczne zwroty, wykręty, że zdumiewały każdego, kto przywykł uważać ogromne ciało słonia za ciężkie i sztywne.

W zachowaniu się wszystkich tych zwierząt, można było zauważyć jedno wspólne: rozdeptywały one ziemię nogami przednimi, podejmowały za pomocą trąby pył i piasek, poczem sypały to na siebie; następnie wkładały koniec trąby w usta, czerpały stamtąd wilgoć i polewały nią swoje grzbiety. Powtarzało się to dopóty, dopóki pył nie przemókł i nie utworzył na słońcu mulistej powłoki. Prawdziwie w podziw wprawia wielka obfitość wilgoci u tych zwierząt, które od dwudziestu czterech godzin nie przyjmowały napoju, a wyczerpywały się w walce i trwodze. Należy też wspomnieć o zachowaniu się młodzieży. Dwa słońtka, zwierzątka powabne, z głowami kolbiastymi, pokryte brunatnym włosem wełnistym, kłusowały za starszą, kiedy ta robiła napady na ogrodzenie. Jeżeli gromada starszych stała spokojnie, wówczas małe wałęsały się między ich nogami. Kiedy krępowano matkę najmłodszego, dziecko pozostawało przy niej ciągle, aż do chwili przyciągnięcia do fatalnego drzewa. Dąsy jego bawiły z początku poskromiciele, ale potem malec napadał na każdego, kto przechodził i musiano go także skępować. Miał ciało bardzo gibkie i wykonywał ruchy zadziwiająco zręczne. Oba te malce, będąc już na uwięzi, w ciężkiem swem strapieniu nadzwyczajnie chciwie pożerały wszystko, cokolwiek im rzucono. Skoro już ukończono

przykrą czynność krępowania zwierząt, usiłowa-
no następnie osłodzić im niewolę muzyką. Jak-
kolwiek śmiesznem się to wydaje, jednak po-
słyszane dźwięki fletu wywierały wpływ na nie-
które słonie. Zwraçały one głowy w kierunku
muzyki, nadstawiały szerokie uszy: zdaje się,
że dźwięki miękkie działały na nie uspokajająco.
Ale młode ryczały, rwąc się do wolności, tupo-
tały nogami, wznosiły w górę małe trąby i usi-
łowały dosięgnąć każdego z przechodniów. Star-
sze zwierzęta gardziły z początku wszelkim po-
karmem, zgarniały go pod nogi i odwracały się
ze wstrętem od tej żywności. Tylko niektóre,
kiedy je szła gniewu ominała, nie zdołały się
oprzeć pokusie na widok soczystego drzewka,
które przygarniały do siebie, a gdy odpadła
jaka gałązka delikatniejsza, słoń podnosił ją trą-
bą i żuł spokojnie. Po upływie pewnego czasu
złagodzone im nieco ucisk powrozów, krępują-
cych nogi. Wnet potem każdego oddzielnie pro-
wadzono do rzeki, umieszczając go między
dwoma oswojonymi i sprzęgając z nimi. Na-
stępowało z kolei zakładanie naszyjników, usu-
nięcie pęt, doprowadzenie do kąpieli, której
wszystkie słonie chciwie pożądały. Nareszcie
przywiązywano każdego oddzielnie do drzewa
w lesie i oddawano pod opiekę strażników, któ-
rzy mu dostarczali ulubionej paszy. Oswojenie
słonia nie jest trudne. Jeniec po trzech dniach

zaczyna jeść, a wtedy dodają mu zwykle za towarzysza zwierzę oswojone. Dwaj dozorczy zbliżają się, gładzą go po grzbiecie, przemawiają głosem łagodnym. Zrazu bywa on zły, bije trąbą na prawo i na lewo; ale dwaj inni strażnicy, stojący z przodu, podchwytyją każdy gwałtowny zamach trąby ostro zakończonym drążkiem żelaznym. Słoń tak dotknięty wyciąga okaleczoną trąbę i już jej rzadko kiedy używa do napaści. Uczy on się przedewszystkiem obawiać potęgi człowieka, a do dalszego wychowania najwięcej pomagają słonie oswojone. Wogóle po dwóch miesiącach pracy nad dzikiem zwierzęciem, obecność oswojonego staje się już zbyt liczna i kornak może sam dosiadać jeńca, którego w trzy miesiące można użyć do pracy. Słoń oswojony oddaje największe usługi, gdy chodzi o sprowadzenie materiałów budulcowych: wielkich belek, kamieni.

Przyjrzyjmy się innemu rodzajowi polowania na słonie. Jednego dnia, — opowiada S. Baker — polowałem na tak zwane frankoliny, to jest kuropatwy afrykańskie. Huk wystrzałów sprowadził do mnie Arabów, którzy obozowali po drugiej stronie rzeki, a byli to myśliwi z rzemiosła. Szybko się porozumieliliśmy i stanęło na tem, że jutro urządzimy wyprawę walną w celu poszukiwania słoni. Jakoż nazajutrz, o piątej rano, konno i zbrojny, w to-

warzystwie dwóch służących, udałem się do obozu Arabów, którzy także na koniach wyruszyli z nami, a uzbrojenie każdego z nich składało się jedynie z szabli i tarczy. Nie strzelałem po drodze do żadnej zwierzyny, obawiając się, aby nie spłoszyć słoni. Siedm godzin trwała podróż, zanim przybyliśmy do okolicy malowniczej, gdzie u stóp pasma gór bierze początek rzeczka Royan, tu i owdzie zawałona skałami. Jest to kraj pełen wąwozów, poszarpany przez wody, które w porze deszczów wzbierają tu z gwałtownością nadzwyczajną. Myśliwi mieli jak najlepsze nadzieje. Dopiero jednak w oddaleniu wykryliśmy ślady słonia na równinie piaszczystej, poprzerzynanej licznymi korytami wyschłych strumieni. Należało przedewszystkiem wytchnąć, aby mieć siły do blizkiej już może pogoni. Tak też zrobiliśmy. Potem przebywaliśmy może z milę, kiedy Taher, jeden z Arabów, prowadzący polowanie, stanął i z tajemniczą miną objaśnił mi, że mamy w pobliżu słonia. Myśliwi natychmiast porozstawiali się z wielką przezornością. Ja umieściłem się za nimi, a moi służący stanowili straż tylną. Okrążywszy miejsce wskazane, mieliśmy możność przyjrzenia się olbrzymiemu słoniowi, który właśnie gasił pragnienie w strumieniu między zaroślami. Wielkie kłapy uszu zasłoniły mu nasz widok, przytem sśliśmy pod wiatr, a grunt piaszczysty

nie zdradzał odgłosu kroków. Zbliżyliśmy się pewnie na dwadzieścia metrów, kiedy słoń podniósł nagle głowę, wstrząsnął uszami, wyprostował trąbę. Zdawał się nasłuchiwać przez chwilę, potem krokiem powolnym, ale pewnym, łatwym, podążył na wzgórze przyległe, dosyć wysokie i zniknął nam z oczu. Nastąpiła narada krótka. Miejscowość bynajmniej nam nie sprzyjała. Łozysko potoku, trudne do przebycia, zielska ponad nasze głowy, szczeliny na każdym kroku, odłamy skał zwalonych. Z tem wszystkim Taher ruszył naprzód, a za nim cały orszak. Przybyliśmy na szczyt wzgórza i znowu spostrzeżliśmy słońca w odległości ośmdziesięciu metrów. Oddalał się od nas, spoglądając to na prawo, to na lewo. Kiedy zobaczył, że idziemy ku niemu, odwrócił się do nas zuchwale i stanął. — „Bądź pan w gotowości, a dobrze uważaj na skały!” — rzekł do mnie Taher. — Zaledwie posłyszałem te słowa, już zwierz groźnie wstrząsnął łbem, wydał głos ostry i ku nam poskoczył. W popłochu, poprzez zielska suche, świszczące w naszych uszach, poprzez okruchy skał, puściliśmy się cwałem. Słoń gnał za nami z siłą pary i wcale nie zważał na przeszkody spotykane po drodze. Że jednak każdy z nas uchodził w innym kierunku, zwierz nie mógł się coś pomiarkować, za kim gonić i zaniechał ścigania. Myśliwi rozproszeni rychło się zgroma-

dzili i znowu rozpoczęto poszukiwania. I teraz znaleźliśmy schronienie samotnika. Jak tylko nas spostrzegł, podążył w miejscowość skalistą, pokrytą tu i owdzie drzewami niskimi, zatrzymał się tam i zwrócony do nas, zdawał się dumnie wyzywać do walki.— „Trudno będzie dojść do niego!“—powiedział Taher.— „Lepiej byłoby posłać mu kulę“.—Nie zgodziłem się na to, ponieważ koniecznie chciałem widzieć, jak to Arabowie szablą pokonywują słonia. Trzeba było jednak strzałem spędzić słonia ze stanowiska i sprowadzić go na grunt podatniejszy do gonitwy. Z kolei teraz Taher się nie zgodził, mówiąc:— „Eh, da Bóg, nic się złego nie stanie!“— Potem zalecił mi, ażebym się trzymał blisko jego boku i pamiętał o sobie. Słoń nieruchomy jak posąg, ciągle stał w miejscu. Ani drgnął, tylko oczy jego żywo biegały na wszystkie strony. Czterej Arabowie, wszyscy bracia rodzeni, spojrzeli między siebie swe role. Taher i Ibrahim rozjechali się na prawo i na lewo. Dwaj inni, Rodar z ręką uschniętą i Abu-Do, pozostali przed słoniem. Ja trzymałem się Tahera; dwaj służący moi, Hassan i Hadzi Ali, nie mieli żadnego obowiązku do spełnienia. Skoro już każdy był na swem stanowisku, Rodar pierwszy zbliżył się do nieprzyjaciela gotowego nań napaść. Siedział on na koniu jasno cisawym, wybornie ułożonym i doskonale

pojmującym swe zadanie niebezpieczne. Zwolna i obojętnie podszedł on do groźnego przeciwnika na odległość siedmiu albo ośmiu metrów od głowy olbrzyma, który i teraz stał nieruchomy. Nieporównany widok! Ten koń, ze spojrzeniem utkwionem w słonia, jakby usiłował przewidzieć chwilę napaści! Ten jeździec, taki zimny, spokojny, wzrokiem przesywający olbrzyma!... Wśród milczenia rozległo się chrapanie konia, który zrobił jeszcze krok naprzód. Słoń drgnął w tej chwili.—„Rodar, baczność!“ — krzyknąłem zaniepokojony, a na głos mój, słoń rzucił się jak lawina. Wtedy koń z szybkością błyskawicy wykonał zwrot, a potem, jak strzała popędził przez skały, kamienie, krzaki. Rodar, zwieszony na nim, śledził poprzez ramię ruchy nieprzyjaciela.

W ciągu jakiejś chwili byłem pewny, że Arab nie ujdzie. Gdyby się ten koń wypadkiem potknął na owem bezdrożu! Przedział pomiędzy nim, a wyciągniętą trąbą słonia, wynosił kilka stóp tylko. Jednocześnie, będący na tyłach słonia Tahar i Ibrahim, szybcy jak sokoły, dopędzali go. Skoro następowali już na pięty olbrzyma, Taher wydobył szablę z pochwy, ujął ją oburącz i skoczył z konia, którego cugle brat młodszy w lot pochwycił. Zwinny, silny jak jeleni, Taher w trzech skokach dopadł słonia i jego miecz, niby błyskawica, mignął w słońcu.

Słoń stanął: miecz przeciął mu ścięgno w nodze i o kość się oparł. Arab odskoczył i w mgnieniu oka już był na siodle. Słoń usiłował ruszyć się z miejsca, ale mu noga bezwładna nie dozwoliła. Taher, widząc taki skutek ciosu zadanego, znowu skoczył z siodła i teraz wymierzył cięcie w drugą nogę. Cios ten zadał ranę śmiertelną: z przeciętej arteryi krew buchnęła potokiem. Chciałem zakończyć męczarnie zwycięzonego olbrzyma strzałem za ucho, ale sprzeciwił się temu Taher, mówiąc: „Słoń i tak zakończy wnet życie bez cierpień, gdyż śmierć z upływu krwi jest lekka, a strzał pański spowodowałby tu rabusiów z nieprzyjaznego nam plemienia i ci, jako przeważający liczbą, zabraliby zdobycz“.

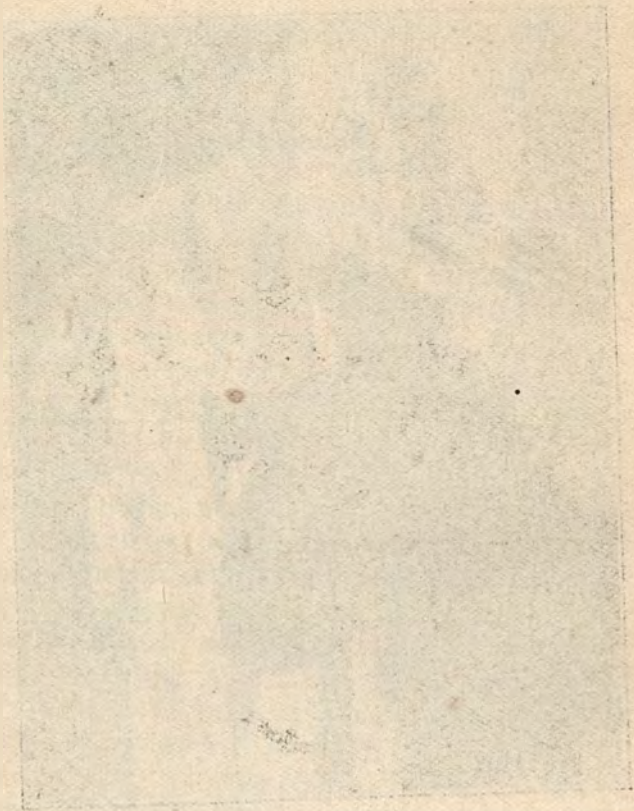
I bez mojego strzału rabusie zabrali tego słonia w nocy.

Hipopotam.

Ażeby spotkać hipopotama w stanie dzikim, trzeba się dostać głębiej do wnętrza Afryki, do krain, gdzie człowiek na swą obronę używa jedynie łuku i lancy. Z takim orężem jest się prawie bezbronnym wobec olbrzyma, groźnego zarówno dla pól uprawnych, jak i dla życia ludzkiego. Przyjrzyjmy się łowom na tego zwierza, którego hieroglify unieśmiertelniły na ścianach świątyń Egiptu razem z pawianem, krokodylem, ibisem, nosorożcem i słoniem. Jeden z podróżników podaje taki opis. Znaleźliśmy się w okolicy, gdzie rzeka jest szeroka na dwieście pięćdziesiąt metrów i na zakręcie rozlewa się w jezioro ogromne, na którym widnieje ława piaszczysta, nieznacznie wystająca nad poziom wody. Właśnie tam wypoczywał hipopotam w istnie posągowej postawie. Zwalony ogromem cielska na ławę piasku, wsparty na grubych, jak kłody, łapach przednich, zwrócił łeb potworny ku skałom nadbrzeżnym i wyglądał



<http://reim.org.pl> **HIPOPOTAM.**



jakby lubownik krajobrazu, który w spokoju ducha napawa się widokiem okolicy. Kiedy nas spostrzegł, powstał, wstrząsnął głową, wydał z siebie mruki, może miał nadzieję, że to przstraszy przybyłych. Teraz wyprawilem swego pomocnika na brzeg przeciwległy, ażeby tam dał kilka strzałów z pistoletu, a tem samem zwrócił zwierza w moją stronę, sam zaś przebrodziłem kilkanaście kroków po wodzie i ukryłem się za poręczą skalistą. Atoli po pierwszym wystrzale hipopotam, widocznie stary samotnik, przywykły rządzić się upodobaniami wybryków samowolnych, zwrócił się do mego pomocnika z rykiem tak strasznym, że człowiek przerażony uciekł co tchu na szczyt skały nadbrzeżnej i dopiero stamtąd strzelił po raz wtóry. Zwierz odpowiedział na to zupełną obojętnością. Widząc, co się dzieje, wylazłem na skałę i zacząłem pokrzykiwać. Moje zachowanie nie spodobało mu się: zawrócił ku mnie, dał nurka i po jakiejś chwili ukazał się o sto kroków od skały, na której stałem. Cóż, kiedy ani myślał bliżej podpłynąć, a wszystko to wyglądało tak, jak gdyby mię zamierzał nastraszyć. Zaleciłem więc pomocnikowi swemu, ażeby podniósł wrzawę na skale; sądziłem, że zwierz niezawodnie odwróci głowę w kierunku krzyków posłyszanych, a wówczas będąc miał sposobność wsadzić mu kulę za ucho. Rzeczywiście, oczekiwania moje nie były

płonne. Udał mi się wtedy jeden z tych strażników wielce celnych, które wynagradzają myśliwego za wszystkie pudła. Stary samotnik przewalił się w wodzie, wzniecił wokoło siebie istną burzę fal i zniknął mi z oczu.

Nasz obóz myśliwski znajdował się blisko wioski, z której też niebawem przybył nad rzekę tłum ludzi z wielbłędami, linami, nożami, osękami. Chodziło o to, aby wydobyć z wody, poćwiartować i przenieść zabitego zwierza, który jeszcze nie wypłynął na powierzchnię rzeki. Dopiero w półtorej godziny ujrzeliśmy, jak płynie z wodą o dwieście metrów od miejsca, gdzie dostał kulę. Łby ogromne krokodylów o parę stóp od zabitego ukazywały się ponad wodą i znikały. Widok ten, ogromnie zniechęcający Arabów, opóźnił znacznie wydobycie cielska hipopotama. Oczekiwano chwili, kiedy martwe zwierzę przyplynie z wodą do ławy kamienistej, odległej o dwie mile od wspomnianego jeziora. Kiedy to już nareszcie nastąpiło, tłum rzucił się chciwie na zdobycz, założono na ciało olbrzyma liczne liny i wśród wysiłków ciągnięto je do brzegu. Łup był okazały! Sama skóra, nie licząc głowy, miała długość dwunastu stóp i trzech cali. Zaleciłem, ażeby na podarunek dla szejka zachowano dwa uda, jakoteż znaczną ilość tłuszczu, słusznie przez krajowców wysoko cenionego, gdyż jest bardzo smaczny i de-

likatny. Wybrałem także dla siebie kawałek mięsa, a już na resztę tłum wpadł z chciwością trudną do opisania. Gromada hyen wygłodzonych nie zdołałaby okazać większej dzikości. Sto nożów błysnęło w powietrzu i zabrało się w tej chwili do dzieła. Ludzie wrywali sobie z rąk wzajemnie kawałki mięsa, zaledwie od masy oddzielonego, walczyli o nie zawzięcie, jak wilki zgłodniałe. Jedni, pograżeni w trzech dymiących parą, pożądalili łakomie tłuszczu, inni rzucali się znowu zapamiętane na mięso. Kiedy szło o pozyskanie kęsa, który się wydawał smacznym, jeden drugiego kaleczył nożem i wydierał przemocą zdobycz pożądaną. Oczy ich błyszczały pożądlivością i zawiścią, usta wyrzucały przekleństwa, groźby, obelgi szpetne. Wstrętny, przykry to widok, a powtarza się zawsze przy każdej takiej okoliczności. Innym razem i mniej więcej w tej samej okolicy, przyłączył się do naszego towarzystwa cały tuzin łowców na hipopotamy, czyli tak zwanych huarti. Ci huarti są to Arabowie, ludzie nadzwyczajnie zręczni i szalenie odważni. Łowy ich stanowią rzemiosło ogromnie niebezpieczne, nietyle ze względu na hipopotamy, ile raczej z powodu krokodyłów, przeciw którym ci ludzie nie mają żadnego środka obrony. Doprawdy, trudno byłoby znaleźć ludzi w wyższym stopniu pogardzających niebezpieczeń-

stwem. Harpun stanowi cały ich oręż, a jest to kawałek stali odhartowanej, szeroki na dwa centymetry i zaopatrzony tylko jednym hakiem. Ten oręż, na pozór ładajaki, osadza się na rękojeści z trzciny bambusowej, długości stóp dziesięciu. Do takiego grotu przytwierdza się linkę, długą jakie dwadzieścia stóp, na której końcu znajduje się przymocowana bania wielkości głowy dziecka, wewnątrz pusta, więc pływająca zawsze na powierzchni wody. W czasie polowania myśliwy, przygotowany do rzutu, trzyma w lewej ręce banię, w prawej rękojeść harpuna.

Jednego dnia poszedłem samotrzeć na wyprawę łowiecką z owymi huarti. Mnóstwo hipopotamów zamieszkiwało tę rzekę, a przeto spotkanie z nimi niebawem nastąpiło. Towarzysze moi podeszli naprzód krokodyla, który z żelazem, oddzielonem od rękojeści trzcinowej, natychmiast zniknął w wodzie, a tylko bania pływająca na powierzchni wskazywała kierunek jego pobytu. Huarti byli spokojni, że krokodyl nie przepadnie i powrócili na brzeg, ponieważ nie chcieli opóźnić łowów na hipopotamy. Nie byłem pewny, czy harpun będzie miał dzisiaj szczęście, więc wziąłem na cel pierwsze zwierzę spotkane, strzeliłem za ucho i powaliłem. Wkrótce potem przybyliśmy nad obszerny staw rzeczny, gdzie się znajdowały liczne ławy pia-

sku i wysepki skaliste, czysty raj hipopotamów, wygód pełno i żeru wokoło. To też wśród skał spostrzegliśmy gromadę, składającą się z kilku hipopotamów. Jedno młode, postać bryłowata, stało na skale; drugie, równie niekształtne, niezdarne, stało znowu na grzbiecie matki, która spokojnie płynęła z tym droгим ciężarem. Miejscowość nadawała się do łowów wybornie. Huarti prosili mię, abym przyległ, sami zaś wśliźnęli się w zarośla i zniknęli mi z oczu. Widziałem ich potem, jak chytrze skradali się na piaszczystem wybrzeżu, czołgali na przestrzeni jakich dwustu kroków, aby podejść ku skałom, gdzie właśnie ród olbrzymów wygrzewał się na słońcu.

Całe postępowanie tych łowców cechowała znajomość sztuki posunięta do mistrzostwa. Oto weszli w wodę, płyną z jej biegiem lekkuchno, jak oliwa, kierują się ku staremu samcowi, który nic a nic nie podejrzewa. W bliskości skał dali nurka i wnet potem można ich było widzieć już w zakątku skały, gdzie właśnie stało młode. Teraz nie umiem tego powiedzieć, czy młody hipopotam wskoczył w wodę przed rzuceniem harpunów, czy też harpuny wprzód wypadły z rąk łowców. Było to dzieło jednego mgnięcia oka. Huarti natychmiast dali nurka i ukazali się dopiero w niemałej odległości od skały. Dotarli do brzegu z największym pośpiechem,

gdyż ich popychała obawa, aby ranny potwór nie puścił się w pogoń za nimi. Jeden harpun, rzucony z doskonałą pewnością, utkwiał we łbie olbrzyma, drugi chybił celu. Hipopotam rozwścieczony, ziejąc i dmuchając straszliwie, podskoczył potężnie na powierzchni wody, aż deszcz kroplisty prysnął w powietrze, a fale się zapieniły, bijąc bałwanami o brzegi i skaliste wyspy. Zgany ostrem żelazem, od którego nie mógł się oswobodzić, usiłował ścigać prześladowców, chociaż ich sobie tylko wyobrażał, bo nie widział. Więc już dawał nurka, już wypływał, a ciągle rzucał wokoło straszliwe spojrzenia, poszukując niewidzialnego wroga. Trwało to jednak niedługo. Myśliwi w zapale działania przyzwali czempredzej na pomoc ludzi. Zbiegł się na brzegu niebawem tłum pomocników zaopatrzonych w liny, a każdy rwał się z zapałem do roboty. Jacyś dwaj z pomiędzy przybyłych pochwycili linę, z końcem jej w garści rzucili się wplaw do rzeki i przeciągnęli ją wpoprzek przez całą szerokość koryta. Do środka owej liny głównej była przytwierdzona inna lina tak, że na brzegu, gdzieśmy stali, znajdowały się dwa końce, na przeciwnym tylko jeden. Ludzie, którzy trzymali te końce, stali na brzegu, w odległości dziesięciu kroków jeden od drugiego; więc dwie liny tworzyły na wodzie w punkcie swego połączenia kąt ostry. Chodziło o to, aby

ludzie na obu brzegach, ciągnąc linę, zbliżali ją coraz bardziej ku bani pływającej po wodzie tu i owdzie. Kiedy już osiągnięto cel ten, wtedy bądź podnoszono linę nad wodą, bądź ją opuszczano, dopóki bania nie znalazła się między owemi dwiema linami, tworzącemi kąt ostry. Skoro to już nastąpiło, zbliżono liny natychmiast jedną do drugiej, inaczej mówiąc, złowiono banię między zwarte ramiona kąta ostrego. Teraz ludzie, będący na drugiej stronie rzeki, puścili trzymany dotąd koniec liny, a pracownicy na brzegu przeciwnym jęli przyciągać złowioną banię. Bania tak ciągnięta do do brzegu pociągała, rzecz prosta, linkę z harpunem wbitym w łeb hipopotama; przeto, właściwie mówiąc, przyciągano razem z banią i zwierza ranionego. Spotkano się, co było do przewidzenia, z oporem potężnym i z trudnościami, które trzeba widzieć na własne oczy, aby mieć o nich pojęcie. Podrażniony przez szarpnięcie linki olbrzym, dostał napadu wściekłości, nie dającej się opisać. Rozjuszony wykonał skok szalony na wodzie, zgrzytał zębami, sapał straszliwie, dyszał wściekłością, pienił się, wzburzył rzekę; potem dał nurka, podpłynął do brzegu. Teraz koniec liny wyciągniętej okręcono około skały, która jakby słupek podatny do tego celu wznosiła się na brzegu.

Hipopotam, zaczepiony przez hak harpuna,

ciągle pociągany do brzegu, ukazał się w odległości kilku kroków od myśliwych, znów podskoczył, kłapał szczękami, usiłując pochwycić linę. W tejże chwili dwa nowe harpuny ugrzęzły mu w boku. Daleki od tego, aby uchodzić przed nieprzyjacielem, moczarski straszliwy rzucił się naprzód, postawił łapy przednie na brzegu, wznosił się całym ogromem ciała i z paszczą otwartą, zapienioną, zaślinioną, uderzył śmiało na przeciwników. Jednakże ci, którym zagrażał, nie ulękli się jego czeluści rozdziawionej, uzbrojonej w zębce straszliwe. Pół tuzina oszczepów, rzuconych z odległości pięciu lub sześciu kroków, wpadło w olbrzymią paszczę i w niej utkwilo. Jednocześnie inni z nadzwyczajną skwapliwością, garściami piasku zasypywali oczy zwierza, który zdawał się być na to bardzo wrażliwy. Łatwo zgruchotał oszczepy w zębach, jak gdyby to były wątłe źdźbła słomy; ale piasek zrobił swoje, zmusił go do odwrotu. Podczas tej napaści szalonej, dwaj myśliwi pochwycili żwawo linki harpunów, które przed chwilą utkwily w boku zwierzęcia, ale kiedy hipopotam skoczył teraz w wodę i zanurzył się, jedna z tych linek pękła: przeciał ją bowiem zębami.

Znowu się ukazał na powierzchni wody; fale przemyły mu widać oczy zaprószone piaskiem, gdyż bez najmniejszego namysłu jeszcze

raz uderzył zapalczywie na napastników. Szedł do boju z paszczą otwartą tak szeroko, że dwaj ludzie mogliby się w niej pomieścić. Jakiś Arab rącho poskoczył z oszczepem i zadał mu cios, co jednak nie wywarło najmniejszego wpływu: zwierz zachował się obojętnie, jakby nie czuł pchnięcia. Wystąpił inny, jeden z tych, którzy bronią białą pokonywują słonia i nosorożca. Ostry miecz obosieczny połyskiwał w jego prawicy wzniesionej, ażeby razić dzielnie. Ten człowiek przypominał mitycznego Perseusza, który mieczem godzi w strasznego potwora, mającego pożreć Andromedę. Szabla spadła jak błyskawica; ale na tem olbrzymiem cielsku hipopotama rana od miecza przedstawiała się niby okaleczenie, nie mające żadnego znaczenia. O wiele skuteczniej działały i teraz garści piasku miotanego w oczy. Zwierz nie mógł znieść tego, znowu się cofnął i pograżył się w wodzie, aby wymyć oczy. Sześć razy stawał do boju, zawsze jednakowo groźny i sześć razy wracał do wody. Brakowało już do walki oręża, gdyż zwierz podruzgotał mnóstwo oszczepów, które mu wpadły w paszczę, a w innych żelazo się stępiło zupełnie z powodu padania na skały i nie imaćo wcale skóry twardej.

Walka trwała przez trzy godziny i słońce już miało się ku zachodowi, a niezwycięzony

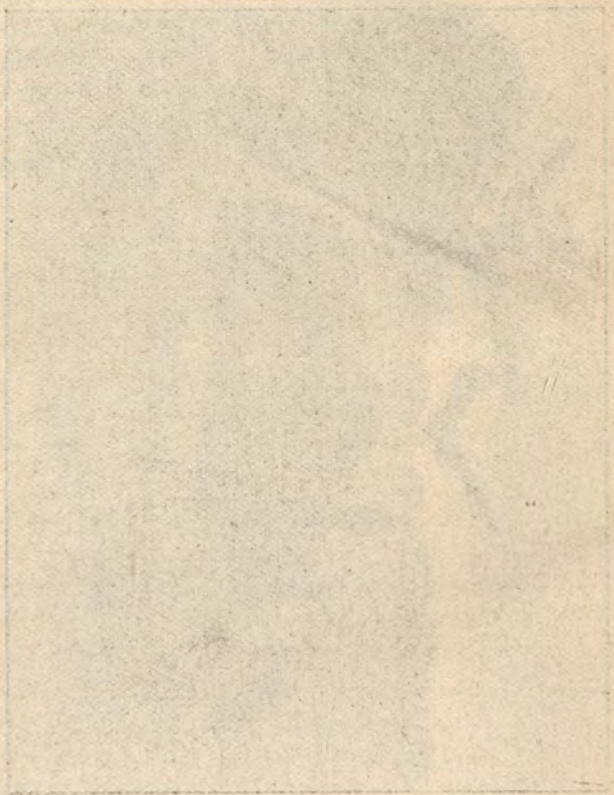
hipopotam, przyciągnięty do brzegu, jeszcze się potężnie bronił. Haurti obawiali się, aby zwierz wśród gwałtownych szamotań nie zerwał lin i zanieśli do mnie prośbę o strzał skuteczny. Wkrótce też nastęczyła się sposobność, kiedy hipopotam wzniosł głowę nad wodę. Strzeliłem w łeb między oczy i to położyło kres dramatowi krwawemu.



NOSOROZEC.

<http://rcin.org.pl>

1000000000



Nosorożec.

Jesteśmy na łądzie afrykańskim, w dolinie rzeki Atbary, na południe od miasta Kassala. Rano, pierwszego stycznia — opowiada Samuel W. Baker, — wyruszyliśmy na polowanie. Nad brzegiem rzeki dawały się widzieć liczne ślady słoni. Długo błakaliśmy się tu i owdzie, z wysokości wierzchołków swoich objaliśmy dojrziałe owoce baobabów, zbieraliśmy żywicę akacyi, która wyglądała jak topaz, a drzewa strojne nią sprawiały wrażenie czarodziejskiego ogrodu z bajki. Byliśmy już w znacznej odległości od rzeki, kiedy jeden z myśliwych ukazał nam w milczeniu kępę krzewów ciernistych, obok których widniała jakaś masa bezkształtna. Zsiadłem z konia i w towarzystwie Araba Solimana podchodziłem ostrożnie. Już w bliskości kępy rozpoznałem kształty dwóch nosorożców głębo-ko uśpionych w cieniu chróstów. Szepnąłem Solimanowi, aby niezwłocznie powrócił do strzelców, dosiadł swego podjezdka i przyprowadził

mojego w tę stronę. Teraz czałem się jak wilk, pełzałem i dotarłem do nosorożców na odległość może trzydziestu metrów. Kto wie, czy we śnie nie poczuły nieprzyjaciela, gdyż powstały z zadziwiającą zwinnością, a jeden, wydając świstanie „uif, uif, uif“, poskoczył w moim kierunku. Na nicby mi się nie zdało mierzyć w łeb uzbrojony w dwa rogi. Posłałem mu więc kulę w gardło, co wywarło nań wpływ taki, że natychmiast zawrócił; następnie oba nosorożce zniknęły z szybkością nadzwyczajną. Dalejże w pogoń! Arabowie w lot poskoczyli na koniach za tą parą. Ja też dopadłem wierzchowca i nie tracąc czasu na nabijanie strzelby, popędziłem za innemi.

Z powodu drogi, utrudniającej jazdę, pozostawałem jakiś czas w tyle, dopiero na równinie doгнаłem moich Arabów. Przedstawił się widok prawdziwie zajmujący. Dwa nosorożce, jakby sprzężone w parę, pędzą z szybkością szaloną. O dziesięć kroków od nich Arab Tasher z szablą wzniesioną, z włosami rozwianymi, ściga w obłoku pyłu na wyciągniętym jak struna biegunie. Brat jego Rodar, z cugłami zawieszonymi na resztkę uschłej ręki lewej, sunie drugi z rzędu. Trzeci jest Abu-Do, bodzie konia łydkami, nagli go okrzykami i pochyłony naprzód, z wyciągniętym mieczem długim, z oczyma roziskrzonymi, wygląda jakby w za-

pale bojowym gotów był nawet razić bodaj powietrze. Trzeba wiedzieć, że ci myśliwi polują tylko z białą bronią. Nacieram ostrogami na swego Tetela, wydobywając z niego siły nadzwyczajne i w jednej chwili jestem już wśród ludzi, koni, mieczów obnażonych. Prześcignąłem Abu-Do, którego koń osłabł, i przeto rysy twarzy Araba wyrażają rozpacz niezmierną. Zrównałem się z Rodarem, wnet go wyprzedziłem, podczas, gdy Abu-Do dochodził do szaleństwa, widząc, że nie może wyskoczyć przed innych. Usiłuję przedostać się, dotrzeć do nosorożców i jednemu z nich wsadzić kulę w bok lewy. Nie, nie można! Cwał tych zwierząt jest szalony, nadzwyczajny. Zrobiliśmy, co się tylko dało: jesteśmy w odległości od nich na trzy albo cztery kroki. Pozostaje nam jedynie nadzieja, że jeśli konie nasze będą biegły ciągle z tą samą szybkością, to nosorożce znużone, wyczerpane, może nareszcie zwolnią cokolwiek w biegu. Gdzie tam!

Przebyliśmy przestrzeń dwumilową i nie spostrzegamy ani znaku znużenia: mamy zawsze do czynienia z tą samą szybkością w suchach, czy to na równinie otwartej, czy wśród zarośli ciernistych, gęstwiny chróstów, które dla naszych koni stawiają wielką przeszkodę do biegu. Orszak nasz coś się wydłużył: mało kto już trzyma się w odległości dobrej; konie

niektóre ustają. Dotarliśmy do szczytu łańcucha wzgórz, mamy przed sobą pochyłość, łagodnie opuszczającą się ku rzece. Oto na dole widnieją gęszcz zarośli, na których widok zwierzęta ścigane zdwajają szybkość biegu, aby jak najprędzej dopaść i ukryć się w tem schronieniu. Dla nas one tam przepadną. Widzimy kres, gdzie polowanie musi się skończyć i zwiększamy usiłowania. Dwadzieścia minut trwa ta gonitwa zapamiętała. Koń Solimana ustał. Mój Tetel już nie należy do najszybszych; ale przy czynę tego może stanowi okoliczność, że ja ważę pewnie o jakie dwadzieścia pięć funtów mniej, niż inni. Już tylko czterej jeźdźcy pędzą po pochyłości wzgórz, a Taher zawsze na czele. Abu-Do jest ostatni; koń jego teraz właśnie zupełnie ustał. Zrozpaczony jeździec i myśliwy zawzięty zeskakuje na ziemię i rzecz niesłychana, pieszo puszcza się w pogoń. Ma on zaprawdę nogi antylopy! Na przestrzeni coś dwudziestu metrów, sprawiał na mnie wrażenie, że nas prześcignie i będzie miał zaszczyt zadania nosorożcowi szablą pierwszego ciosu. Było to jednak niepodobieństwem, i konie wnet go zostawiły na tyłach. Więc już tylko trzech myśliwi prowadzili pogoń.

Zbliżamy się do gęszczów i wzruszenie nasze potęguje się ogromnie. Nosorożce okazują znużenie, trzymają nosy przy ziemi, dmu-

chają w pędzie, a chmura pyłu wznosi się przed ich łbami. Ach, gdybym miał konia z siłami świeżemi! Gąszcz jest tylko o dwieście metrów. Konie ustają, mój chwieje się, robi bokami, dyszy. Ale i nosorożce już nie cwałują: biegną kłusem. Taher, naprzód, naprzód! Przygarbiony na szyi konia, z szablą wzniesioną, gotową do zadania ciosu, już-już jest na piętach zwierząt. Jeszcze dwie sekundy, a zbiegi nam ujdą. Taher zrobił nowy wysiłek; szabla błysnęła w powietrzu, rzuciła blask migocący w chwili, kiedy właśnie ostatni nosorożec znikł w gąszczu... Widziałem wyraźnie na krzyżu zwierzęcia szramę od szabli, długą na jedną stopę. Zwyciężylibyśmy całkowicie, gdybyśmy mieli jeszcze przestrzeń dwunastu metrów. „Wybornie, Taher“! — zawołałem.

Bez względu na niepowodzenie, nigdy przedtem ani potem nie doznałem równego zadowolenia. Gomitwa była znakomita, świetna. Ale wszystko blednieje w pamięci na wspomnienie dzielności nieustraszonego człowieka, który, uzbrojony jedynie w szablę, ma odwagę zaciepić i zdolny jest pokonać jednego z najpotężniejszych olbrzymów ziemi.

Wkrótce potem znowu odkryłem świeże ślady nosorożca i wniosłem z różnych spostrzeżeń, że zwierz niedaleko się ukrywa. Miałem za towarzyszków dwóch strzelców i służącego

Mahometa, który prowadził za mną konia, jeśli w danym razie wypadło mi iść pieszo. Podróż przedstawiała trudności z powodu kamieni ogromnych, ukrytych w trawie. Zatrzymaliśmy się ażeby wymiarkować, gdzie może przebywać ów zwierz tropiony, a nie chcieliśmy tak podchodzić, aby mu wiatr wiadomość o nas przyniósł. Nagle rozlega się znany świst „uif, uif, uif!” Jednocześnie słyszymy jak gdyby szum, trzask huraganu wśród traw i zarośli. Dwa straszne potwory wypadają z gąszczów, rwą ku nam z gwałtownością szaloną. Ratuj się, jak kto może! Uchodzimy co tchu i czasu niema spojrzeć poza siebie.

Miałem pod sobą konia Agara, bodąc go w boki ostrogami, obejmuję szyję jego oburącz, prawie, że leżę na nim ufny w Opatrzność i w dzielność wierzchowca. Pędzimy poprzez skały, kłody drzew zwalonych, przez chrósty, trzciny, a poza nami o kilka stóp dwa potwory piekielnie wściekłe. Brzmiało mi w uszach ich gwizdanie, a musiał to słyszeć również mój koń, gdyż urągał w pędzie wszelkim przeszkodom. Myśliwi rozprószyli się. Mahomet otrzymał pchnięcie od nosorożca i upadł, niektórzy, podpierając się kolbami karabinów, włązili na skały. Przy wyjściu z gąszczów spojrzałem poza siebie: nie miałem już na piętach nosorożców, które pędziły teraz po linii prostej. Rzecz

nadzwyczajnie dziwna, że mój koń zdołał ująć w takich wertepach. Ubranie na mnie było w strzępach, krew płynęła z rąk pokaleczonych. Gdybym się nie był trzymał szyi konia, gałęzie kolczaste niezawodnie ściągnęłyby mię z siodła w czasie tej ucieczki. Ludzie, należący do orszaku myśliwskiego, znajdowali się w stanie opłakanym: szpetnie obdarci i podrapani. Co się tyczy Mahometa, nosorożec zwałił go z nóg w pędzie szalonym i przebiegł w mgnieniu oka po jego ciele, nie zwracając uwagi na tak małą przeszkodę. Więc Arab najadł się strachu daleko więcej, niż doznał krzywdy. A tak, oba moje polowania na nosorożca nie miały powodzenia.

Znowu ułynęło kilka dni czasu, podczas których polowałem bądź na bawoły, bądź na antylopy, strusie. Dopiero jednego razu, krążąc po okolicy, gdzieśmy zniszczyli trawy ogniem, spostrzegłem na popiele odciski wyraźne stopy nosorożca. Stąd udaliśmy się do lasu i tu niebawem ujrzeliśmy nosorożca, który samotnie używał wypoczynku na polance. Natychmiast umieściłem swą drużynę tak, aby nie zwróciła uwagi zwierza, oddałem im pod opiekę swego konia i samowtór zacząłem z największą ostrożnością obchodzić położenie. Z odległości trzydziestu pięciu kroków wypaliłem mierząc w łopatkę. Nosorożec porwał się żywo, śledził oczy-

ma, gdzie jest przyczyna, która mu zadała ranę. Kiedy mię spostrzegł, odwrócił się, poszedł spokojnie pod pobliskie drzewo z wielką koroną i tam się położył. Był to znak, że otrzymał ranę ciężką. Przybliżyłem się znowu do niego w chwili, kiedy właśnie spostrzegł w oddaleniu Tahera i powstał. Odsłonił mi bok, więc strzeliłem. Podskoczył i rzucił się nagle w moją stronę. Miałem już posłać mu trzecią kulę, kiedy stanął, obrócił się, wydał głos ostry, przenikliwy i padł na ziemię. Rzuciłem nań kamień, przekonałem się, że nie żyje. Łatwe było zwycięstwo. Zdjęliśmy skórę z niego tak łatwo, jak z pomarańczy: jest to bardzo cenny materiał na tarcze, których robi się coś siedm z jednej skóry. Róg, używany na rękojeści szabel, ma także wartość niemałą.

Potem wypadło mi zwiedzić Gallabat, pograniczne miasto Abisynii. Podążając tam, zrobiliśmy jednego dnia namioty w pięknej dolinie nad strumieniem. Nazajutrz rano dosiadłem wierzchowca i w towarzystwie Tahera, Hassana i Hadzi-Alego udałem się na "wzgórek wzniesiony nad poziom może o jakie sto metrów. Kiedy tak rozpatruję stąd okolice, naraz spostrzegam dwa nosorożce, które wyszły z wąwozu. Postępowały krokiem wolnym, zatrzymały się u stóp naszego pagórka i jęły tu szczypać trawę. Widocznie jednak coś zwiet-

rzyły, gdyż zawróciły i skryły się tam, skąd wyszły przed chwilą. Ale i tak widziałem je jeszcze z góry dobrze; byłem tylko pewny, że ich nie zobaczę, kiedy zejść w dolinę. Niezwłocznie posłałem do biwaku jeszcze po dwa konie, które w danym razie mogły być potrzebne. Kiedy je przyprowadzono, kazałem Tetela przywiązać za cugle do drzewa u stóp pagórka, ponieważ postać jeźdźca na koniu rysuje się zbyt wyraźnie i nosorożce mogłyby mię dojrzeć. Stojąc na tem wzniesieniu, widziałem wszystko jak na dłoni: zwierzęta leżyły w cieniu i były podobne do wielkich brył kamieni. Dwa dziki, biegnąc za wiatrem, zbliżały się ku ich schronieniu. Nosorożce zwierzyły to natychmiast, zerwały się na równe nogi, zaniepokojone znowu opuściły wąwóz, szły a postawały nieustannie. Postępowały w odległości stu kroków jeden od drugiego, kierując się właśnie w tę stronę, gdzie kazałem uwiązać wierzchowca.

Pełen obawy, aby dzielny koń nie padł ich ofiarą, czempredzej zwróciłem na to uwagę Tahera. „Nie, nie!” — odpowiedział. — „Żar kapie z nieba, i one szukają cienia, aby się położyć!” — A jednak zbliżały się coraz więcej i naraz ten, który szedł na przedzie, przystanął: spostrzegł konia. Puściłem się teraz tak rączo, jak tylko pozwalały na to kamienie, a już nie

spuszczałem z oka zwierza, zmierzającego prosto do konia z zamiarem napaści. Mój wierzchowiec nie domyślał się niczego, spokojnie wystawał na uwięzi pod drzewem. Dobięłem właśnie do podnoża wzgórka, kiedy koń spostrzegł, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża: nosorożec był już tylko o pięćdziesiąt kroków. Wnet zniżył głowę i rzucił się szalonym pędem na konia.

Przestrzeń dwustu metrów dzieliła mię od zwierza, ale linia strzału była taka, że mogłem ugodzić konia; a tu konieczność nagliła mię do działania stanowczego. Wypaliłem i spudłowałem. Jednakże kula uderzyła w ziemię przed samym łbem potwora: rozbryzgała piasek i okruchy skały, które mu zasypały oczy i zatrzymały go w chwili, kiedy miał już, już dosięgnąć konia. Wierzchowiec zyskał przez to na czasie, wspiął się, szarpnął silnie, zerwał cugle i pobiegł cwałem w kierunku naszego obozu. Nosorożec, oślepiiony piaskiem, przez chwilę stał w miejscu, wstrząsając łbem gniewnie, a potem zawrócił w stronę, skąd przybył. Wyprzedziłem go, zabiegając bokiem, i przyczałem się za krzakiem. Pośpieszył kłusem, wznosił głowę, jak gdyby chciał wypatrywać przyczynę porażki doznanej. Miałem go na odległość stu kroków i strzeliłem: kula ugodziła w łopatkę. W gnieniu oka poskoczył ku mnie z zadartym ogonem,

ale nagle dostał widać zawrotu głowy, gdyż zrobił obrót w kółko, cofnął się krokiem wolnym i legł pod drzewem. Otrzymał widać ranę śmiertelną.

Po niejakiem czasie nadszedł jego towarzysz, który spoglądał naokoło z niepokojem, chciał odkryć powód niebezpieczeństwa, a nie mógł go znaleźć; gąszcze zakrywały mię jak najlepiej. Wnet potem ranny zwierz dzwignął się i ruszył w drogę krokiem ciężkim, niepewnym; towarzysz podążył w jego ślady. Dopóki było można, śledziłem uchodzące zwierzęta i widziałem, w którym kierunku zniknęły. Teraz co tchu wysłałem Hassana, aby odszukał i przyprowadził mi wierzchowca — Tetela i wyprawił Tahera na szczyt pagórka, w celu przekonania się, czy nosorożce są jeszcze widzialne stamtąd. Gdyby ich bowiem nie było widać, znaczyłoby to, że przebywają w chróstach przeplatanych drzewami, u podnoża wzgórka.

Upłynęła dobra godzina, kiedy się zjawił Hadzi-Ali, prowadząc dwa konie. Postanowiłem dosiąść Agara i zacząłem natychmiast przyciągać popręgi siodła krajowego, a przeklinałem strzemiona, w których zaledwie się zmieścić może palec wielki u nogi. Atoli ku wielkiej radości ujrzałem Hassana cwałującego na Tetelu: przybywał właśnie z tej strony, gdzie nosorożce

zniknęły, i rzekł, tłumiąc głos w sobie: „Niech się pan śpieszy! Jeden niedaleko stąd leży nieżywy, a o parę kroków od niego drugi stoi pod drzewem“. Rażno wskoczyłem na siodło, wziąłem swój mniejszy, podręczny karabinek, a zaleciłem Hassanowi i Hadzi-Alemu pośpieszać za mną na koniach, aby mi w razie potrzeby mogli podawać broń nabitą.

Istotnie, jeden nosorożec leżał martwy, a drugi stał jeszcze tak, jak go Hassan widział. Spostrzegł nas odrazu, jednak nie ruszył się z miejsca, wyczekiwał mężnie i pozwolił mi podejść na pięćdziesiąt kroków. Trzeba tu oddać koniowi sprawiedliwość: mój Tetel na polowaniu wart był tyle funtów złota, ile ważył; szedł on niewzruszony, jak skała, można było nacierać śmiało na dyabła samego. Z miejsca, w którym się znajdował, nie mogłem strzelać; poleciłem więc służącym, aby okrążyli półkole i zwrócili na siebie uwagę nosorożca, który w takim razie zapewneby mi swój bok odsłonił. Jak przewidywałem, tak się stało. Strzeliłem, i zwierzę ugodzone w łopatkę, zwałił się na ziemię. „Piękny strzał!“ zawołał Taher. Nosorożec wił się na ziemi w męczarniach konania, więc sądziłem, że otrzymał cios śmiertelny. Tymczasem nie tak było, kula bowiem strzaskała mu tylko łopatkę i to wywołało paraliż chwilowy, który

wkrótce przeminął. Zwierz powstał, puścił się cwałem; my też za nim uderzyliśmy w pogoń. Była to gonitwa pełna przeszkód nadzwyczajnych, wśród drzew, skał, gruzów kamiennych.— „Zwolna, Tetelu, zwolna!“ — mówiłem i ściągałem cugle, dopóki na dół nie zjechaliśmy z pagórka. Bo trzeba wiedzieć, że nosorożec, choć ranny, przebiegł pędem ów wzgórek aż do szczytu, a potem zbiegł w dolinę. Nic też dziwnego, że nas zostawił daleko poza sobą.

Byliśmy nareszcie na płaszczyźnie równej zupełnie, usianej tu i owdzie drzewami, które jednak wcale nie krępowały swobody naszych ruchów. Puściłem się teraz w cwał za zwierzem, który widniał w odległości może dwustu metrów, a wnet utracił przewagę, jaką pozyskał nad nami, kiedy się opuszczał z pochyłości pagórka. Ścigany, wykonał nagle zwrot ze zwinnością godną podziwienia i na nas się rzucił. Wcześniej się opatrzyłem i przez szybkie uskokowanie na bok uniknąłem spotkania. Kiedy już przebiegł, podążyłem za nim, trzymając się w oddaleniu kilku metrów. Gnaliśmy tak z półtorej mili, a nosorożec coraz to się odwrócił i uderzał na nas; ale zawsze jakoś szczęśliwie uszliśmy niebezpieczeństwa. Chociaż Tetel sunął jak chart, jednak zwierz ścigany, ile razy go już-już miałem dopędzić i dobrać się do jęgo

boku, stawał się istną błyskawicą. Z tem wszystkim rana musiała mu dokuczać, gdyż zaczął utykać. Spostrzegłem w niejkiej odległości grunt piaszczysty, ciężki do przebycia i byłem pewny, że nosorożec tam już zginie. Jakoż na drodze sypkiego piasku zwolnił biegu, a nogi grzęzły mu za każdym krokiem. Nareszcie odwrócił się, ale napaść jego była mniej już gwałtowna i gdym jej uniknął z łatwością, zwierz stanął nieruchomy, zwrócony do mnie swoim łbem straszliwym. Widok potwora, stojącego w postawie groźnej, wywarł wrażenie na nasze konie. Przestraszyła się głównie Gazela, klacz nadzwyczajnie lękliwa, a przeto niezdolna do wypraw myśliwskich. Jej wspinanie, wierzganie i chrapanie, zwróciło uwagę nosorożca, pobudzając go do napaści. Skorzystałem z chwili, zajechałem mu co żywo do boku i posłałem dwie kule. Runął odrazu jak ścięty, śmierć nastąpiła natychmiast.

Teraz pośpieszyłem do obozu, ażeby wyprowadzić ludzi z wielbłądami i sprowadzić zastrzelone zwierzęta. Widziałem w przejeździe, że na cielsku nosorożca naprzód zabitego, zgromadził się już tłum sępów, który wzrastał z każdą chwilą. Żarłoczne ptaki już wydarły zabitemu oczy, a niektóre pracowały usilnie, ażeby dziobami rozszerzyć jego ranę od kuli. Kilka marabutów stało z dumą i powagą wśród tej

zgrai łakomej, wczekując chwili odpowiedniej do spełnienia obowiązków grabarzy. Ale cierpliwość ich wszystkich przechodziła tymczasem ciężką próbę, ponieważ bardzo twarda skóra zabitego, opierała się najsilniejszym uderzeniom dziobów.

Krokodyl.

Te gady z postaci są bardzo podobne do jaszczurek. Żyją w wodzie i na lądzie, ale woda stanowi ich żywioł ulubiony. Pływają wybornie, w czym je dzielnie wspiera ogon potężny. Karmi się mięsem i są nadzwyczajnie żarłoczne.

Rodzina krokodylowatych obejmuje kilka gatunków, z których trzy są najlepiej znane. Tak zwany *krokodyl nilowy* zamieszkuje w wodach Afryki; inny gatunek *gawiał mudela* jest mieszkańcem Gangesu, ojczyzną zaś *aligatora* albo *kajmana* jest Ameryka. Starożytni Egipcyanie oddawali krokodylowi cześć boską, a Indusi dziś jeszcze uważają swego gawiała za zwierzę święte. A przecież gady te są prawdziwą klęską krain, w których żyją, ponieważ pożerają ludzi i zwierzęta domowe.

W całym Sudanie niema jednej wsi, gdzieby ktoś z żyjących nie pamiętał, że w takim a takim roku, krokodyl pożarł jednego z miesz-

kańców. Nilowy jest najdrapieżniejszy ze wszystkich, jakkolwiek żadnemu nie można dowierzać. Człowiek powinien tępić tego potwora wszelkimi sposobami. Prawda, że krokodyl nosi na sobie twardy pancerz z tarczy kościanych, ale ciało jego ma także i słabe strony: oczy, gardło, brzuch, miejsca przy osadzie nóg, gdzie kula celnie wystana zawsze zrobi swoje. Myśliwy powinien o tem pamiętać, jeżeli się nie zaopatrzył w broń palną, z której kula przedziurawia i pancerz. Jednakże gad potworny ma życie trwałe i rzadko się zdarza, aby od jednej kuli został na miejscu.

Jeden z podróżników opowiada, jakoby Murzyni w Senegalu ważyli się nieraz nurkiem pod pływać pod krokodyla i sztyletem zadawali mu w brzuch ciosy. Krajowiec jakiś z Saint-Louis był tak zuchwale odważny, że sobie robił z tego zabawkę, co mu się przez długi czas udawało. Aż nareszcie, jednego razu, krokodyl pochwycił go za nogę i uniósł. Na szczęście, ludzie będący na brzegu, spostrzegli walkę, szybko pośpieszyli z pomocą i ocalili junaka, który po tych zapasach na zawsze został kaleką.

U Murzynów tego kraju jest też w zwyczaju polowanie, wymagające wszakże odwagi niepospolitej. Kiedy mianowicie spostrzegą krokodyla w jakiejś miejscowości, gdzie jest za mało wody, ażeby mógł pływać, natychmiast

pierwszy lepszy obwiązuje sobie tego lewą rękę skórą wołową i z lancą w prawej idzie śmiało na spotkanie potwora. Za nim pośpieszają inni, uzbrojeni również w lance. Napadają oni na zwierzę, rażąc je w oczy, w gardło. Potwór tak zaskoczony otwiera paszczę straszliwą, ukazując liczne zębce, a działacz główny wpycha mu wtedy lewicę głęboko w gardło, co sprawia, że paszcza nie może się zawrzeć. Tymczasem ręka prawa jest w ruchu nieustannym i żwawo zadaje pchnięcia w oczy, gardło. Inni towarzysze także nie próżnują, i krokodyl ginie podziurawiony, jak sito w miejscach słabych.

Na lądzie poczynają sobie z nim jeszcze snadniej, jak można sądzić z opowiadania przyrodnika Adansona.

„Jeden z moich służących, a to niespodziewanie, spostrzegł krokodyla w zaroślach uśpionego, pod drzewem na brzegu rzeki. Zbliżał się cicho, na palcach, aby mu snu nie przerwać, i kiedy dotarł, zadał zwierzowi tak silne pchnięcie w szyję, że koniec noża wyszedł z drugiej strony. Krokodyl, raniony śmiertelnie, wił się, rzucał i uderzył ogonem Murzyna, który padł na ziemię. Dzielny człowiek nie stracił jednak przytomności ani odwagi: powstał co żywo i paszczę krokodyla okręcił szmatą, używaną przez Murzynów za osłonę dolnej części ciała. Zgiełk walki zwabił tam ludzi, z których

jeden wsiadł na krokodyla jak na konia i przytrzymywał szmatę okręconą na paszczy, inni czepiali się ogona. Podczas tego mój służący tak operował nożem, że oddzielił głowę od kadłuba“.

Na obszarze Nilu dolnego krokodyl jest dziś rzadkością: wytępiono go naprzód tam, gdzie odbierał cześć boską onego czasu. Za to łatwo go spotkać na każdej rzece, której brzegi las dziewiczy pokrywa. Tam wytępienie jego nastąpi dopiero w czasach przyszłych, kiedy mieszkańcy porzucą swój prastary oręż i pierwotne sposoby łowów, a zaczną używać broni palnej. Ale daleko jeszcze do tego!

Krajowcy tu i owdzie zastawiają na krokodyla łąpki. Wyczekują mianowicie chwili, kopiąc na drodze jego dół głęboki, który starannie nakrywają z wierzchu gałęziami a posypują ziemią. Przygotowawszy łąpkę, płoszą zwierzę krzykiem i zgiełkiem. Krokodyl przestraszony rzuca się na drogę przebytą niedawno, usiłuje jak najprędzej dopaść do rzeki. Biegając z pośpiechem ogromnym, napotyka ów dół zdradziecki i zapada się weń razem z lekko narzuconą pokrywą. Pokonanie do reszty tak złowionego, nie przedstawia już trudności wielkich, a stanowi raczej zabawkę dla łowców.

Inni znowu okręcają na pniu drzewa linę mocną, a na drugim końcu tej liny przywiązują

hak żelazny i jagnię. Ponętę taką umieszczają tuż nad wodą. Bek owieczki sprowadza dra pieźnika, który razem z ofiarą chwytą i hak w paszczę. Teraz krokodyl uczuwa ból, dławienie, zaczyna się rzucać, miotać, przez co hak tem głębiej przenika w ciało, tem dotkliwiej draźni. Łowcy zwolna popuszczają mu linę okręconą na drzewie i cierpliwie wyczekują chwili, ażeby wyczerpanego, nawpół martwego gada zbliżyć do brzegu, dobić i wyciągnąć z wody.

W podobny sposób polują, a przynajmniej polowali na kajmany przed niedawnym czasem, Murzyni w Karolinie, z tą tylko różnicą, że ponętę i wędę przywiązywali do łańcucha żelaznego.

Murzyni Florydy wychodzili na łowy w dziesięciu lub dwunastu, ścinali spore drzewo, okrzesywali je z gałęzi, a z jednego końca zacinali jako ostry pal. Potem już czatowali wytrwale, aby kajmana zaskoczyć na lądzie, zachodząc mu drogę od wody. Zwierz, na widok idących śmiało ku niemu ludzi, gotował się do obrony i otwierał paszczę; wtedy ci, którzy w kilku nieśli ów pal potężny, z nadzwyczajną zręcznością i siłą, wpychali go co tchu kajmanowi w gardło jak najgłębiej. Potwór dławiony i party, wił się po ziemi, a inni łowcy razili go ze wszystkich stron, dopóki nie zabili.

Jawańczycy też umieją łowić swego kro-

kodyla na ponętę. W tym celu przywiązują na końcu liny, lekko skręconej, hakowaty kawałek drzewa twardego, który otaczają padliną. Drapieżnik połyka chciwie ponętę, a nie może jej coś przełknąć; usiłuje przegryźć linę, która jest tak ukręcona, że załazi między zęby, i oprócz tego, hak tkwiący w gardle nie pozwala, aby się szczęki zawarły. Na udręczonego w ten sposób potwora wpadają łowcy należycie uzbrojeni i śmierć mu zadają. Mieszkańcy Syamu używają też często pierwotnych sposobów łowów na krokodyla: wędy i harpuna. W pierwszym razie za ponętę służy kaczką żywa, pod której brzuchem przywiązują kołek długi na dziesięć cali, dosyć gruby w środku, a po obu końcach ostro zakończony. Do tego kołka przytwierdzają linę, lecz mocną, na drugim zaś jej końcu przywiązują kawałki bambusu, lub drewno lekkie, mogące pływać na powierzchni wody jak korek. Umieszczają tę kaczkę na środku rzeki, gdzie ona rzuca się, wrzeszczy, niepokojona przez ów kołek, którego chciałaby się pozbyć. Krokodyl w jakiś czas spostrzeżę zdobycz, podpływa nurkiem i z pod spodu porywa ptaka, a z nim śpiczasty kołek przeznaczony do tego, aby się rozparł w żarłocznym gardle i ugrzązł. Teraz łowcy śledzą ruchy potwora udławionego, a daje im znać o nim bambus, pływający na powierzchni wody. Chwytają oni

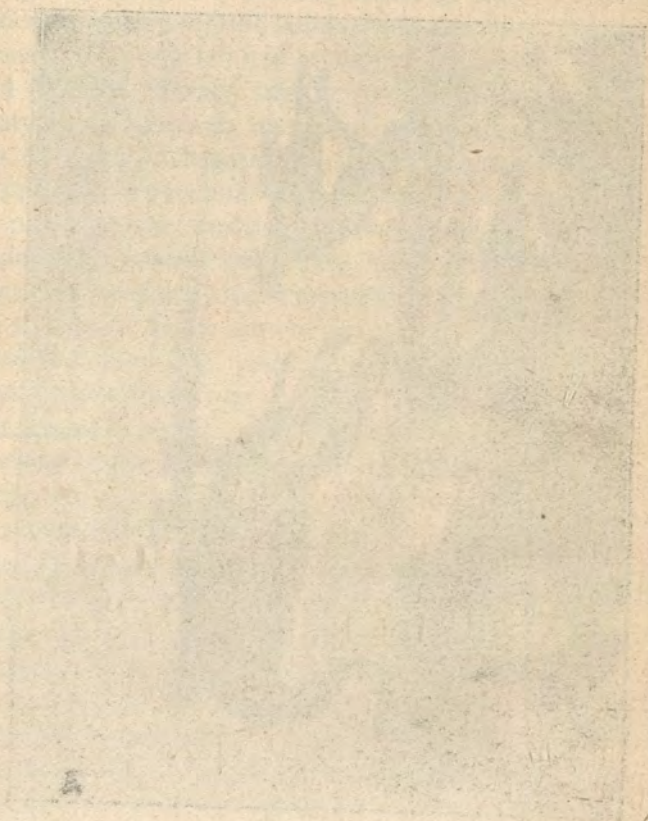
ów bambus, przyciągają go z wolna do brzegu i, ma się rozumieć, lina ciągnie jednocześnie dławionego krokodyla z paszczą otwartą, usiłującego wyksztusić i wypluć kołek przeklęty. Jak tylko zwierz wzniesie łeb nad wodę, łowcy rzucają nań harpuny, strzały żelazne, osadzone na drewnianych rękojeściach, mających około pięciu stóp długości. Urządzenie harpuna jest takie, że rękojeść drewniana oddziela się od żelaza i, pływając po wodzie, wskazuje okolice pod wodą, gdzie zwierz przebywa. Kiedy krokodyl ma już w ciele kilka harpunów, słabnie, a wtedy wyciągają go na ląd i dobijają toporami.

Przebieg łowów z harpunami jest taki. Krokodyl przynajmniej co pół godziny musi wychylić głowę z wody, aby czerpnąć powietrza, i wtedy otwiera paszczę. Otóż liczne czółna czatują na tę chwilę i w mgnieniu oka sypią się z nich harpuny, które godzą w paszczę roztwartą. Że zaś Syamczycy słyną ze zręczności w tej sztuce, więc częstokroć niejeden pocisk trafia do celu. Rękojeść drewniana, jak wiemy, oddziela się od żelaza, pływa po wodzie i służy za znak, gdzie zwierzę rażone przebywa. Człowiek znowu, który trzyma w ręku linę harpuna, miarkuje z jej natężenia i ruchów, kiedy mianowicie krokodyl opuszcza dno wody i zawiadamia o tem wszystkich łowców, ażeby byli gotowi. Głowa potwora znowu się ukazuje,



KROKODYL.

<http://rcin.org.pl>



gdyż oddychać koniecznie potrzeba, a nowe harpuny lecą w paszczę. To trwa dopóty, dopóki łowcy sami nie uznają, że otrzymał już dosyć pocisków. Wtedy wyciągają go z wody i dobijają.

Z harpunem polują także w Afryce, o czem wspominaliśmy, opisując łowy na hipopotama. Ale ten sposób łowiecki ma różne swoje odmiany, jak się przekonać można z tego co następuje.

W porze, kiedy opadają wody rzek, a pojawiają się ławy piaszczyste, na których krokodyle wygrzewają w słońcu ciała i śpią, łowcy zabierają się do dzieła. Przedewszystkiem miarują, gdzie jest miejsce zwykłego wypoczynku opancerzonego jaszczura, przywiązującego się nałogowo do jednego kąta. Stosownie do tej danej, kopią dół w piasku mogący ukryć człowieka, przyczem baczą na to, aby wiatr nie zdradzał obecności łowcy w dole i aby odległość dawała możliwość rzutu celnego. Biegły w swej sztuce myśliwy włazi do dołu i cierpliwie oczekuje przybycia krokodyla, a następnie jego drzemki. Za oręż służy tu grot żelazny, trójkanciasty, z wąsami, przymocowany do lekkiej drewnianej rękojeści za pomocą obrączki i do liny luźnie skręconej z dwudziestu lub trzydziestu sznurków mocnych. Krokodyl nie zrobił zawodu: wylał z wody na ławę i zasnął.

Nasz łowca zrobił także, co do niego należało: rzucił pocisk zręcznie, przytem, z taką siłą, że grot przebił pancerz kościany i przeniknął w ciało na jakie cztery cale. Ostrze utkwione zaraz odpadło od rękojeści. Zwierz gwałtownie rzucił się do wody, walił wściekle ogonem wokoło, chwycił w paszczę linę i usiłował ją przegryźć; ale luźne sznurki załazły mu między zęby i choć niektóre przeciął, inne krzepko trzymały. Rękojeść pływająca dawała wskazówkę o miejscu jego pobytu, jeśli przebywał w głębinach pomniejszych. Kiedy się puścił na wielkie tonie, wtedy inne drewno dalej przywiązane na linie, zaznaczało jego ruchy i kierunek pobytu. Myśliwy wsiadł w czółno, podąży z wolną drogą, którą mu wskazują owe drewna pływające. To trwa przez czas jakiś, aż zwierz osłabnie a przytem nastarczy się brzeg podatny do wyciągnięcia z wody zdobyczy.

Krajowiec siedzący w czółnie łowi drewno, pociąga je lekko ku brzegowi, a z niem linę i krokodyla. Bywa nieraz, że przy mocniejszym naprężeniu liny, a znaczniejszym oporze krokodyla, żelazo puszcza, wtedy zdobycz uchodzi. W przeciwnym razie, zwierz otrzymuje przy wylądowaniu nożem w gardło; albo, nawet bez tego, wyciągają go na brzeg, związują powrozem obie szczęki, następnie nogi założone na

grzbiet, i ubezwładnionemu rozbijają toporami kolumnę pacierzową.

Niektórzy Murzyni w Ameryce używają do łowów pętli, którą umieją zręcznie zarzucić na szyję kajmana, potem pojmanego wyciągają i zabijają. Indianie Ameryki Południowej łowią go wędą, przywiązaną do drzewa nadbrzeżnego na łańcuchu i zaopatrzoną w przynętę z mięsa. Wszystkie te i do nich podobne łowy są jeszcze bardzo pierwotne, a dla krokodyłów niezbyt groźne. Przekonywają one, że od dwudziestu pięciu wieków niewielkie zmiany zaszły na tem polu.

Według opowiadania Herodota bowiem, łowcy starożytni umieszczali w wodzie prosię z wędą, zmuszali je kijem do kwiku, ażeby zwabić żarłocznego potwora. Jak tylko krokodyl połknął ponętę zdradziecką, przyciągali go do brzegu, zamazywali mu oczy mułem i następnie śmierć zadawali.

Pliniusz opisuje myśliwych, którzy zuchwale uderzali na krokodyla w wodzie, zarzucali mu pętlę na szyję i wraz dosiadali jak konia. Jeżeli zwierz otworzył paszczę, zakładali mu nатыchmiast wpoprzek tęgi kołek, coś w rodzaju wędzidla, i jeździec na krokodylu wyjeżdżał na ląd wierzchem.

Niema chyba potrzeby udowadniać, że to jest bajka wierutna. — Gad ten bardzo obficie

rozpościera się na kuli ziemskiej, ponieważ jest mnożny, żyje długo, nie ma nieprzyjaciół groźnych z wyjątkiem człowieka, a człowiek walczy z nim w sposób pierwotny, mało skuteczny. Wiele i to stanowi, że korzyści z zabitego są bardzo nieznaczne.

Przez jakiś czas panowała moda butów i siodeł ze skóry aligatora. Widząc zyski, Indianie rzucili się do łowów i ogromnie trzebili te potwory, zwłaszcza na rzece Czerwonej. Pokazało się jednak, że owe skóry są słabe, a przepuszczają łatwo wilgoć. Ochota do łowów zaraz ostygła.

Sudańczycy uważają za największy zysk z zabitego krokodyla gruczoły szczęki dolnej, bogatej w piżmo, którego kobiety używają jako pachnidło. Tłuszcz kajmanów służy za smarowidło do machin. Mięso krokodylów służy tu i owdzie za pokarm dla ludzi. Korzyści te jednak nie mogą iść w porównanie z zyskami, które przynosi polowanie na słońca lub nawet strusia.

Skoro mowa jest o krokodylu, należy wspomnieć i o ptaku zwanym przez Arabów „stróżem krokodyla“. Jest to siewka egipska, *hyas aegyptiaca*, która żyje w stosunku niejkiej zażyłości ze straszliwym gadem, ponieważ stanowi on jej pastwisko. Siewka znajduje na jego grzbiecie owady, pijawki, będące jej pożywie-

niem; ośmiela się nawet wydziobywać mu z zębów różne tkwiące w nich resztki, łowić na dziąsłach potwora muchy i komary. Naturalnie, na widok nadchodzącego człowieka ptak się porywa i wydaje zwykły okrzyk, co budzi ze snu krokodyla. Jeżeli zbliżający się człowiek jest myśliwy, to siewka w niwecz obraca jego zamiary. Szpaczek, *buphaga erythrorhyncha*, żyje w nieco podobnym związku z nosorożcem, słoniem lub i bydłem domowem, mianowicie jeśli te zwierzęta mają rany, na których muchy siadają i niosą jajka.

Struś.

Liczne bajki krążą o strusiu, powtarzane od czasów starożytnych z dobroduszną wiarą. Dawniej twierdzono naprzykład, że ptak ten karmi się głównie drzewem, kamieniami, żelazem, że połyka nawet węgle rozżarzone. Utrzymuje się dotąd dosyć powszechnie przekonanie, jakoby struś, włożywszy głowę w krzak lub piasek, był pewny, że zabezpieczył ciało przed nieprzyjacielem. Istotnie, ptak ten połyka kawałki drzewa, kamyki, blaszki, szkło, podobnie jak kury, ale przecież się tem nie żywi. Struś jest mieszkańcem pustyń afrykańskich, gdzie prowadzi życie koczownicze. Karmi się roślinami, owadami, jaszczurkami, węzami i możnaby powiedzieć ze względu na jego budowę olbrzymią, jest raczej wstrzemięźliwy niż żarłoczny. Posiada siłę mięśni nadzwyczajną, a przeto lekceważy sobie napad szakala, psa, hyeny. Szybki w biegu, silny, wytrwały, byłby na pustyni

wierzchowcem nieocenionym, gdyby się dał oswoić i ułożyć. Wprawdzie nie błyszczy on rozumem, ale też i nie jest tak głupi, jak go okrzyczano. Jest to ptak spokojny, nadzwyczaj ostrożny, czujny, towarzyski. Struś zwykle staje mężnie w obronie swych dzieci.

Krajowcy Arabowie bardzo często polują na tego ptaka w taki sposób: Zbiera się towarzystwo jeźdźców, gotowych do wyprawy zarówno uciążliwej jak zyskowej. W pochód idą także wielbłądy, zaopatrzone w różne zapasy żywności. Kiedy spostrzeżono strusia, należy głównie dbać o to, aby go nie stracić z oczu. Olbrzymi ptak, na widok jeźdźców, puszcza się, pędzi i niebawem zostawia ich daleko poza sobą. Przystaje atoli po jakimś czasie i z oddalenia spogląda na zbliżających się ludzi, jak gdyby drwił z ich powolności. Łowcy nadciągają, a struś znowu uchodzi całym pędem, bo jak, wiadomo, nie oszczędza on nigdy sił swoich. I teraz także przystaje, patrzy, zdaje się mówić: „Nie mam się czego obawiać“. To się powtarza wiele razy. Ponieważ myśliwi rozpoczęli te łowy o świtaniu, więc zanim upał nastąpi, struś ma ciągle przewagę nad nimi; niemniej jednak ta ciągła ucieczka i niepokój czynią go nieznacznie nużyć. W miarę zaś tego, jak słońce coraz bardziej dopieka, ptak omdlewa.

Jeźdźcy oszczędzali dotąd sił swoich koni i teraz rzucają się w pełnym cwał, dopędzają wyczerpanego do reszty strusia. Pierwszy, który go dopadł, zadaje z konia cios potężny w łeb pałką i powala ptaka na ziemię. Inni nadbiegają natychmiast, przecinają mu szyję, wkładają w ranę palec łapy, aby rzucając się w mękach konania, nie poplamili krwią piór cennych. Jak tylko ofiara wyzionęła dech życia, obdzierają ją ze wszystkiego co ma dla nich wartość, i prowadzą dalej polowanie, jeśli na to pozwalają siły koni i zapasy żywności. Jeździec na najdzielniejszym biegunie nie jest w stanie dopędzić strusia, który ma świeże siły do ucieczki.

W kraju Przylądkowym jezdny myśliwy również nie puszcza się nigdy od razu cwałem w pogoń za tym ptakiem. Oszczędza on ciągle swego wierzchowca i tylko śledzi z rozmaitych wzgórków uchodzącą zwierzynę. Dopiero kiedy zobaczy, że struś już chłodnie w zapale do biegu, że członki jego sztywnieją, wtedy wypuszcza konia, dopada i strzałem powala zdobywcę pożądaną.

U Arabów wielkiej pustyni dwa są sposoby łowów na strusia: na koniach i z zasadzki. Polowanie w całym znaczeniu tego słowa odbywa się konno. Wyprawa cała trwa mniej więcej przez tydzień, a pora, która sprzyja takiemu



STRUŚ.

przedsięwzięciu, przypada na czas skwarów największych.

Podajemy więc tu nader zajmujący opis, skreślony przez wiarogodnego świadka tych łowów. Dziesięciu jeźdźców puściło się raz na wyprawę myśliwską. Każdy myśliwy zabrał z sobą służącego i wielbłąda, który dźwigał wory z wodą, jęczmień dla konia, zapasy daktyli, mąki, naczynia do gotowania i t. d. Jedyny oręż jeźdźca stanowiła laska zwyczajna z oliwki dzikiej, długa cztery do pięciu stóp i bardzo ciężka w jednym końcu. Wyruszyli w drogę wczesnie rano, a po dwóch dniach pochodu przybyli do okolicy pustynnej, o której wiedzieli już, że jest miejscem pobytu strusiów. Tutaj sprawdzili istnienie śladów i rozłożyli się obozem. Nazajutrz wysłano na zwiady dwóch służących, ludzi doświadczonej roztropności, w celu bliższego zbadania stanu rzeczy. Ci ludzie, mający za całe ubranie szmatę od pasa do kolan, wzięli w drogę wór skórzany z wodą, nieco chleba i zniknęli w pustyni. Błąkali się tu i owdzie, przezornie rozpatrując okolicę, aż nareszcie spostrzegli stado strusiów. Tacy ludzie są podstępni, jak koty dzikie, a ostrożni jak gazele. Położyli się na ziemi, robili przez jakiś czas spostrzeżenia, zapisując w pamięci wszystko, co należało spostrzedz. Kiedy to uczynili, jeden z nich pozostał w miejscu, drugi zaś

wrócił do obozu, gdzie myśliwi oczekiwali, aby zasięgnąć języka. Teraz jeźdźcy zwinęli obóz i prowadzeni przez przewodnika, który na własne oczy widział strusie, jako też miejsce ich pobytu, ruszyli całym taborem w dalszą drogę. Przybyli do ostatniej wyniosłości, po za którą mogli się jeszcze ukrywać, i tam posiadali z koni. Natychmiast wyprawiono dwóch ludzi bieglech, jakby szpiegów, w celu sprawdzenia, czy strusie pozostają ściśle w tem samym miejscu, gdzie je pierwotnie widziano. Tropiciele owi, pełzając na brzuchach jak węże, poczynili nowe spostrzeżenia i powrócili do panów. Myśliwi mieli już należyte wyobrażenie o kierunkach, o całym położeniu miejsca pobytu ptaków i stosownie do tego mogli na danym obszarze ułożyć plan polowania. Umiarkowanie napoili konie wodą, której zapasy w workach skórzanych znajdowały się na grzbietach wielbłądów. Następnie złożono wszystkie juki tam na miejscu i pozostawiono je bez straży. Każdy z jeźdźców wziął na konia wór z wodą, o czem się w pustyni nigdy nie zapomina, i wyruszono dalej. W ślady koni podążali służący na wielbłądach, z których każdy dźwigał teraz jedynie jęczmień potrzebny na popas dla konia i dla siebie, jako też wodę dla służby i zwierząt. Niebawem nastąpiła chwila najważniejsza w przebiegu łowów: myśliwi jezdni, ciągle jesz-

cze nie widząc strusiów i niewidzialni przez nie, zaczęli się rozstawiać, to jest opasali koło wielkie, w którego obrębie miało się odbyć polowanie. Służący wyczekiwali na to, dopóki się panowie nie rozstawią, co gdy nastąpiło, ruszyli prosto ku środkowi koła opasanego. Chodziło o to, aby się ptakom pokazali. Na widok zbliżającego się orszaku, strusie zaczęły pierzchliwie uciekać; ale oto napotkały jeźdźców, którzy je zawrócili do środka koła. Ptaki, naturalnie, nie zatrzymały się wewnątrz koła, lecz uderzyły na przeciwległy kraniec okręgu, gdzie także spotkały jeźdźców i musiały zawrócić. Usiłowania strusiów, aby się wyrwać na zewnątrz koła zaklętego i przeklętego, powtórzyły się wiele razy, a zawsze bez powodzenia.

Bieg nadzwyczajnie szybki, przestrach ogromny, zrobiły swoje: ptaki zmęczyły się, zaczęły upadać na siłach, czego niezawodny dowód stanowiło wznoszenie skrzydeł w górę. Myśliwi byli już pewni zdobyczy i powstrzymywali konie w zapędach. Każdy z nich wybrał sobie nareszcie jednego ptaka, pędził za nim, dopóki go nie doścignął bądź z tyłu, bądź z boku, a wtedy zadawał laską cios w głowę. Struś padał, a jeździec w tej chwili z konia zeskakiwał, podrzynał ptakowi gardło i wbijał w ranę pazur jego nogi, co tamowało krew upływającą i zapobiegało splamieniu pierza.

Nareszcie z martwej zdobyczy ściągnięto skórę, odcięto tyle mięsa, ile potrzeba wymagała, a resztę zwłok zawieszono na drzewie, aby wysuszone służyły za pokarm jakiemu głodnemu wędrowcowi.

W chwili, kiedy jeździec już dopędza swą ofiarę, jest ona zwykle tak wyczerpana z sił, że poganiając ją i kierując za pomocą laski, możnaby żywą do domu zapędzić.

Polowanie z zasadzki odbywa się znowu w tej porze, kiedy struś znosi jaja, więc około połowy listopada. Starano się przedewszystkiem znaleźć miejsce, gdzie deszcze spadły w ostatnich czasach. Na polowanie wybrało się pięciu jeźdźców, którym towarzyszyli dwaj służący na wielbłędach, dźwigających zapasy żywności, gdyż łowy takie trwają dwadzieścia dni więcej. Wzięto też na wszelki wypadek strzelby, proch, ołów. Już na drugi dzień odkryto ślady strusia na piasku dosyć wilgotnym i myśliwi zbadali je bardzo uważnie. Te ślady krzyżowały się na wszystkie strony, a trawa wokoło była bardzo zdeptana. Łowcy wyprowadzili z tego wniosek, że w pobliżu gdzieś musi być gniazdo. Jakoż istotnie było. Odłożono czynności łowieckie do drugiego dnia, aby je załatwić rano, kiedy samica siedzi na gnieździe. Tymczasem zaś nie należało płoszyć strusia podpatrzonego na jajach, przeto myśliwi odciągnęli gdzieindziej na

nocleg. Nazajutrz o wschodzie słońca przybyli do roboty. Samica zaraz spostrzegła ludzi i krzatanie się w ich bliskości, skoczyła co tchu z gniazda, uciekła z właściwą sobie szybkością gdzieś w pustynię. Myśliwi z góry wiedzieli, że tak będzie i wiedzieli również, że ptak musi do jaj powrócić. W samej rzeczy, pobiegła ona do męża, który w niedalekiej odległości zaspakajał głód i jak tylko spostrzegł małżonkę zaniedbującą sprawy wychowania potomstwa, począł ją surowo karcić dziobem, zmuszać, aby wróciła do gniazda. Opierała się, zwlekała, narreszcie musiała uleść władzy wyższej. Łowcy zrobili tymczasem wszystko, co do nich należało.

W odległości dwudziestu kroków od gniazda, a po obu jego stronach, wykopali dwa doły tak głębokie, aby się tam stojący człowiek mógł ukryć. Do każdego z tych dołów wlaź strzelec doskonały, inni zaś nakryli go trawami pustyni tak, że tylko strzelba została na wierzchu.

Cisza głęboka panowała wokoło, kiedy struś wrócił do gniazda. Strzelcy ukryci w dołach zachowywali się jak najspokojniej, oczekując południa, gdyż o tej porze przychodzi struś i zwalnia swą towarzyszkę; zasadą zaś tego polowania jest, ażeby najprzód zastrzelić strusia. Prawie w samo południe przybył ojciec gniazda, uwolnił matkę od obowiązku i sam usadowił się na gnieździe. Rozpostarł skrzydła, usiłując

okryć niemi wszystkie jaja, i w tem położeniu uda jego tak się wydatnie ułożyły, że mogły służyć strzelcowi za cel dobry. Jeden z arabów ukrytych w dole, właśnie zmierzył w te uda i wypalił. Każdy inny strzał nie zapewnia powodzenia, bo tylko z przetrąconą nogą struś nie zdoła się ocalić. Myśliwi natychmiast poskoczyli do strusia zwałonego z gniazda, dobili go, plamy krwawe zasypali piaskiem i ciało starannie ukryli. O zachodzie słońca pojawiła się samica; nieobecność męża bynajmniej nie obudziła jej podejrzeń, może sobie wyobrażała, że już poszedł na paszę. Kiedy już usiadła na jajach, drugi strzelec zmierzył w uda i dał ognia z takim samem powodzeniem jak pierwszy, który zastrzelił samca. Zabrano przytem jaja i rozpoczęto poszukiwanie innego gniazda. Polowanie musi mieć ściśle taki przebieg, jak tu przedstawiliśmy. Gdyby bowiem myśliwi, zabierający się do kopania dołów, spłoszyli z gniazda najprzód samca, ten pobiegłby do samicy i potem już żadne nie wróciłoby. Myśliwym chodzi zaś o to, aby zastrzelić obie sztuki.

Arabowie polują także z podobnych zasadzek tam, gdzie strusie przywykły gasić pragnienie: przy strumieniach i źródłach. Te łowy wszystkie są widać bardzo korzystne, skoro Arabowie Sahary, mówiąc o przedsiębiorstwie zyskownem, powtarzają przysłowiuwo: „Oplaca

się, jak polowanie na strusia“. Łowy z psami są w rzadszem użyciu, gdyż psy szarpną znużonego ptaka, nie oszczędzając jego piór, a przytem struś zabija psa z łatwością jednym kopnięciem nogi.

Polowanie Buszmanów w Afryce Południowej polega na podstępie. Człowiek idący na łowy przebiera się za strusia, to jest wkłada na kark rodzaj siodła ubranego w pióra strusie. Pochyliwszy się nieco, łowca taki trzyma w prawej ręce szyję tego ptaka wypchaną z głową jego na wierzchu, podczas gdy w lewej niesie łuk i strzały zatrute. Oprócz tego, maluje sobie nogi tak, aby ich barwa przypominała nogi strusia.

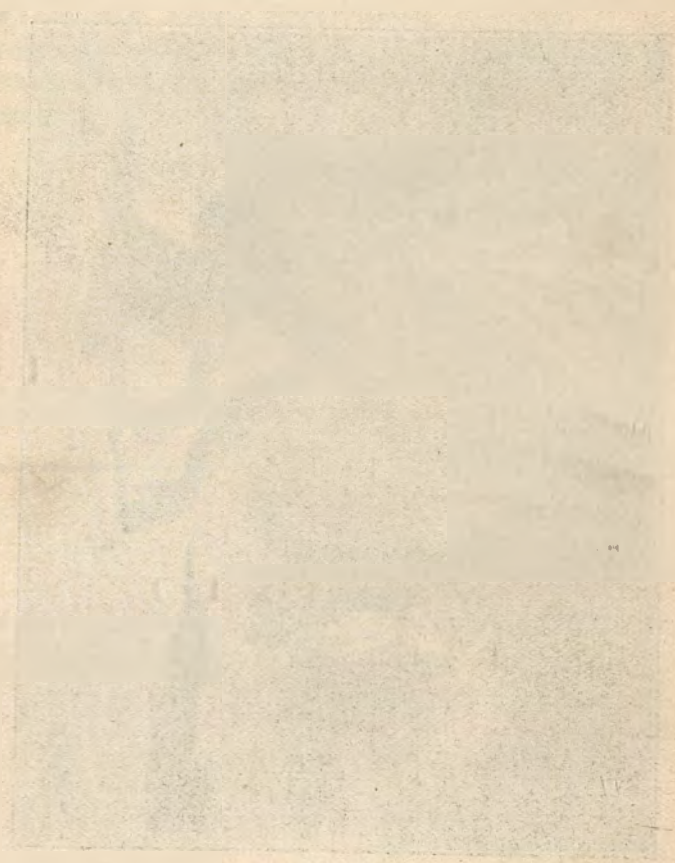
Niektórzy myśliwi umieją wybornie naśladować całe zachowywanie się i wszystkie ruchy ptaka do takiego stopnia, że częstokroć o kilkanaście kroków odległości, trudno jest odróżnić zdradliwy fałsz od prawdy. Ów ptak-człowiek naśladuje bowiem doskonale szczypanie trawy dziobem, zwracanie głowy już to w tę, już w inną stronę, spoglądanie podejrzliwe i pełne znaczenia, wstrząsanie piórami, chodzenie, bieganie. Wykonywając takie ruchy, łowca przyprawia ptaki o złudzenie i zbliża się do nich na odległość strzału. Kiedy strusie uciekają, widząc, że jeden z nich upadł rażony strzałą, ptak-człowiek usiłuje biedz, jak należący do stada. Niektóre atoli zaczynają niekiedy do-

bierać się do przybłędy i wtedy musi on unikać ich, aby go nie zwietrzyły. Jeżeli raz tak źle stanie, że ptaki zwęszą nieprzyjaciela, powinien natychmiast zrzucić siodło i zmykać, gdyż może bardzo łatwo przypłacić życiem sztukę udawania.



GORYL.

<http://rcin.org.pl>



G o r y l.

Zamieszkuje lasy zachodniego wybrzeża Afryki, począwszy mniej więcej od gór Kameruńskich do południowych krańców gór Talamongongo. Jest on z pomiędzy wszystkich małp największy, najsilniejszy i postacią najwięcej zbliżony do człowieka. Nie obawia się żadnego zwierzęcia, również człowieka; lecz napada, używając za oręż potężnych ramion i szczęk uzbrojonych w zęby straszliwe. Przytem miota niekiedy na przeciwnika orzechy, gałęzie. Lamparta goryle pokonywają z łatwością. Słoń musi im ustępować. Lew nawet, król zwierząt, nie odnosi tu zwycięstwa, zapewne dla tego, że zwykle miewa nie z jednym do czynienia.

Myśliwi, polujący na słonie, głównie się obawiają spotkania z „człowiekiem leśnym“. To też wśród krajowców za bohatera uchodzi ten, który pokonał goryla. Do nadzwyczajnego strachu przed tą małpą dużo się przyczynia nie-

znajomość, tajemniczość sposobu jej życia i obyczajów. Liczne a niesprawdzone bajki o gorylu są w obiegu u krajowców, którzy utrzymują na przykład, jakoby goryle grzebały ciała zmarłych nieboszczyków swego gatunku.

W pierwszych latach drugiej połowy XIX wieku Amerykanin du Chaillu, podróżnik po Gwinei, pierwszy podał dokładniejsze wiadomości o tej małpie. Ciągłe obcując z Murzynami, du Chaillu nasłuchiwał się rozmów i opowiadań, których przedmiotem bywał goryl, niejednokrotnie uważany za istotę nadprzyrodzoną i ukrywającą duszę ludzką pod powłoką zwierzęcą.

Jednego razu—opiewa gadka murzyńska—goryl spotkał w boru lampartą, który był nadzwyczajnie głodny, nie zważał na przeraźliwe wycie małpy i przygotował się do napastniczego skoku. Właśnie w chwili owego skoku człowiek leśny pochwycił przeciwnika za ogon i kręcił nim w powietrzu z taką siłą, że urwany ogon pozostał mu w ręce, a lampart z przestachu co tchu umknął. Teraz zwierz pozbawiony ogona popędził do swoich rodaków i opowiedział im o przykrem zajściu. Słyszając to opowiadanie, król lampartów zaczął wyć tak głośno i tak długo, dopóki się wszyscy jego poddani nie zbiegli z lasów. Kiedy przybyli i usłyszeli, co się stało, postanowili wyrzucić srogą zemstę za

krzywdę współbrata. Człowiek leśny na widok niezliczonego wojska lamparciego wyrwał z korenieniem drzewo i robił niem wokoło takiego młynka, że nieprzyjaciele nie śmieli się zbliżyć. Zmęczył się jednak nareszcie i kiedy go już siły opuściły, lamparty skoczyły nań tłumnie i śmierć mu zadały.

Podług innej znowu gadki, goryl używał przechadzki po lesie ze swą towarzyszką i dzieckiem, wtem stanął im na drodze słoń ogromny, który zawołał głosem piorunującym.—„Ustąp bo te bory do mnie należą!“ — Goryl rozśmiał się pogardliwie i odrzekł:—„Ja, człowiek leśny, panuję tutaj!“ — Potem kazał usunąć się żonie z dzieckiem, a sam złamał wielkie drzewo i tak niem okładał słońca, że zabił.

Od bajek przejdziemy do rzeczywistości. Pewnego dnia du Chaillu, w towarzystwie mężczyzn i kobiet z pokolenia Mbondemos, zwiedzał lesistą okolicę górską i przybył do miejscowości, gdzie dawniej — jak mówiono — była wieś, a dziś rośla dziko zwyrodniała trzcina cukrowa. Właśnie tutaj krajowcy wskazali mu trzcinę podeptaną, zmiażdżoną i gdzieniegdzie pożutą; przytem jedni na drugich spoglądali porozumiewawczo, powtarzając: „nżena“ co znaczyło goryl. Rzeczywiście, świeże ślady tej małpy świadczyły o niedawnym jej pobycie tutaj na popasie. Niebawem odkryto i odciski stóp,

przemawiające za tem, że kilka sztuk musiało tam przebywać. „Serce biło mi silnie—mówi du Chaillu — na myśl spotkania zwierzęcia, o którego sile, przebiegłości i dzikości nasłuchiwałem się już tyle od krajowców“. Oddalono z orszaku kobiety potrwożone, a mężczyźni baczenie opatrzyli strzelby. Kiedy myśliwi zeszli z góry i dotarli do granitowych odłamów, znaleźli tam zwaloną, butwiejącą kłodę drzewa, a obok niej znowu ślady stóp gorylowych. Przypuszczano, że zwierzęta najprawdopodobniej ukrywają się wśród owych odłamów skalistych, tworzących jakby fortecę. Należało je więc otoczyć łańcuchem strzelców, którzy się też natychmiast rozdzielili i jedni zaczęli skały obchodzić ze strony prawej, drudzy z lewej.

Cóż, kiedy chciano objąć za wielkie koło... Wśród powszechnego ożywienia myśliwych, małpy spostrzegły ich, i zanim zamknięto łańcuch, rozległy się okrzyki nawpół dzikie, nawpół jakby szatańskie.

Strzelcy z oddalenia widzieli cztery młode sztuki znikające w gęstwinie. Te goryle uciekające sprawiały wrażenie ludzi, którzy uchodzą pośpiesznie, aby ocalić życie: postacie pochylone z głowami posyłającemi oczy na wszystkie strony. Mimowoli ów okrzyk nawpół ludzki i sposób ucieczki narzucają każdemu objaśnienie, dlaczego krajowcy zowią tę małpę „leśnym

człowiekiem“. Cały zastęp myśliwych dał ognia, ale strzały jakoś chybiły i zwierzęta uszły. Ścigano je przez czas jakiś z wielką zawziętością; atoli „ludzie leśni“ odznaczają się zwinnością nadzwyczajną, a przytem w boru istotnie są jak w domu.

Potem przez kilka dni z rzędu du Chaillu i jego przyjaciele Mbondemos napróżno przetrząsali gąszcze, nigdzie ani śladu goryla. Nagle raz, podczas takiej wycieczki, któryś z myśliwych zwrócił uwagę towarzyszków na osobliwy zgiełk dochodzący z oddalenia, jakby trzask gałęzi łamanych. Nareszcie myśliwi spostrzegli poprzez liście, uginające się gałęzie i drzewa młode, zwierza straszliwego, który widocznie zrywał owoce, aby głód zaspokoić. Po chwili, wśród ciszy borów dziewiczych, rozległ się przerażający krzyk goryla. Chrósty się gwałtownie rozwarły i myśliwi ujrzeli przed sobą olbrzymiego goryla. Przez gąszcze sadził on na czworakach; w pobliżu ludzi stanął wyprostowany, ukazał się zuchwale w całej okazałości, na odległość jakich może piętnastu kroków. Było to ogromne cielsko, wysokie na sześć stóp, szerokie w barkach, o ramionach nadzwyczajnie muskularnych, istny potwór. Jego wielkie bure oczy dziko i groźnie połyskiwały, twarz miała wyraz prawdziwie szatański. Widok myśliwych nie przstraszył go bynajmniej. Stał

w miejscu, ogromnemi pięściami walił w pierś, która wydawała dźwięki przypominające bębnienie. Jest to sposób jego wyzywania nieprzyjaciela do walki. Oprócz tego nieustannie wydawał ryki wzbudzające przestrasz. Ryk ów rozpoczyna się od szczekania, głosu właściwego psom rozjuszonym, a kończy się mrukiem ponurym, przypominającym huk grzmotu odległego. Oczy jego zapalały się coraz silniejszym płomieniem. Krótkie włosy na szczycie czaszki zjeżyły się i były w szybkim ruchu na chwilę, kiedy ukazywał kły potężne i ryczał. Wyglądał straszliwie, niby jakaś postać fantastyczna, jedna z tych, któremi dawniejsi malarze zapelniali czeluście piekła. Zbliżył się na parę kroków, stanął, przykucnął na zadzie, ryknął. Jeszcze postąpił tak, że odległość między nim a strzelcami wynosiła już tylko dziesięć kroków. Teraz znowu począł ryczeć, waląc się pięściami gwałtownie w piersi. Myśliwi nie mogli dłużej wyczekiwać; strzały huknęły i potwór runął na ziemię do góry grzbietem, wydając chrapliwe głosy konania.

Później znowu się zdarzyło, że du Chaillu, będąc na polowaniu, posłyszał w oddaleniu głos, który mu się wydawał być grzmiotem odległym. Że przywidywał burzę, więc pośpieszał, aby się schronić pod pobliskie drzewa hebanowe, ale niebawem powziął przekonanie, że mniemany

huk grzmotu jest to głos jednego z goryli, który przyzywa drugiego. Na wezwanie, wygłoszone owym rykiem, wnet nastąpiła odpowiedź—ryk nieco łagodniejszy. Echa oddalały te głosy ponure, przenosząc je od góry do góry, a cały las trząsł się od huku. Nasz podróżnik co żywo zmienił nabój w strzelbie (wyszedł z zamiarem polowania na ptactwo) i podążył w kierunku słyszanego ryku. Głos goryla i jego bębnienie po piersi, dały się słyszeć od czasu do czasu, i coraz wyraźniej. Naraz du Chaillu postrzegł trzask łamanych gałęzi i wnet potem spostrzegł wśród gąszczów niewielkie drzewo gwałtownie wstrząsane, a następnie upadające. Zwierz może i przeczuwał niebezpieczeństwo, gdyż już nie ryczał, zachowywał się bardzo spokojnie. Kiedy nareszcie myśliwy przedarł się przez gąszcze, dotarł do miejsca, goryla tam już nie było.

Podróżnik amerykański, którego tu przytaczamy, upewnia, że goryla można słyszeć z odległości trzechmillowej, a bębnienie pięściami po piersi—na odległość mili. Brehm w swem dziele znakomitem: „Życie zwierząt“ podaje to w wątpliwość, jakkolwiek przedstawia du Chaillu jako jedyną dziś powagę pod względem spostrzeżeń nad gorylem.

Znowu w kilka dni później du Chaillu dowiedział się od krajowców, że widziano kilka

razy w boru człowieka leśnego, i natychmiast przedsięwziął poszukiwania. Przez kilka godzin wążsał się po lesie w towarzystwie krajowca Gambo, kiedy nagle w wąwozie ciemnym ujrzał naprzeciw siebie dwa olbrzymie goryle. Zwierzęta już go były wprzód spostrzegły, pierwszy wydał okrzyk trwogi i co tchu zniknął w lesie. Zato drugi wcale nie okazywał chęci do ucieczki, powstał zwolna, przyglądał się tym, którzy mu zakłócili spokój i ryknął wściekle, aż ściany wąwozu zadrżały. Myśliwi ustąpili na bok, oczekując napaści.

Potwór, widziany w półświecie wąwozu, straszliwie się przedstawiał: oczy jego gorzały ciemno-czerwonym ogniem, a pysk, wykrzywiony i pomarszczony w szale wściekłości, nadawał mu wyraz straszny i zarazem wstrętny. Zbliżał się krokiem urywanym, powstawał co chwila, bębnił na piersiach, które brzmiały jak skrzynia naciągnięta skórą wypreżoną. Wydał z siebie krótkie szczekanie, a potem nastąpił ów ryk, który już opisywaliśmy.

Dwaj myśliwi stali na stanowiskach przez jakie trzy ogromne minuty, wyczekując odpowiedniej chwili do dobrego strzału. W odległości ośmiu kroków potwór wznosił głowę, ryknął, a pięściami walił się w piersi. Zabierał się właśnie, aby przystąpić bliżej, kiedy dwa strzały huknęły; zwierz zachwiał się i padł do góry

grzbietem. „Był to najstarszy i największy z goryłów, jakie widziałem — mówi du Chaillu. — A Gambo, dzielny myśliwy, choć człowiek jeszcze nie stary, widział nie wiele tęższych“. Wysokość zabitego wówczas goryla obliczono na pięć stóp i dziewięć cali.

Inne znowu polowanie tak się odbyło. Było to rano, po nocy, podczas której burza gwałtowna pogasiła ogniska biwaku i nadzwyczajnie znękała podróżnych. Wtem dał się słyszeć głos znamienny goryla, i nasz podróżnik natychmiast zapomniał o wszelkich dolegliwościach. Żwawo połknął filiżankę kawy, zagryzł sucharkiem, poczem puścił się na wyprawę. Przebył ćwierć mili, i ryk się powtórzył. Zwierz znajdował się w pobliżu, a krzaki, które się gięły i rozstępowały, stanowiły najlepszy dowód, że nadchodzi, ponieważ torował sobie drogę przez gąszcze. Myśliwi stanęli w milczeniu, ażeby go przypadkiem nie spłoszyć. Ta przezorność była zbyt uczynna, gdyż człowiek leśny nie miał zamiaru uciekać. Jak tylko ich spostrzegł, wzniósł się na dwóch łapach, postąpił kilka kroków, stanął, przysiadł na zadzie, bił się w piersi pięściami, ryczał. Znowu powstał, zrobił kilka kroków naprzód, znowu się zatrzymał i otarł paszczę, aby ryknąć. Był w odległości dziesięciu kroków, przeto du Chaillu postanowił z nim skończyć i strzelił. Kula ugodziła goryla w środek piersi,

co sprowadziło jego upadek do góry grzbietem. Małpy te mają życie nietrwałe i prędko umierają.

Nastąpiło jeszcze inne spotkanie, także zwycięstwem uwieńczone, co tak się stało: Goryl zapowiedział rykami swoją obecność. Zaczęto poszukiwać go i znaleziono po upływie niespełna godziny. I ten także na widok ludzi dostał napadu wściekłości. Śmiało szedł ku myśliwym, wydając ostre urywane szczekanie. „Jego sposób zbliżania się—powiada du Chaillu—dostarczył mi nowego dowodu, że dłuższe utrzymywanie się w postawie wyprostowanej sprawia gorylowi trudność. Krótkie i wąte stosunkowo nogi nie posiadają siły dostatecznej, aby unosić ogrom jego ciała; zwierz ugina się pod tym ciężarem, a chód jego jest rodzajem wahanía się, któremu długie ręce pomagają do zachowywania równowagi“. Po dwakroć zasiadł w drodze, aby ryczeć, jak gdyby rozumiał, że stojącemu zabrakłoby siły potrzebnej do wydania z siebie dźwięków pełnych.

Du Chaillu szedł na czele innych myśliwych, ponieważ mógł pokładać zaufanie w swojej strzelbie, gdy nadchodziła chwila stanowcza. Oczekiwał zbliżenia się goryla na dziesięć kroków, co gdy nastąpiło i zwierz znowu przysiadł, aby ryknąć, strzał huknął i ugodził celnie. Był to młody samiec, którego wzrost już doszedł do zupełnego rozwoju. Wielkie kły, ogromne

mięśnie ramion i piersi, cała budowa świadczyły o sile olbrzymiej. „Rzecz dziwna—wyznaje du Chaillu — wobec goryla zabitego nie zdołałem nigdy zachować obojętności myśliwego, a tem bardziej, uczuwać zadowolenia z dobrego strzału. Zawsze mi się zdawało, że zabiłem istotę potworną wprawdzie, jednakże mającą w sobie coś ludzkiego. Wiedziałem, że to jest błędne, a przecież nie mogłem stłumić swego uczucia“.

Łowy na goryla nie zawsze kończą się tak szczęśliwie, jak powyżej opisane. Jednego razu nasz podróżnik przebiegał bór w towarzystwie krajowców myśliwych. Któryś z tych towarzyszków jego, był tak nieroztropnie odważny, że sam jeden zapuścił się w tę stronę boru, gdzie miał nadzieję spotkać leśnego człowieka. Godzina już upłynęła od chwili, kiedy go stracono z oczu, gdy nagle posłyszano w bliskości wystrzał, potem drugi. Myśliwi pobiegli za głosem strzału, pewni, że znajdują łup nowy. Tymczasem po lesie rozległ się ryk przeraźliwy, co było złą wróżbą. Du Chaillu i Gambo przyśpieszyli kroku, miotani przecuciami złowieszczemi, które ich tym razem nie zawiodły. Poszli niedaleko i znaleźli towarzysza w kałuży krwi leżącego. Miał on wyrwane trzewa z brzucha rozdartego, a obok niego leżała strzelba z kolbą zmiażdżoną, z lufą pociętą, spłaszczoną, mającą na so-

bie wyraźnie ślady zębów goryla. Nieszczęśliwy człowiek żył jeszcze. Zrobiono co się dało: umieszczono trzewa w brzuchu, zawiązano ranę i skrzepiono omdlałego gorzałką. Odzyskał przytomność, mógł mówić, jakkolwiek z trudnością. Stałym głosem opowiedział, że miał właśnie do czynienia z samcem starym i nadzwyczajnie srogim. Strzelił do niego z odległości dziesięciu kroków; ale że w lesie było ciemno, więc nie mógł dobrze wycelować i tylko zranił potwora. Ranny goryl wśród bębnienia na swych piersiach skoczył do niego zapalczywie. Myśliwy, cofając się zręcznie, chciał zyskać tyle czasu, aby nabić strzelbę, czego też dokonał z niezmiernym pośpiechem. Ale w chwili kiedy się już składał do strzału powtórnego, człowiek leśny potężnym uderzeniem wytrącił mu broń z ręki i strzał poszedł w powietrze. Teraz goryl ryknął przeraźliwie, pochwycił człowieka jakby małeńkie niemowlę, przytrzymał go jedną ręką, a drugą wygarnął trzewia, i tak wypaproszonego rzucił na ziemię. Z kolei pochwycił strzelbę, pomiażdżył ją między szczękami, o ile mógł, i odszedł.

Ten zwierz ma zwyczaj zabijania przez wydarcie trzewów, poczem zaraz opuszcza ofiarę i znika w lasach. Przeniesiono biedaka do obozowiska, gdzie krajowcy wyprowadzili wniosek, że ów goryl to był zły człowiek, przemie-

niony w goryla, i jaki taki powtarzał: „O, tego nikt nie pokona“!

A jednak nazajutrz właśnie ten sam goryl zginął od kuli; ale i ranny człowiek także wyzionął ducha. Jak widzimy, liczne goryle padły z ręki podróżnika amerykańskiego, który narzeczcie zapragnął osiąść koniecznie młode zwierzę, aby lepiej poznać obyczaje tej małpy. Kiedy raz w pięciu przebywali bór, posłyszeli głos małpięcia, które przyzywało matkę. Głos się powtarzał i zastęp myśliwych z strzelbami gotowemi do strzału pośpieszył w tym kierunku. Rozmaite wskazówki kazały mniemać, że i matka znajdowała się niedaleko; co więcej, domyślano się także obecności samca w tamtej okolicy. Wszystko to razem wzięte czyniło wyprawę niebezpieczną, ale dzielni myśliwi nie wahali się na chwilę. Szli naprzód w głębokim milczeniu, powstrzymując oddech. Naraz o kilka kroków przed nimi krzaki się wzruszyły i spostrzegli gorylka, który siedział i spokojnie się posilał. Dosyć blisko od niego siedziała matka i także jadła. W chwili, kiedy myśliwi podnieśli strzelby, spostrzegła ich, zdradziła jakiś niepokój, ale strzały natychmiast ją dotęły i padła martwa. Na huk wystrzałów małe rzuciło się do matki, objęło ją ramionami i legło na jej łonie. Odgłosy tryumfu strzelców sprawiły, że się zer-

wało, wylazło pośpiesznie na szczyt drzewa i tam zaczęło wycić żałośnie.

Murzyni byli w niemałym kłopotcie, ponieważ ani nie chcieli narażać się na ukąszenia małpęcia, ani nie mogli strzelać, skoro chodziło o żywego jeńca. Postanowili nareszcie ściąć drzewo i w chwili kiedy upadnie, zarzucić płachtę na głowę zwierzęcia. Zrobili tak z powodzeniem, chociaż jeden otrzymał ciężkie ukąszenie w rękę, a inny zadrapanie w udo. Malec, pomimo dosyć nikłej postaci i wieku młodzieńczego, odznaczał się siłą zadziwiającą i nie można było zapanować nad jego wybuchami wściekłości. Aby go zabrać z lasu, musiano szyję zuchwalca umieścić w dosyć ciasnych widełkach żerdki i prowadzić z lasu w oddaleniu od ludzi, których ciągle chciał kąsać, drapać. Cała ludność wsi murzyńskiej była w ruchu, gdyż każdy pragnął widzieć tego wściekle porykującego gorylka. Małe jego oczka połyskiwały dziko, upatrując, ażeby zarwać kogo pazurem lub zębem.

W parę godzin przygotowano mu chatkę z bardzo mocnych bambusów, o szczeblach tak rozstawionych, aby małpa mogła widzieć wszystko, będąc sama widzialną. Był to młody goryl, który podług zdania krajowców, nie skończył jeszcze trzech lat życia. Twarz i dłonie—

nagie, czarne; oczy mniej głęboko zapadłe niż u starych. Czupryna jego zaczynała się od brwi, na wierzchołku czaszki miała ubarwienie brunatno-czerwonawe, a opuszczała się w zaroście po obu stronach twarzy do szczęki dolnej, tworząc jakby bokobrody. Na wardze górnej porastał włos rzadki, gruby. Futro na grzbiecie miało barwę szarą, a najdłuższy włos porastał na ramionach. W klatce zwierzę to siedziało przyczajone, trzymając się odległego kąta; ale na widok człowieka zbliżającego się do szczelbi ryczało, podskakiwało zapalczywie. Du Chaillu podszedł i jakkolwiek szybko odskoczył, gorylek napadł na szczelbę i zdążył w mgnieniu oka urwać nogą szmatę z jego surduta.

Postarano się o owoce będące ulubioną potrawą goryłów i wstawiono do klatki naczynie z wodą. Drugiego i trzeciego dnia niewoli dzikość małpęcia wybuchała jeszcze gwałtowniej: więzień wykonywał szalone ewolucje i ryczał przeraźliwie, a swoją drogą miał apetyt dobry. Na czwarty dzień udało mu się wyrwać dwa pręty klatki i umknąć w chwili, gdy go wcale nie strzeżono. Murzyni rzucili się natychmiast na poszukiwania, tymczasem du Chaillu wykrył obecność zbiega w izbie pod swoim łóżkiem i czemprędzej zarządził obławę dookoła chaty. Widok czarnych twarzy zawsze go

doprowadzał do wściekłości, ale teraz uwagę jego zajęły różne przedmioty będące w izbie i zaczął je z ciekawością oglądać. Du Chaillu skorzystał z chwili dobrej, otworzył nagle drzwi i rzucił nań sieci. Natychmiast jeden z krajowców chwycił go za kark, dwaj inni wzięli pod swą opiekę łapy przednie, a jeszcze inny, tylne. Czterej ludzi ponieśli więc rzucającego się i ryczącego gorylka do klatki, już teraz naprawionej. Zachowywał się ciągle tak, że trzeba było wątpić o oswojeniu.

W piętnaście dni po tej ucieczce, znowu wygryzł pręt klatki i uciekł. Stu pięćdziesięciu ludzi skoczyło w pogoń i niebawem otoczyło zbiega. Zaczął wyc wściekle i śmiało się rzucił na jednego z obławników, który z przestachu upadł na ziemię. Ta okoliczność była niespodzianką dla goryla, zmieszała go widocznie; wówczas to rzucono nań natychmiast sieci. Obostrzono mu teraz więzienie i trzymano w klatce na łańcuszku. Brał się na chytre podstępny. Kiedy mu naprzykład podawano żywność z ręki, spoglądał wtedy w twarz człowieka, a jednocześnie i nieznacznie zbliżał nogę, ażeby nią zarwać swego karmiciela.

Postawiono mu w klatce beczkę do połowy usłaną sianem i odrazu zrozumiał użytek: kładł się tam jak w gnieździe, brał w garści

siano, nakrywał się niem z wierzchu. Atoli dziesiątego dnia po próbie drugiej ucieczki zmarł niespodziewanie. Nie lepiej poszło z innymi młodymi gorylami, które tu Chaillu usiłował wychować i oswoić.

B i z o n .

Bizon amerykański jest to wół olbrzymi, bardzo podobny z postaci do żubra europejskiego, który dawnymi czasy żył dziko w lasach całej Europy. Niedobitki ostatnie wytępionego już żubra troskliwie przechowują się dzisiaj pod opieką rządu w puszczy Białowiejskiej. Ojczyzną bizona jest Ameryka Północna, gdzie on zmienia miejsce pobytu, odbywając wędrówki z północy na południe i odwrotnie, stosownie do pory roku. Liczne niebezpieczeństwa, jakim tutaj podlega życie tych zwierząt, naprowadzają na domysł, że dni ich istnienia na kuli ziemskiej są policzone: bizon w niezadługim czasie podzieli los żubra. Każda ciężka zima dziesiątkuje te zwierzęta. Niedźwiedź szary, główny drapieżnik tamtych krain, większy i silniejszy od misia brunatnego, napada odosobnione sztuki i pożera. Gromady wilków zgłodniałych ciągną za ich stadami i przy każdej sposobności

tępią młodzież. Ale najgłówniejszym nieprzyjacielem, jak i w stosunku do innych zwierząt, jest człowiek: Indyanin czerwonoskóry i człowiek o twarzy białej.

Biali przybysze, jak się zdaje, wydali hasło zagłady na bizona, wyciągając obfite korzyści z łowów na tę zwierzynę okazałą. Indyanie, sami goniący ostatkami bytu, pochwycili żądnie hasło i wypowiedzieli bizonowi wojnę zniszczenia. Nie pomyśleli o tem, że w taki sposób pozabawiają się właśnie ostatniego środka do życia, który im jeszcze pozostał w spiżarni przyrody.

Zagłada nieuchronna oczekuje bizona, a w ślad za nim musi zaginać Czerwonoskórca, a pozostaną miliony wilków zgłodniałych, które w nowych warunkach będą plagą pogranicznych krain rolniczych. Wtedy człowiek biały zabierze się i do wilków, wytępi je również i zostanie panem wyłącznym całego obszaru. Dzisiaj tymczasem trwa walka zawzięta: człowiek czerwonoskóry, mający zginać, przyśpiesza swą zagładę, tępiąc bizona. Indyanin nie wiele dba o jutro, idzie za popędami chwili i jako człowiek, który w usposobieniu swem nie wyrósł z fazy życia łowieckiego, jest uosobieniem prześladowania namiętnego, nie znającego żadnych granic. Ci ludzie, których dzikość w okrucieństwie przewyższa zwierzęcą, posiadają nadto wszelkie przymioty łowcy pierwotnego: chytrość,

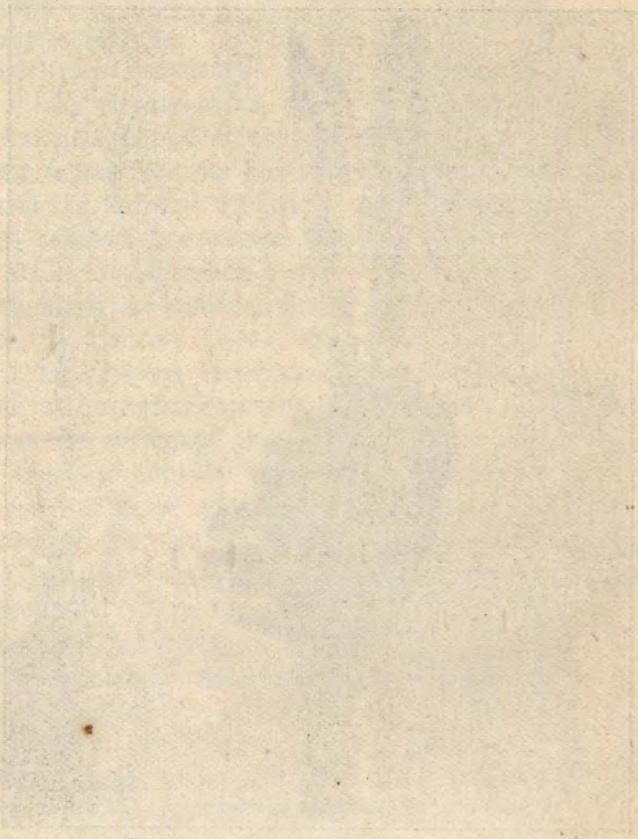
odwagę nieustraszoną, ciało zwinne i zahartowane. Dosiadają koni wytrwałych, złowionych na arkan w stepie, i na równinie dościgają wszelką zwierzynę. Taki łowca chełpi się z tego, jeżeli w najszybszym cwale umie wypuszczać z łuku strzały celne, rażące już tę, już inną sztukę całym pędem uchodzącego stada. Poluje się wprawdzie dla korzyści, co jednak nie przeszkadza ludziom wkładać w sztukę łowiecką całego zapału i poszukiwać sławy na tem polu.

Dziki łowca zrzuca z siebie wszelkie ubranie, na konia nie wkłada siodła, unika wszystkiego, co stanowi ciężar zbyteczny. Krępuje tylko szczękę dolną wierzchowca linką rzemienią, na jakie czterdzieści stóp długą, która mu w potrzebie zastępuje miejsce uzdy. Koniec tej linki, rzucony poprzez szyję konia, wlecze się po ziemi i w razie upadku pozwala jeźdźcowi przytrzymać bieguna, zbytecznie nieraz rozszałatego. Człowiek nagi, przygarbiony, z włosom rozwianym, z wzrokiem jastrzębim, utkwionym w upatrzoną już zdobycz, z okrzykiem dzikim, pędzi jak szatan, który dosiadł burzy. W lewej ręce trzyma łuk i tyle strzał, ile ich garścią objąć zdoła, w prawej kańczug ciężki, którym nie-łitościwie smaga konia i nagli, aby co rychlej dotrzeć do boku jakiejś tłustej krowy lub bizona młodego. Pojętny biegun zdaje się zgadywać myśl swego pana i rwie w kierunku, gdzie



BIZON.

<http://rcin.org.pl>



on wzrok wyteża, i dopędza sztukę wybraną. Warknęła cięciwa łuku, strzała aż po pióra utkwiała w słabiznach ofiary dościgniętej i koń w tej samej chwili na bok odskoczył. Zwrot to szczęśliwy i w samą porę wykonany, gdyż zwierzę zranione poskoczyło wściekle, godząc rogami w napastnika, który w mgnieniu oka zniknął mu ze wzroku i już dopędza inną upatrzoną sztukę. Łowy te suną przez równinę z szybkością wichru, ziemia drży pod stopami rozhukanych zwierząt, okrzyki dzikiej gonitwy rozdzierają powietrze.

Od czasu do czasu jakaś sztuka oddziela się od stada, pozostaje na tyłach, omdlewa, pada: wkrótce na stepie niezmiernym, pokrytym wyschłymi białymi czaszkami, będzie bieląla jeszcze jedna czaszka więcej, gdyż jest to bizon śmiertelnie raniony. Polowanie wre dalej, hu-czy, a liczba żywych zmniejsza się nieustannie.

Nietylko skazani na zagładę giną. Oto jeden z łowców zranił bizona olbrzymiego i uważał za konieczne dodać jeszcze cios nowy: drogo zapłacił za tę pokusę wojowniczą. Olbrzym odwrócił się nagle i z łbem pochylonym ku ziemi wykonał skok, który podszeptła wściekłość rozpaczy ostatniej. Koń chrapnął, wspiął się, zachnął, strząsnął z grzbietu pana. Zwierz rozjuszony jednym uderzeniem łba przygwoździł jeźdźca do ziemi, rogiem prześwidrował mu

pierś i tak nadzianego wyrzucił w powietrze. Przystanął, wydał mruk ponury, spojrzął za stadem swoim, które było dość daleko, i upadł na ziemię, aby skonać o kilkanaście kroków od martwego już wroga. Na całej drodze, kędy szalała burza tych łowów wściekłych, leżały ogromne ciała bizonów: jedne skostniałe, pozabawione już tchu życia, inne drgające w mękach konania.

W oddaleniu słychać jeszcze wrzawę; ale konie łowców, wyczerpane gonitwą, folgują w biegu, ustają, nie mogą sprostać stadu bizonów, które ciągle rwie naprzód z szybkością nadzwyczajną. I jeźdźcy, choć ogromnie wytrwali, upadli na siłach, i zadyszani, uzbrojeni, pragną wytchnienia. Całe to szczęście przesładowanych, że nieprzyjaciel także się nuży i z sił opada. Jest cicho na wielkim stepie. Ustały łowy zgiełkliwe, a w ciszy następuje drugi akt dramatu.

Żony łowców dzikich, uzbrojone w noże ostre, przybyły z dziećmi na plac boju. Radość ożywia niewiasty czerwonoskóre, gdyż w wigwamach niema dostatku, a nierzadko bywa nędza głodowa. Łup dzisiejszy, bardzo obfity, stanowi zapowiedź wielu sutych uczt rodzinnych, jako też zysków ze sprzedaży tego, co będzie zbywało. Kobiety idą po drodze przebiegu łowów i odnajdują tutaj ofiary poległe z ręki mę-

zów. Pierwszą ich czynnością jest zdjęcie skóry, która odgrywa rolę ważną w życiu Indyanina: służy na odzież, pościel, pasy, obicie namiotu, czółna, a z porastającej na niej grzywy głowy i szyi kręcą sznury. Następnie, kobiety owe odrzynają nieżywym bizonom języki, stanowiące powszechnie znany przysmak; oprócz tego, wykrawają najlepsze kaski mięsa i z całym tym łupem wracają do wigwamów, gdzie tną mięso na paski wązkie i suszą na słońcu tak zwany „pemmikan“.

Trzeci i ostatni akt dramatu odgrywa się wtedy, kiedy już ludzie opuszczają plac boju, uniósłszy lwią część zdobyczy. Pojawiają się wilki preryi, zawsze głodne, chciwe żeru i napadają na pozostałe resztki, aby im wyprawić pogrzeb. Słychać ponure warczenia, szczęki i zgrzyty zębów, chrzęst rozrywanych żył i ścięgien, walkę zawziętą o mięso i kości.

Indyanin odbywa także łowy na bizona pieszo. W tym celu wdziewa na grzbiet i głowę skórę wilczą, a mając łuk, jako też zapas strzał na podręczu, zaczyna podchodzić na czworakach w zygzak bizona, który się od gromady najbardziej oddalił. Długa grzywa głowy spada bizonowi na oczy, utrudnia mu dobre widzenie; przytem łowca szedł tak dobrze naprzeciw prądu wiatru, że zwierzę nie zwęszyło jego obecności. Kiedy już podszedł blisko i był

pewny dobrego strzału, lekko brzęknęła cięciwa łuku, a myśliwy plackiem przycupnął w trawie. W jakiś czas podniósł głowę, popatrzył co się dzieje: zwierzę kręciło się wokoło, jak gdyby dostało kołowacizny, potem padło, wydając mruki. Niektóre sztuki w stadzie wzniosły głowy grzywiaste, przez chwilę uważnie spoglądały na konającego towarzysza i z obojętnością szczypały trawę w dalszym ciągu.

Innym razem polowanie nie powiodło się łowcy: bizony zwierzyły człowieka i w jednej chwili całe stado rzuciło się do ucieczki.

Jeden podróżnik opowiada, jakoby polowanie na bizona nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa. „Częstokroć, pisze on, zabrakło nam mięsa podczas podróży i wtedy wystaliśmy sprawnego jeźdźca, ażeby zapolował w stepie. Wysłaniec nasz wjeżdżał między stada bizonów, które zaledwie zwracały nań uwagę, wybierał sobie jakąś sztukę, zaganiał ją i wraz z nią zmuszał do ucieczki pomniejszą gromadkę. Zaczynała się gonitwa i jeździec, nie oszczędzając konia, sadył już za upatrzoną ofiarą, dopóki się nie nastęczyła sposobność przyłożenia rewolweru do lewej łopatki zwierzęcia i do wystrzału już pewnego. Inne stada zachowywały się obojętnie, umknęły tylko nieco na bok podczas polowania“.

Trzeba bowiem wiedzieć, że pod względem

zdolności umysłowych, bizon amerykański nie różni się od swoich powinowatych — wołów. Jest on głupowaty, lękliwy i niezdolny do wzruszeń silniejszych; dopiero rozdrażniony, wpada w szał, staje się wściekły, odważny, mściwy. Dla oswojenia jednak nie jest tak dalece nieprzystępny, jak dawniej mniemano; potrzeba tylko czasu dłuższego i troskliwości znacznej, ażeby człowiekowi zupełnie uległ.

Przy sposobności zaznaczamy, że blisko z bizonem spokrewnione: *zubr* i *tur* są to dwa różne woły. Żubr, jak już wspominaliśmy, przechowuje się jeszcze tylko w puszczy Białowiejskiej; ale *tur* należy do zwierząt zaginionych. Był to wół czarny, dorównywający podobno według Cezara wielkością słoniowi. W Polsce żył on niegdyś w lasach Mazowsza, szczególnie w okolicach Sochaczewa, Rawy i nad Narwą, a tylko książętom było wolno nań polować. Po turze pozostały jedynie wspomnienia historyczne; ale nazwisko jego powtarza się w przysłowkach, nazwach miejscowości, jako też utrzymuje się do dnia dzisiejszego u ludu zabawa zapustna nazwana „turem“ albo „toruniem“.

Niedźwiedź biały.

Zajmuje on stanowisko wyosobnione w rodzinie niedźwiedzi, ponieważ już jako zwierzę morskie różni się zasadniczo sposobem życia od swoich powinowatych lądowych. Jest on jeszcze nieco większy od niedźwiedzia szarego, a nie ustępuje mu także w sile i dzikości. Puste wybrzeża mórz lądowych są jego ojczyzną. Nie zbadano dotychczas, jak daleko na północ leży kres jego pobytu; ale o ile tylko człowiek zdołał dotrzeć w te krainy niegościnne, wszędzie się z nim spotykał. Jak lew na pustyni afrykańskiej, tak on w pustyni śniegów i lodów jest królem. Pływak znakomity, zdolny jest przebywać wplaw przestrzeń dziesiątki mil wynoszącą. Nurkuje przytem nieporównanie jak rybołówca. Żeglarze widują go często, jak na bryle lodu odbywa wędrówki dalekie po morzu.

Okręt angielski, powracający z Nowej Ziemi, zarzucił był kotwicę przy jednej z wysp,

znajdujących się u wejścia w cieśninę Wajgacz. Dwaj majtkowie, powodowani ciekawością, zapragnęli zwiedzić tę wyspę i podплыли do niej w łodzi. Kiedy się już dosyć nachodzili, usiedli na brzegu i zwróciwszy do okrętu spokojnie rozmawiali. Naraz jeden z nich uczuł, że go ktoś silnie pochwycił za kark z tyłu. Żarty grube w tym rodzaju nie są bynajmniej rzadkością między żeglarzami; więc majtek nagabnięty, znając się na takich figlach, zapytał nawpół gniewnie: „Kto mię tam u licha ściska tak mocno?... Dosyć tych żartów!“ Ale towarzysz jego odwrócił głowę i wydał okrzyk trwogi: „Boże, to niedźwiedź!“ Porwał się z temi słowy i uciekał, czyniąc wrzawę niezmierną. Rzeczywiście, ogromny niedźwiedź biały podszedł z nienacka, pochwycił jednego za kark i zwałił sobie pod łapy. Na krzyki rozpaczliwe żeglarza, który szukał ocalenia w ucieczce, załoga okrętowa chwyciła lance, strzelby, rzuca się do czółen i przybija do wyspy. Bez zwłoki czasu uderzyli na potwora, rozszarpującego ich towarzysza. Zwierz ani drgnął na widok ludzi nadchodzących, nie przerwał sobie uczyty; dopiero, kiedy się już dobrze zbliżyli do niego, powstał nagle, rzucił się z wściekłością, pochwycił wpół ciała jednego z tej gromady i uniósł, rozdzierając go pazurami w oczach załogi osłupiałej z przerażenia. Taki strach nadzwyczajny ogarnął wszystkich,

że uciekli w pośpiechu największym, rzucili się do czółen, powrócili do okrętu. Opamiętali się teraz, odzyskali odwagę, sromali się swego tchórzostwa i jedni drugim dodawali otuchy. Postanowili wracać na wyspę, uderzyć gromadnie na bestyę straszliwą, pomścić śmierć współtowarzysza.

Niektórzy jednak sprzeciwiali się tej wyprawie, tak przemawiając: „Towarzysze nasi już nie żyją i my ich przecież w żaden sposób nie zdołamy wskrzesić. Chyba dlatego mamy przedsiębrać tę wyprawę, aby napaść oczy widokiem smutnych ciał poszarpanych i krwią zbroczonych kości rozrzuconych. Doprawdy, to zwiększy żalność naszą! A cóż za zaszczyt dla nas pokonanie niedźwiedzia, jeżeli to okupimy ofiarami? Istotnie, w takim położeniu zdrowy rozum nakazuje pogodzić się z losem“. Mowy te trafiły do przekonania większości małodusznej, usiłującej usprawiedliwić rozumowaniem tchórzostwo swoje. Ale znaleźli się tam ludzie z innymi poglądami na ową sprawę.

Trzej mianowicie junacy, lekceważąc zimny rozsądek tam, gdzie potrzeba okazać serce, ufni w męstwo swoje, wsiedli w czółno i popłynęli na wyspę. Potwór, widocznie zgłodniały, leżał na obu trupach i wyciągał korzyści ze swego zwycięstwa. Majtkowie podeszli, razem dali ognia; ale zapewne odległość była za wielka i kule nie

dosięgnęły niedźwiedzia. Wtedy najdzielniejszy z tych trzech rażno poskoczył naprzód, podszedł już tak blisko, aby strzał nie zawiódł, zmierzył spokojnie, dokładnie i wypalił. Tym razem wsadził rozbójnikowi kulę ponad oko, a tak, że mu nawskroś przewierciła głowę. Jednak rzecz dziwna, niedźwiedź nie padł na miejscu: powstał jeno i, trzymając za kark zwłoki jednego z nieboszczyków, rzucił się z niemi do ucieczki. Ale kiedy przebiegł kilka kroków, zachwiał się, a wtedy trzej majtkowie natarli nań z bronią białą. Drapieżnik, obluzgany cały krwią ludzką, runął nareszcie, a i wtedy nawet nie popuścił swej ofiary. Otrzymał pchnięcie potężne i głębokie w paszczę, ale cios ten był już zbyt teczny.

Trzej dzielni ludzie pozbiali teraz szczątki towarzyszków zamordowanych i pogrzebali je na wyspie w obecności całej załogi okrętu, która tu nareszcie przybyła. Skórę niedźwiedzia olbrzymiego słusznie przyznano najdzielniejszemu z tych trzech żeglarzów, ponieważ on to pierwszy zadał straszному potworowi ranę śmiertelną.

Posłuchajmy następnie opowiadania o innej przygodzie. Jesteśmy na pokładzie okrętu pod dowództwem kapitana Jange Krees. Wieczór nastał po dniu bardzo pracowitym, w którym płatano sadło wielorybie i robiono z niem

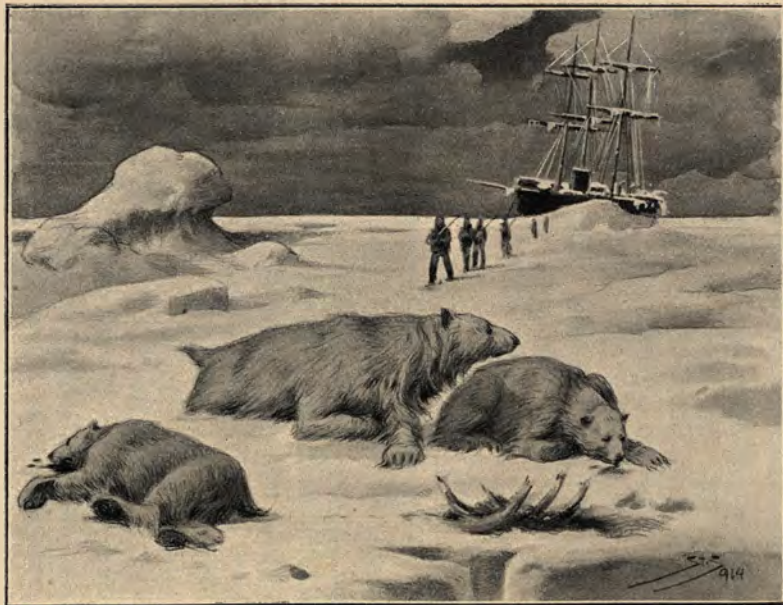
porządek. Kapitan i cała załoga, ogromnie znużeni pracą, udali się na spoczynek. Tylko straż zwyczajna czuwała. Okręt stał przymocowany do wielkiej ławicy lodowej, na której straż spostrzegła właśnie niedźwiedzia leżącego i, jak się zdawało, uśpionego. „Pójdźmy, uderzmy na niego!”—mówili strażnicy między sobą. „Zróbmy tylko wyprawę tak cicho, aby nie zbudzić nikogo!” Atoli nie mogli się załatwić bez sprawienia zgiełku, kiedy im wypadło odwiązywać czółna. Obudzili kapitana, który spał na jedno ucho, usłyszał zgiełek w chwili, kiedy mu się śnił wieloryb: zaraz wstał, wyszedł z kajuty i dowiedział się, o co chodzi. Sprawdził fakt, swoim wzrokiem daleko sięgającym osądził, że jedno czółno nie jest dostateczne do takiej wyprawy i przeznaczył dwa, a przytem, odpowiednią ilość ludzi uzbrojonych, na których czele sam stanął. Niedźwiedź widział zdaleka, jak się ów zastęp zbrojny zbliżał ku niemu wodą i nie okazywał najmniejszego niepokoju. Ale kiedy czółna przybiły już do ławicy lodowej, zwierz nie miał chęci dotrzymywać placu, porwał się i wskoczył w morze. Czółna poszły za nim w pogoń, dopadły go, a kapitan pierwszy zadał mu lancą takie pchnięcie, że wnętrzności zwierza dały się widzieć. Można było powtórzyć ten cios; jednakże chodziło tu o to, ażeby nie dziurawić skóry bez potrzeby. Zwierz, po odebraniu ta-

kiego pchnięcia, powinien był i tak nie żyć. Tymczasem dopłynął do wysepki maleńkiej, która się wznosiła może o jakie pięć stóp nad wodą, i wylazł na brzeg ku zdziwieniu wielkiemu marynarzy. Nikt nie mógł pojąć, jakim cudem niedźwiedź srogo przebity, zdobywa się na taki wysiłek. Na owej wysepce zwinął się w kłębek i leżał, trzymając pysk na łapach przednich. Zniecierpliwiony kapitan rozkazał płynąć do wysepki, sam co żywo wyskoczył z czołna i pobiegł, ażeby lancą długą dobić zwierza. Wtem, o dziwo niesłychane, niedźwiedź rzekomo nawpół umarły, ryknął, wykonał skok nadzwyczajny, rzucił się do napastnika, położył mu jedną łapę na piersiach, drugą na żebrach i pokazał dwa rzędy zębów białych. W takiej postawie pozostawał czas jakiś, jak gdyby chciał dać uczuć swemu przeciwnikowi całą okropność położenia i lubował się tym rodzajem wywierania zemsty.

Załoga, na widok niebezpieczeństwa, zagrażającego zwierzchnikowi, poczęła krzyczeć w niebogłoso, przyzywając pomocy z okrętu. Jeden tylko majtek nie spodziewał się wcale, ażeby niedźwiedź był tak względny i czekał, dopóki kapitanowi posiłki nie nadejdą. Ten majtek właśnie pochwyił bosak okrętowy, oręż zupełnie nieodpowiedni do takiej walki, i pospieszył na ratunek kapitana. Niedźwiedź, wi-

dząc nowego przeciwnika, puścił ofiarę, i począł zmykać. Jonge Krees wyszedł cało, najadł się tylko strachu. Przy płynęły nowe czółna od okrętu i po krótkiej naradzie wyruszone tłumnie na drapieżnika, który niedaleko odszedł i znowu się położył. Sypnęły się liczne strzały, potem uderzone z lancami, słowem, cała załoga była niezmiernie czynna, aby zabić jednego niedźwiedzia.

Innym znowu razem pewien okręt amerykański stał na kotwicy przy brzegach Grenlandyi. Jeden z majtków użył za dużo rumu i to natchnęło go taką odwagą, że postanowił zaczepić niedźwiedzia białego. Uzbrojony w oszczep, jakiego się używa w łowach na wieloryba, przedsięwziął wyprawę zuchwałą. W ciągu pół godziny przebył drogę wielce uciążliwą, grzęznąc w śniegu sypkim, utykając na odłamach ostrych lodu, aż znalazł się w bliskości nieprzyjaciela pożądanego. Niedźwiedź wcale się nie uląkł tej napaści, przeciwnie, miał postawę bardzo groźną, wyzywającą. Droga przebyta, widok zwierza strasznego, znacznie ochłodziły męstwo żeglarza. Śmiałek zatrzymał się w niejakiej odległości od białego króla lodów i tak wywijał oszczepem, że towarzysze jego, patrząc zdaleka, nie mogli rozpoznać, czy on się broni, czy napada. Olbrzym ciągle stał spokojnie, wpatrywał się w przeciwnika. Majtek napróżno usi-



NIEDŹWIEDŹ BIAŁY.

<http://rcin.org.pl>

łował zebrać odwagi i rozpocząć bój na dobre; niedźwiedź wyglądał zbyt potężnie miał postawę straszliwie groźną. Że w oddaleniu zawsze można udawać zucha, więc junak, choć zaczynał już cierpnąć ze strachu, jął krzyczeć, wstrząsać oszczepem. Niedźwiedź, jak gdyby tego wszystkiego nie słyszał, nie widział, uparcie stał w miejscu: pogardzał groźbami, czy ich nie rozumiał. Takie zachowywanie się zwierza przerażało śmiałka coraz więcej i nareszcie doprowadziło go do strachu, w którym łydki drżą pod człowiekiem, kolana się uginają. Nasz zuch byłby już dawno zmykał z placu boju, gdyby nie obawa, że go towarzysze wyśmieją. Teraz niedźwiedź uznał za stosowne przyjrzeć się zblizka człowiekowi i śmiało szedł ku niemu. Żeglarz, widząc to, stracił ostatnią iskierkę męstwa, wziął nogi za pas i począł rączo uciekać. Niebezpieczeństwo prawdziwe zaczęło się właśnie od tej chwili. Człowiek wnet poczuł, że ma na karku nieprzyjaciela i rzucił lancę, jedyny środek obrony, ale zarazem i ciężar, który utrudniał ucieczkę. Zwierz zatrzymał się przy tym orężu, dotknął go łapami, ugryzł i znowu puścił się w pogoń. Następował już na pięty żeglarza zaledwie dyszącego, kiedy spostrzegł na drodze rękawicę upuszczoną i przy niej, podobnie jak przy lancy, zabawił przez chwilę. Zbieg, chcąc zyskać na czasie, upuścił jeszcze

drugą rękawicę, nareszcie czapkę i podstęp zawsze mu się udawał. Mimo to, pogoń, jakkolwiek chwilowo odwlekana, trwała uporczywie i śmiałek byłby niezawodnie zginął, gdyby mu w ostatniej chwili inni majtkowie nie pośpieszyli z pomocą.

Jak wielka jest miłość macierzyńska niedźwiedzicy białej, można się przekonać z przygody, która się zdarzyła na okręcie La Carcasse zamarym wśród lodów. Razu jednego majtkowie piekli mięso konia morskiego, kiedy naraz ujrzeli w pobliżu trzy niedźwiedzie białe, zwabione tu zapewne wonią pieczeni. Była to matka z dwojgiem dzieci, które jej prawie dorównywały wzrostem. Młode rzuciły się chciwie na ognisko, porwały spory kawałek mięsa i połknęły z pośpiechem. Żeglarze robili sobie teraz zabawkę, rzucali różne ochłapy, które matka zbierała i odnosiła dzieciom. Właśnie przybyła zabrać ostatni kawałek mięsa rzuconego, kiedy załoga poza jej plecami dała ognia i zastrzeliła oboje dzieci, a jednocześnie zraniono także starą. Nieszczęśliwa matka zaledwie mogła się poruszać, jednakże czołgając, zaniosiła i podawała dzieciom kaski. Spostrzegła, że dzieci nie jedzą, i wyciągała łapy już do jednego, już do drugiego, usiłowała je podźwignąć. Ponieważ wszystkie jej starania okazały się daremne, zaczęła wyć żałośnie. Następnie oddaliła się o kil-

kanaście kroków, ciągle spoglądając poza siebie ku dzieciom i wyła rozpaczliwie. Powtórzyło się to kilka razy. Nareszcie zdobyła sobie przekonanie, że te zimne dzieci są trupami martwymi. Wtedy zwróciła głowę do okrętu, wydawała mruki pełne wściekłości i rozpaczy. Załoga odpowiedziała jej na to wystrzałami. Padła obok dzieci i zdychając, jeszcze lizała ich rany.

Niedźwiedź brunatny.

Do olbrzymów świata zwierzęcego w Europie zalicza się niedźwiedzia i dzika, którym atoli lepiej przystoi nazwa grubej zwierzyny.

Niedźwiedź w młodości poprzestaje na pokarmie roślinnym, a przytem jest wielkim lubovníkiem mrówek i miodu. Z wiekiem dojrzałszym nabiera smaku do mięsa, a wtedy nie przebiera: napada, dusi i pożera, co mu się zdarzy: barana, krowę, konia.

To też, jako drapieżnik, złodziej i łupieżca trzód, doznaje prześladowania srogiego.

Hrabia Kazimierz Wodzicki, myśliwy pierwszorzędnny, niepospolity znawca przyrody i pisarz utalentowany, polował wiele razy na niedźwiedzie w górach Karpackich, a piękne opisy jego tych łowów należą niezaprzeczenie do arcydzieł w swoim rodzaju.

Przytaczam właśnie taki opis, zdaniem mojem, jeden z najbardziej zajmujących.

We wrześniu 1869 roku, pasterze górscy dają raz znać, że codziennie widują w jarze niedźwiedzicę czarną z piastunem.

Las zajmował przestrzeń może do tysiąca pięciuset morgów, a przez środek jego biegł parów zakończony łąką czyli pastwiskiem. Po obu zaś stronach całej tej przestrzeni wznosiły się ściany gór z drzewostanem mieszanym. W owym lesie wyrąbano starodrzew, a zasiały się świerczyna i jedlina, dające zwierzyńie schronienie bezpieczne, bo nieprzystępne dla człowieka. Rozstawiamy się od szczytów gór, psy puszczono dołem. Po chwili jeden pies się odezwał, za nim inne, i wnet słyszę, jak całym chórem pędzą na mego sąsiada.

Pada strzał, postać czarna miga się w gąszczu, za nią psy wszystkie. Strzał zbił zwierza na lewo, skierował go do parowu, na drugą ubocz. Puszczam się w pogoń przez gęstwinę tam, gdzie słyszę ujadanie psów, podchodzę i widzę mały gąszczyk, który się cały trzęsie od ruchów zwierząt. Stałem pod drzewem w przekonaniu, że niedźwiedzica wypadnie na mnie lada chwila. Oczekiwanie trwało dość długo; gorączka się wzmacza; jakiś głos mi podszeptuje:

„Idź do środka, zabijesz, w potrzebie zdołasz się cofnąć!“

Ale rozsądek nakazuje stać, czekać, nie

rwać się do smoczej jamy. Pokusa jednakże wzrasta, zwycięża, wciskam się w ów gąszcz pełen wilgoci. Ujrzałem siedzącą niedźwiedzicę, wspartą na łapach przednich, otoczoną przez psy rozjadłe. Spozrzała mię i obrzuciła swemi pięknymi oczyma.

Obrazek ten utkwiał mi na całe życie w pamięci.

Widziałem łeb zwierza, mordę, łopatki; wymierzyłem pod głowę i strzeliłem, potem szybko cofnąłem się pod drzewo. Zwierzę zważyło się, kupa psów je obsiadła, wszczął się hałas zdolny obudzić człowieka z letargu. Po kilku minutach słyszę szelest i głosy psów, nareszcie, wystrzał. Biegnę, zaciekawiony niepospolicie, i spostrzegam na polance pięciu naganiaczy uzbroyonych w dzidy, drągi, widocznie czekających, aby przyjąć zwierza.

Niedźwiedzica z przestrzeloną łapą wpada w środek tych ludzi, ale ma drugą łapę przednią zdrową i nią powala pierwszego napotkanego naganiacza, drze mu udo; powstaje, chwytając drugiego, rzuca o ziemię i zaczyna mu gryźć nogi.

Wołam na swego towarzysza, który stał bliżej tego grona:

„Strzelaj!”

A on mi odpowiada:

„Jedna wystrzelona, druga kłapiel!”

Chwila straszna, wzruszająca!

Naganiacze stali w osłupieniu jak posągi nieruchome, mogła ich wszystkich pozabijać. Ja, chociaż pędziłem potężnie z góry, znajdowałem się w odległości dwunastu kroków.

Naraz niedźwiedzica, szarpana przez psy, ruszyła z miejsca i pocwałowała do swego gąszczu, gdzie spoczęła jak w fortecy nie do zdobycia. Oczywiście, nikt nie chciał wejść do środka i mnie też powstrzymywano. Krzyčeliśmy, rzucaliśmy kamienie, nic jej nie zdołało wypłoszyć, a psy, mimo zachęty wszelkiego rodzaju, nie odważały się w głąb przeniknąć. Obstawiliśmy ten gąszczyk we trzech, gdyż inni myśliwi zniknęli gdzieś po opisanych zajściach, a pierwszy przepadł Stark, mój pomocnik. Niedźwiedzica wymknęła nam się klinem bez strzału, psy poszły za nią, ale już z pewnem uszanowaniem, o kilkanaście kroków odległości.

Przebiegła żwawo przez jar i na drugiej uboczy znowu się usadowiła w miejscu mało dostępnem. I teraz ją obstawiliśmy, a było nas dwóch tylko. Znowu się wymknęła, psy zaś nacierały coraz to słabiej, powolniej.

Takie sceny powtórzyły się tego dnia sześć czy siedm razy.

Czwarta godzina już minęła, dziewiąta była w nogach, gardle, płucach, a u psów jeszcze późniejsza. Kiedy zwierz znowu przywarował

w gąszczu, zjawił się mój Stark, wiodąc dwa psy zabłąkane.

„Idź na górę, puść psy i strzel w krzaki! My się rozstawimy dołem”—rzekłem do niego.

Ale Stark spojrział na mnie oczyma błędniemi i odpowiedział grobowym głosem:

— „Za nic w świecie! Wolę umrzeć“.

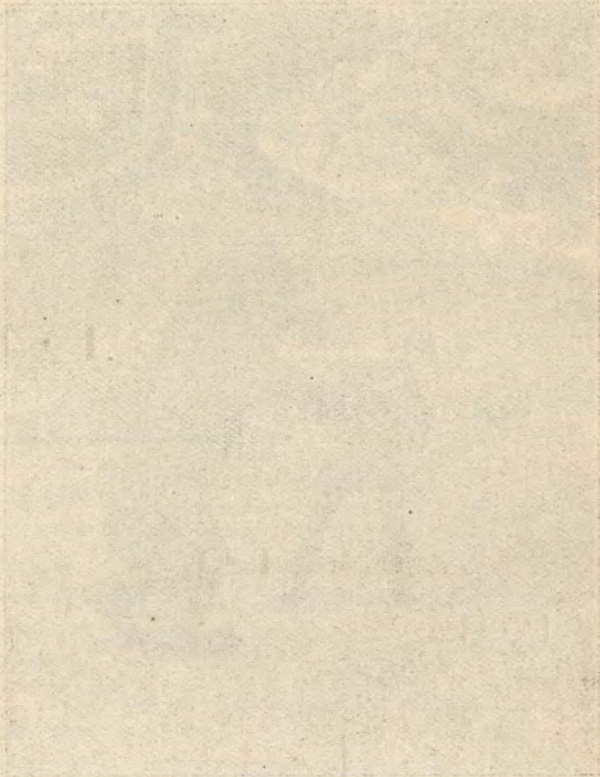
„Więc wleź na drzewo i strzel do gąszczu!“

Uznał to za stosowne, wdrapał się szybko jak wiewiórka, strzelił. Niedźwiedzica wypada teraz na trzech nogach z podniesioną łapą przestrzeloną, z paszczą otwartą, z językiem wiszącym z boku. Stałem o trzydzieści kroków od niej na łące bez drzew, mając w pobliżu mały potoczek; ona zaś biegła na dół i właśnie weszła poza dwa świerki. Złożyłem się natychmiast, postanawiając strzelić, jak tylko zwierz minie owe świerki. Stałem tak z strzelbą wymierzoną za świerki, wpatrzony w to jedno miejsce, wcale nie bacząc na inne kierunki. Dopiero szelest cwału niedźwiedzicy i głośne mruczenie zwróciły gdzieindziej mą uwagę: zwierz prosto na mnie pędził.

Było już nieco za późno, abym, niespodziewanie zaskoczony i wstrząśnięty, mógł celnie strzelić. Wymierzyłem jednak, jak się dało, strzeliłem. Ryknęła straszliwie i jeszcze gwałtowniej biegła, tak, że w susach ogromnych przyskoczyła na odległość może trzech kroków.



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY.



WYDZIAŁ MEDYCYNY

Przysiadła, dźwignęła się na zadzie, a zdrową łapą sięgnęła po moją czaszkę, może i po głowę. Jej paszcza panowała nade mną o jakiś łokieć. Strzeliłem z ostatniej lufy tak, że kula wysadziła mózg niedźwiedzicy, która w tej chwili runęła w potok bez znaku życia.

No, gdyby też z powodu dżdżu całodziennego lufa nie była wypaliła!

Mój towarzysz, widząc mię w niebezpieczeństwie, śpieszył na pomoc, jak tylko mógł najprędzej, nie zdołał jednak strzelić. Ale kiedy spostrzegł łapę niedźwiedzicy nad moją głową, upadł i dostał tak gwałtownego bicia serca, żeśmy go oblewali wodą, rozerwaliśmy na nim odzienie i dopiero wówczas odzyskał przytomność, gdy się zabierałem, aby mu krew puścić.

Innym razem jużem był wracał z polowania do domu, kiedy spotkałem w górach Hucuła, który mię zagadnął:

„Co mi pan da, jeżeli napędzę niedźwiedzia?“.

Obiecałem mu dać dziesięć złotych reńskich pod warunkiem, że jego psy będą goniły, a moje nie wezmą udziału w tem polowaniu. Posiadałem zaś wówczas siedem psów doskonałych, którymi dowodziła Gazdunia, suka cnót i zalet nieporównanych. Jednakże psy te były zagoniste do tego stopnia, że nieraz, by je odzukać, traciłem znaczną część pory przegna-

czonej na polowanie. Psy spotkanego Hucuła były bardzo piękne, coś w rodzaju górskich szkockich: jeden zupełnie biały, drugi z łatkami czarnymi, które miał i na uszach. Oba kudłate, miały oczy rozumne, duże, z wyrazem odwagi.

Ten Hucuł, gospodarz zamożny w trzodę, uśmiechnął się na odchodnym, mrugnął oczyma i rzekł:

„Ja wiem, gdzie on pod skałą leży!”

Jak gdyby mię wsadzono na sto koni: zapomniałem o zawodach dziś doznanych, o znużeniu, zniechęceniu. W chwili, kiedy mieliśmy się ustawić na uboczy dosyć spadzistej, mówię do Starka:

„Nie puszczaj psów, jeśli nie dam znaku trąbką, bo się znowu zagonia!”

Stałem pod świerkiem omszonym, na ścieżce wydeptanej, jak powiadano, przez niedźwiedzia. Rozpoznawałem położenie miejscowości, a niepokoił mię widok moich psów siedzących w górze ponad lasem: obawiałem się ich ujadania i szczekania. Wtem jeden z psów owczarskich odezwał się basem, drugi zawtórował barytonem, a Hucuł niedaleko ode mnie poświstuje i nawołuje. Usłyszałem łomot, jakby sprawiony przez kilka sztuk bydła uciekającego, łamanie suchych gałęzi, przewracanie kamieni, szum chróstów. Niebawem też spostrzegłem na

zakręcie ścieżki głowę burego niedźwiedzia, który się do mnie zbliżał.

Jużem się przygotował, złożył do strzału, kiedy Stark, mój zły duch myśliwski, zapomina o poleceniu, puszcza wszystkie psy i woła pełnym głosem:

„Husz, husz, pieski!“

Psy, mając niedźwiedzia na oku, rzucają się nań z wściekłością, z wrzawą ogromną i zbijają go na dół z uboczy.

Rozpacz mię ogarnęła. Puszczam się ku dołowi, biegnę po uboczy zasypanej ruchomymi i omszonymi, okrągłymi kamieniami, przerzniętej strumykiem.

Niedźwiedź sadził potężnie, przebiegł obok pobereznika, który mu rzucił nabój śrutu i siekańców, ale zwierz widocznie sobie nie wiele robił z tego, gdyż nie zmienił toru i pędził dalej. W jednej chwili odkrywa się przedemną obraz ciekawy, nadzwyczajny.

Młody, przystojny Hucuł, w guńce zapiętej pod szyją, z wiszącymi rękawami, biegnie obces na niedźwiedzia z dzidą i krzykiem rozgłośnym. Był już w odległości piętnastu kroków i zabrakło mu widać odwagi, bo rzucił dzidę, zaczął uciekać.

Zwierz dopędził go w kilku susach, przysiadł i zdarł z niego guńkę, a rad z takiej zdo-

byczy, począł ją szarpać, jakkolwiek psy dobie-
rały mu się do kudłów.

Hucuł, pozbawiony guńki, nie ustawał
w biegu, pomykał się jak antylopa ku kolibie
i skoro dopadł, jednym susem rzucił się we-
wnątrz. Stałem może o sto pięćdziesiąt kroków
od niedźwiedzia i gdyby nie brak tchu, nie nogi
trzesące się po kilkunastu wywróconych kozioł-
kach, byłbym strzelał. Zwierz poszarpał guńkę
huculską, potem galopkiem poszedł dalej. Teraz
znowu mój zły duch dał mi się we znaki. Wi-
dząc co niedźwiedź wyrabia z guńką, Stark
wdrapał się na szczyt świerka i tam wysiadywał.

Rozjuszony zwierz przysiadł na łące nad
strumieniem, gotując się do walki z psami.

A mój strzelec, zamiast wyczekiwać, dopó-
ki ja się nie spotkam z niedźwiedziem, bo mię
przecie widział pędzącego, zamiast strzałem pod-
gonić niedźwiedzia, a tem samym ratować psy
rozżarte, zaczyna z wierzchołka drzewa krzyżeć
głosem przerażonym:

„Husz, husz!”

Moje psy, podniecone w ten sposób, rzucają
się zaciekle na zwierza, a rudy Śpiewak wskakuje
mu nawet na grzbiet i zębami w gryza się w ucho.

Niedźwiedź znowu przysiąda, ściąga z sie-
bie łapą Śpiewaka, przyciska go do łona,
upuszcza i kłusuje dalej.

Kiedy nadbiegłem pies już był martwy.

Com teraz powiedział Starkowi, tego nie można tu powtórzyć.

Miotany pragnieniem zemsty, popędziłem natychmiast za mordercą Śpiewaka. Pogoń trwała półchwarty godziny, miałem zwierzę ciągle na oku, a na strzał zawsze było za daleko.

Niedźwiedź to zasiadał i walczył z psami, to ku nim podskakiwał, a częstokroć, zmęczony widocznie, warował na miejscu przez kilka minut.

Do dnia dzisiejszego nie mogę pojąć, jakim sposobem znalazł się na górze ponad rzeką. Wiedziałem, że goniąc za nim, nie zdołam go dopędzić; więc kiedy w otoczeniu psów przystanął na miejscu, puściłem się w bród przez rzekę, aby mu zejść drogę od tyłu.

Atoli ściana zwirowata, istne urwisko, nie dozwoliła mi dotrzeć na górę. Brodząc po wodzie, spostrzegam, że niedźwiedź odpoczywa nad tem urwiskiem, a przy nim, już tylko dwa psy się znajdują. W tejże chwili nadbiega góral, rzuca toporek, który się wbija w grzbiet zwierzęcia. Miś porwał się jak szalony, wpada na górala, w mgnieniu oka przysiadł, wyciągnął łapę, wziął człowieka pod siebie i darł pazurami. Serce mi pękało na ten widok, a tu mowy być nie mogło, aby strzał dosięgnął w górę. Psy też, zamiast napadać, poczęły wyć żałośnie.

Obszedłem wodę jakie dwadzieścia kroków, wdrapałem się na górę, biegnę do miej-

sca, gdzie powinienem był znaleźć zwierza i nie mogę nic dojrzeć. Rzucam się więc w zarośla i oto przed gąskiem gęstej świerczyny, mającym rozległości z sześć sążni kwadratowych, przedstawia mi się tu widok: Gazdunia leży i głosem ochrypłym szczeka w kierunku gąszczu; po za gęstwiną zaś przyległ stary pies leśniczego i poszczekuje kiedy niekiedy. Miałem przed sobą polankę, wszystkiego ćwierć morgi. Zaledwie odetchnąłem, Gazdunia już mię spostrzegła i podniecona widokiem pana rzuca się zapalczywie do gąszczu. Ale wnet się cofa z pośpiechem, a za nią wypada niedźwiedź z podniesioną łapą.

Ujrzał mię, ryknął, potem pomrukiwał, przysiadł na zadzie. Dźwignął się z wolna, a kiedy wystawił ku mnie łapy, odsłonił miejsce gołe, bez futra, pod łopatką.

Zmierzyłem do tego celu, wypaliłem. Niedźwiedź objął głowę obiema łapami, zamruczał ponuro i runął na murawę. Po chwili jeszcze ryknął, podźwignął się, ukazując mi swą ranę, z której krew płynęła. Strzeliłem po raz wtóry.

Teraz już upadł i ciężarem swoim zgiął sporego świerczaka. Obejrzałem się i spostrzegłem, że za mną stał leśniczy z strzelbą na ramieniu.

„Jak to — zawołałem — w chwili takiej pan nie masz kurków odwiedzionych!“

A on mi odrzekł spokojnie, bez najmniejszego wzruszenia w głosie:

„Wiedziałem, że go pan zabije.”

Działo się to o trzynaście kroków od rozjuszonego niedźwiedzia. Wyznaję, że musiałem podziwiać odwagę i zimną krew człowieka, bo gdyby moja strzelba nie była wypaliła, zginęlibyśmy obaj najniezawodniej. Nieszczęśliwego górala, który był bez nadziei życia, odwieziono do wsi; niedźwiedź zdarł mu szmatę skóry od głowy do kolana.

Niedźwiedź szary.

Jest to rozbójnik najstraszniejszy ze wszystkich drapieżnych czworonogów Ameryki, a przeto bywa przedmiotem ulubionym rozmów i opowiadań myśliwych krajowców.

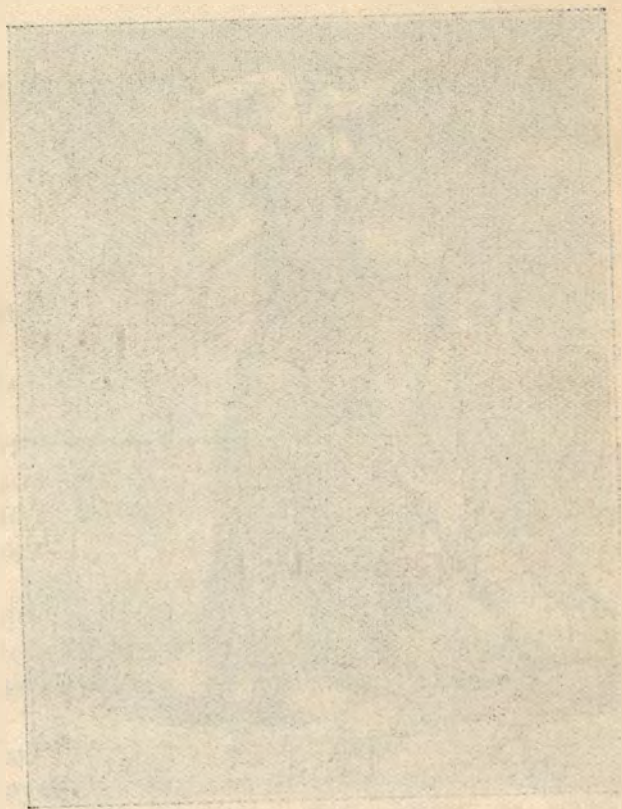
Posiada on życie twarde i każda rana, która go nie zwala z nóg na miejscu, jest nadzwyczajnie groźna dla strzelca. To też ten, kto się z nim zwycięsko potykał, zasługuje na podziw i szacunek zarówno białych jak Indyan.

W młodości wylazi na drzewa, w wieku dojrzałym jest na to za ciężki. Pływa jednak wybornie i gniewem uniesiony ściga przeciwnika na wodzie.

Żadne ze zwierząt krajowych nie zdoła mu się oprzeć: dość powiedzieć, że napada i pokonywa potężnego bizona. Nie obawia się wcale człowieka: wyzwany staje śmiało do walki, a jeśli jest głodny, uderza zuchwale na króla ziemi. Ranny, wpada w wściekłość i biada temu,



NIEDŹWIEDŹ SZARY.



WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII

kto się rychło nie schronił, lub jeżeli jest strzelcem dzielnym, nie posłał mu kuli śmiertelnej. Potwór miażdży takiemu żebra w objęciach swoich, albo jednym zamachem łapy rozrywa całe ciało.

Niegdyś pospolity nad Missouri, dzisiaj musiał się cofnąć na zachód, party przez postępy rolnictwa i przemysłu. Zakłada on legowiska swoje głównie w górach Skalistych i Czarnych.

Polowanie na niego zwykle się odbywa konno i myśliwy podjeżdża częstokroć dosyć blisko, aby mu opalić futro; ale strzelec musi być zupełnie pewny oka, ręki, strzelby. A z tem wszystkiem bywają wypadki, co prawda, rzadkie, że człowiek się ocala, jakby cudem.

Amerykanie, uczestnicy wyprawy handlowej, podczas podróży rozbili raz obóz u stóp pasma gór Czarnych. Niebawem spostrzegli tutaj, między krzewami, tropy tego zwierza straszliwego. Nadzieja wypoczynku zniknęła i noc przeszła w oczekiwaniu pełnem niepokoju.

W tem towarzystwie znajdował się niejaki William Cannon, który niegdyś służył w wojsku. Był to myśliwy niedoświadczony, a strzelec niezdarly, co go wystawiało na szyderstwa i drwiny współtowarzyszów.

Drażniony przez ciągłe pośmiewiska, ćwiczył on się w strzelaniu, ale z małym skutkiem.

Wybrał się po południu, sam jeden poszedł w step i ku ogromnej swej radości zastrzelił bizona. Ponieważ znajdował się w odległości znacznej od obozu, więc nie mógł myśleć o tem, ażeby tam sprowadzić zdobycz w całej okazałości; odciął zwierzęciu zabitemu język, wykrajał kilka najlepszych kawałków mięsa, związał to wszystko rzemieniem, zawiesił na ramieniu i pełen zadowolenia wracał do towarzystwa.

Nagle, kiedy przebywał jakiś jar wązki, posłyszał za sobą odgłosy kroków. Odwrócił głowę i z przerażeniem nadzwyczajnem ujrzał poza sobą niedźwiedzia szarego, którego może zwabił tutaj zapach mięsa świeżego.

Cannon tyle się był nasłuchiwał o trudnościach ogromnych pokonania tego zwierza, że nawet nie ważył się strzelać. Pośpiesznie tylko zrzucił z siebie brzemię mięsa i zaczął uciekać całym pędem. Atoli mięso nie zatrzymało niedźwiedzia, który w dalszym ciągu gonił za uchodzącym. Los szczęśliwy zdarzył, że na tej drodze rosnęło drzewo i Cannon odrzucił strzelbę, a na drzewo wdrapał się z pośpiechem wielkim właśnie w chwili, kiedy prześladowca już-już go dopadał.

Myśliwy spojrział teraz z góry i widział, że potwór straszliwy przysiadł na zadzie, a pomrukując groźnie, śledzi go baczenie oczyma dziko płonącemi. Niedźwiedź kilkakrotnie na-

wet zbliżał się do pnia, drapał niecierpliwie korę pazurami, że aż konary drzewa drżały.

Kiedy noc ciemna zaległa ziemię, człowiek na drzewie pozostawał ciągle w trwodze nieopisanej, gdyż nie mógł rozpoznać, czy go nieprzyjaciel trzyma jeszcze w obłęzieniu, a wyobraźnia podszeptowała wszystko najgorsze.

Przez całą noc był on łupem przywidzeń najokropniejszych: za lada szmerem liści zdawało mu się, że potwór wyłazi na drzewo i wyciąga ku niemu łapę, uzbrojoną w pazury straszne. Niedźwiedź rzeczywiście czatował do świtu; ale przyległ u stóp drzewa i zachowywał się spokojnie, jak gdyby wiedział, że to może skłonić człowieka do opuszczenia schroniska bezpiecznego.

Z brzaskiem dnia, efraim, tak go przezywają w Ameryce, odszedł nareszcie, ale nieustannie oglądał się po za siebie, co zatrzymało biednego Cannona jeszcze parę godzin na drzewie, bo nuż chytry zwierz czai się gdzieś w oddaleniu. Nasz myśliwy, upewniony dostatecznie o swem bezpieczeństwie, zeskoczył, pochwycił strzelbę i, nie myśląc już o mięsie bizona, pobiegł pędem do obozu. Przygoda jego dodała tylko towarzyszom bodźca do drwin nowych.

Niejaki John Day, stary, wytrawny myśliwy z Wirginii, tropił pewnego razu jelenia, mając za towarzysza młodego nowicyusza. Wtem

niespodziewanie spostrzegli w odległości trzydziestu metrów niedźwiedzia szarego olbrzymiej wielkości.

Potwór wypadł z gąszczu zarośli, wspiął się na łapach tylnych, wydał mruk straszliwy, zmrażający krew w żyłach, a przytem ukazał zbrojownię bardzo bogatą w pazury i zęby.

Młody myśliwy zrobił taki ruch, jakby się gotował do użycia karabinu; ale w tej chwili uczuł dotknięcie ręki żelaznej starego ówika, i postłyszał słowa jego wyszeptane przez zęby:

„Chłopcze, cicho, sza! — ani mi drgnij!”

John Day mówił to, a jednocześnie nie spuszczał z oczu bestyi okropnej. Ślepie ogni-ste potwora spotkały się z buremi, przenikliwemi oczyma strzelca, osadzonemi głęboko pod brwiami krzaczastemi. Niedźwiedź powstrzymał się w napadzie, może pod wpływem wzroku Daya, a może zdumiony istnie posągowym spokojem obu łowców. Przeszywał ich tylko wzrokiem, w którym się iskrzyła dzikość i żądza łupu. Trwało to z pięć minut, wydających się myśliwym, jakby lata długie pod toporem katowskim.

Efraim nareszcie spuścił oczy, stanął na czworakach, mruknął już mniej groźnie i począł się oddalać. Uszedł z dziesięć kroków i widać po namyśle, znowu się odwrócił usiadł na za-

dzie, powtórzył groźbę, straszliwie brzmiącą w tym stepie głuchym.

Stary weteran i teraz dotknął dłonią ramienia towarzysza, pomrukując:

„Chłopcze, cicho, cicho!”

Napomnienie było zupełnie zbyteczne tym razem, gdyż młodzieniec skamieniał prawie z przestachu i nie myślał się ruszyć. Po chwili, niedźwiedź znowu się opuścił na przednie łapy i poszedł w drogę dalszą. Zaledwie pobiegł jakie dwadzieścia kroków, a już stanął, zwrócił swoje oblicze do myśliwych i w postawie wyprostowanej wysłał ryk w powietrze.

To trzecie wyzwanie zniecierpliwiło już w najwyższym stopniu starego strzelca.

„Do kroćset! — zaklął John Day — bestya widocznie robi sobie z nas żarciki... No, no, dosyć mam tego!”

Rzekłszy to, złożył się w tej chwili i wypalił. Kula dosięgnęła potwora i co jest dziwna, chociaż go nie zwała na ziemię, obudziła w nim przestach, miasto wściekłości zwykłej w takich razach: zwierz teraz pobiegł krokiem pośpiesznym i wkrótce zniknął z oczu.

Teraz młody strzelec obdarzał starego wyrzutami, mówiąc:

— Zalecałeś mi ciągle cierpliwość, a widzę, że sam jej nie posiadasz.

— Mój chłopcze, odparł John Day, cierpli-

wość i roztropność są to cnoty znakomite; nie trzeba ich nigdy nadużywać, nawet wtedy, kiedy się ma do czynienia z niedźwiedziem szarym! Cóżes ty chciał, abym się takiej bestyi pozwalał dręczyć dzień cały i jak tchórz wyglądał w jej oczach?

Pewien myśliwy amerykański uganiał się za jeleniem i przypadkiem wpadł w jedną z tych głębokich studni, do których ściekają wody w preryach po wielkich deszczach, a podczas upałów pozostają doły suche. Wyobraźmy sobie przerażenie nadzwyczajne tego łowcy, kiedy na dnie nory, gdzie zapadł, spotkał się oko w oko z niedźwiedziem szarym, bestyą ogromnych rozmiarów.

Potwór, pewnie wygłodzony, od razu napadł na myśliwego, który najprzód wsadził mu w ciało dwa naboje, a następnie do rozpaczliwego boju ręcznego wy dobył nóż myśliwski.

Bóg jeden wie, co się tam działo w owym dole, gdyż łowca okryty ranami, przejęty trwożą śmiertelną, wcale sobie nie zdawał sprawy z tych zapasów.

Człowiek zwyciężył wprawdzie, ale wyszedł z boju jako kaleka: zwierz, zanim wyzionął dech żywota, złamał mu rękę i nogę, nie licząc wielu ran pomniejszych.

Łowca tak unieszczęśliwiony, wił się w cierpieniach i przez kilka dni musiał pozostawać

w jamie, używając za pokarm surowego mięsa z niedźwiedzia. Nareszcie skrzepił się nieco, zebrał wszystkie siły i z wielkim trudem zdołał się wygramolić z nory przekłętej. Czołgając na brzuchu, dotarł do jaru utworzonego przez strumień, teraz już prawie wyschły. Tutaj ugasił pragnienie, pijąc wodę, co go niepospolicie orzeźwiło.

Włókł się potem z trudnością ogromną do drugiej kałuży tego strumienia, a zaspakajał głód rybkami drobnymi i żabami. Podczas tej wędrówki spostrzegł raz wśród preryi wilka który upolował jelenia i właśnie go pożerał.

Znekany człowiek wylaźł czempredziej na brzeg jaru, widokiem swoim spłoszył wilka i sam się położył obok zdobyczy.

Pozostawał tam przez czas jakiś, używając na mięsie, które mu w części powróciło siły. Wzmocniony, znowu powracał do jaru i, jak mógł, podążał z biegiem strumienia aż do miejsca, gdzie ów strumień wpadał w inny, większy.

I teraz również trzymał się biegu wody, dopóki nie przybył do rzeki będącej bezpośrednim dopływem Missouri. Znalazł na brzegu tej rzeki kłodę drzewa zwalonego, wyteżył siły, zepchnął kłodę do wody, wsiadł na nią okrakiem, jak na konia i popłynął z prądem.

Fale rzeki niosły go przez całą dobę i przyniosły do fortu Conneil-Bluffs, co na jego

szczęście nastąpiło w dzień biały, gdyż w razie przeciwnym mógł niepostrzeżony minąć ten posterunek nadzwyczajnie odludny.

Wysłano mu co żywo czółno na pomoc i przywieziono, raczej martwego, niż żywego, po tych przygodach dziwnych.

Oddany w ręce lekarza biegłego, powrócił z czasem do zdrowia i rany mu się zagoiły; ale utracił rękę i nogę, pozostał kaleką na całe życie.



DZIK.



1851

D z i k.

Dziki, albo świnię dziką, wyrządzają rolnikom szkody niemałe w polach i lasach, dlatego należą do zwierząt skwapliwie tępionych, tembardziej, że mięso ich stanowi pokarm smaczny.

W czasach dawniejszych polowano na dzika z oszczepem, a słabsze warchlaki zabijano kordelasem. Myśliwy nowożytny postępuje się tak zwaną naganką, lub używa psów sprawnych i poluje na tego zwierza tylko z bronią palną.

Do rzędu świń zaliczają się między innymi: mała świnka *pekari* w Ameryce południowej, *babirusa* na wyspie Celebes i niektórych małych wyspach Moluckich, *świnia brodawkowata*, istny potwór między świniami, mieszkanka Afryki.

Opisy polowania na nasze dziki przedstawiamy tu podług hr. Kazimierza Wodzickiego.

Polowanie odbyło się w Karpatach gali-

cyjskich, a dzień ten mam głęboko wryty w pamięci.

Straż leśna doniosła, że na uboczu góry stózkowatej jest niedźwiedź, który tam niezawodnie przebywa, gdyż go śledzono na każdej ponowie.

Zajęliśmy stanowisko przy grzbiecie góry wśród jodeł masztowych. Polecono nagance trąbić, krzyczeć, ile sił starczy, ażeby obudzić i wypłoszyć niedźwiedzia.

Druga po południu dochodziła, kiedyśmy dosłyszeli głosy naganiaczy tak daleko, jakby gdzieś za lasem.

Trwało to do czwartej i nic się nie zmieniło w kniei. Słońce rzucało na nas ostatnie promienie, zaczynało się chylić za góry; jodły ośnieżone zolbrzymiały, pokrywały się barwą żalobną, tło boru ciemne, ponure, wyglądało jak zimowy grób leśny.

Naraz słyszę rechtanie dzików i ów szmer dobrze znany myśliwym, pobudzający serce do bicia żywszego, wywołujący kurczowe ściśnienie gardła, drzenie w nogach.

Plama czarna ukazała się w oddaleniu znacznem na białej powłoce śniegu.

Ile tam było dzików, nie mogłem policzyć; ale dwa stada szły widocznie, jedno za drugim.

Jak tylko ta czerń zbliżyła się do mnie na jakie sto kroków, a na trzydzieści do mego

sąsiada, padł strzał... Właśnie sąsiad strzelił, i prawie jednocześnie dał się słyszeć kwik warchlaka.

Zamęt straszliwy powstał wśród owej rzeszy czarnej i rozległo się głośne rechtanie z świstem, szumem, jak gdyby burzy nadciągającej.

Stara samura, fuknąwszy rzuciła się na dym strzału, wciągała powietrze nozdrzami, a że nie dostrzegła zabójcy dziecka, obiegała wcał drzewo i ciągle fukała. Obiegła tak siedm lub ośm razy, potem podeszła do warchlaka zabitego, trąciła go, podniosła ryjem, jakgdyby chciała zbudzić do życia i znowu wróciła do jodły, gdzie mój sąsiad stał niby przyklepiony do drzewa.

Na jego szczęście, samura była widać pozbawiona wiatru, gdyż inaczej rozszarpałaby go w strzępy, tak strasznie się rozjuszyła.

Okrążała najprzód z wściekłością jodłę, potem obchodziła ją zwolna, stawiała, wietrzyła, a nie szła do żadnego innego drzewa.

Tymczasem druga samura zszeregowała warchlaki własne i dziatwę towarzyszki, stanęła na ich czele jak wódz wojska i poszła.

Zmrok nie dozwolił mi strzelać; wprawdzie rozpoznawałem dwa dziki ogromne i rój mniejszych, ale zaledwie mogłem rozróżnić ich zarysy.

Nareszcie po upływie jakich dziesięciu mi-

nut, rozwścieczona samura pobiegła do stada, które niebawem przeszło za linię myśliwych i skryło się w ciemnościach boru.

Zabójca warchlaka był w strasznem położeniu.

„Ani pięciu minut dłużej nie byłbym wytrzymał, — mówił — nogi się pode mną trzęsły, uginały; za chwilę upadłbym na ziemię i stał się pastwą wściekłej bestyi“.

Nadeszła noc, którą musieliśmy spędzić w lesie.

Pobudowano z choiny szałas, zastano je wewnątrz gałązkami jodeł, a w środku obozu rozniecono ogromne ognisko. Mieliśmy zapasy herbaty, bigosu, wędliny, usposobienie wesołe, wyobraźnię podnieconą przez wydarzenia dnia, przytem w żołądkach próżnię nadzwyczajną.

Czuliśmy się z początku, jak w raju; ale stan nasz pogarszał się z każdą chwilą, kiedy mróz szyć począł.

Noc piekielna, nigdy niezapomniana!

Przedemną: żar ogniska, za mną: mróz lodów podbiegunowych, ścinający szpik w kościach, a w górze: sklepienie niebios wyiskrzzone z gwiazdami i księżycem.

Drżałem jak w febrze, wstałem i odwróciłem się do ognia: miałem piekło z tyłu, a zimno dotkliwe z przodu.

Spojrzałem na zegarek, dziewiąta; ciarki

mię przeszły na myśl, że muszę tu jeszcze spędzić dziesięć godzin.

Poszedłem do innego szałasu, czyli koliby, jak tu mówią. Zupełnie inny obraz.

Strażnicy leśni i naganiacze leżeli w postaniu z choiny jak śledzie, spali spokojnie, trzymając w zębach fajeczki krótkie.

Mieli na głowach czapki lisie naszywane, odziani w kożuszki do kolan, w szarawary z płótna, a na nogach krypcie.

Spali jak zabici!

Całą noc łąziłem, kręciłem się po tym obozie. Nareszcie jodły zaczęły się wynurzać z ciemności czarnej, brzask rozjaśnił niebo gwiazdy zbladły.

Chwałaż Ci, Pani!

A było przy zupełnie cichem powietrzu siedmnaście stopni mrozu.

Cisza panowała jeszcze w naszej kolibie kiedy w drugiej już się rozlega wrzawa, gwary i krzątanie się około ognia: przygotowywano śniadanie. Polowaliśmy w mróz trzaskający i około południa padła samura waleczna.

Ale niebo wnet poczęło się chmurzyć a Huculi oświadczyli, że jeśli przyjdzie śnieżyca, to wszyscy poginiemy.

Zwinęliśmy przeto obóz i późno w nocy dotarliśmy do wioski.

W obwodzie Samborskim, w bagnistym

lesie Bielcza, wśród kępin wierzb czarnych, przeplatanych chmielem, zarosłych gęsto pokrzywami i trzcinami, zimowały liczne dziki. Miały one tutaj fortece niebezpieczne dla psów; dziki bowiem bez wysiłków szły przez gąszcze, podczas gdy kundysy, przyciśnięte do gęstych krzaków, musiały odbierać rany śmiertelne.

Straciłem w tych lasach kilkanaście psiarni; rzadko kiedy wracałem po polowaniu z psami.

Dziki miały tu inne zwyczaje, weksle, ruchy.

Częstokroć przy śniegu miękkim można tam polować na pomkniętego dzika, tak dotrzymywały w barłogach lub kopicach siana. Zdarzyło mi się dwa razy podejść i podjechać dzika na dziesięć kroków.

Kiedy raz szedłem bez psów za warchlakiem postrzelonym, odyniec pomknął przede mną jak zając; mogłem go zabić, ale poskoczył za gąszcz wierzb czarnej i zniknął mi z oczu.

Innym razem, gdy pędziłem na koniu dosyć hałaśliwie, z powodu twardej skorupy śniegu, najechałem na kopę siana.

Niebo mi się zaciemniło, koń skoczył ze mną do gąszczy, strzelba uderzyła mię w głowę, sznurki trąbki i zarękawka pomotały się, czapka zapadła mi na oczy, słowem, od jednego razu wszystkie nieszczęścia myśliwskie na mnie spadły. Rzuciłem z pod czapki wzrok nieśmiały na kopicę i spostrzegłem olbrzymiego odyńca,

pokrytego jeszcze sianem, kłapiącego zębami, tupiącego nogami, z ogonem skręconym w obwarzanek, z wejrzeniem srogim i fukaniem złowrogiem.

Bóg strzegł mię, będącego na łasce odyńca i w strachu ogromnym.

A więc zwierz tylko przeraził mnie i konia w stopniu najwyższym, poczem ruszył wolnym krokiem, strząsając siano z swego grzbietu wspaniałego.

Tego samego pamiętnego mi dnia, poszedłem do barłogu z trzema psami, śledząc tropy stada, i zanim zdołałem puścić tropowca, wyskoczyła stara samura, a z nią pięcioro warchlaków rosnących.

Stała, spoglądając na mnie groźnie poprzez młakę czarną.

Zaledwie zdołałem puścić jednego psa, kiedy łańcuch wiążący inne spętał mi nogi, a psiarczyk, usiłując mnie ratować, właśnie z nóg zwałił.

Psy powlokły mię nieco, a kiedym już narzeczcie powstał, ujrzałem z niemałym zdziwieniem, że samura najeżona stoi w tem samym miejscu i zacięcie broni dzieci przed napaścią psa mego.

Gąszcz nie pozwalał mi strzelać, należało najprzód wypędzić z forticy świnię rozjuszoną.

Więc puściłem psy, na które samura napadała bez najmniejszej trwogi, wracała do

warchląt, szeregowała je za sobą, zakrywała przed napaścią psów i znowu uderzała na kundysy.

W przystępie wściekłości chwyciła za nogę jednego psa, zadała mu cios tak dotkliwy, że straszliwie skowyczał, przybiegł do mnie na trzech nogach i już potem nie chciał być czynny.

Pysznie wyglądała ta samura za przezroczystą zasłoną chrustów.

Najeżona, z czubem na głowie, z pianą u ryja, z ogonkiem zakręconym, trzęsącym się, tupiała nogami, kłapała zębami, rzucała się pędem na psy, powracała do warchlaków, porządkowała je, rechtała, jakby udzielając przestrogi czy dodając otuchy.

Kiedym się już napatrzył do syta, postanowiłem wypowiedzieć walkę tej matce znakomitej. Począłem więc ostrożnie przedzierać się przez krzaki gęste wierzby czarnej.

Zbliżyłem się do zwierza na kilka kroków, ale gałęzie giętkie, gibkie, otaczały mię ze wszystkich stron i nie pozwoliły wystrzelić.

Dwa psy, zachęczone moją obecnością, skoczyły zajadle na samurę, która, pomimo tej napaści srogiej, rozumiała widać dobrze niebezpieczeństwo swego położenia i nie uderzyła teraz na psy: wpatrzyła się jadowicie we mnie i pędem skoczyła na młakę, gdzie stałem.

Młaka ta widocznie i dla niej była za gę-

sta, nie dawała się przebić: gałęzie gąszczu zatrzymały samurę o kilka stóp ode mnie.

Byłem bezsilny, bezbronny wobec dzika, rozjuszonego, nie mogąc strzelać.

Jednakże stan rzeczy zmienił się nareszcie. Samura, szarpana przez psy, wycofała się z krzaków, odgoniła kundysy, spędziła warchlaki w kupę, narechtała się z nimi i kłusem pognąła w las na czele dzieci.

I ja też wydrapałem się z owej młaki piekielnej, uspokoiłem rozigrane nerwy, krew wzburzoną i poszedłem za tropami.

Teraz szukała w ucieczce ocalenia swego i swych dzieci, pędziła szybko i głos psów już nie dochodził do moich uszu.

Ubiegłem z ćwierć mili, kiedy postyszałem muzykę pożądaną, i to w jednym miejscu, do którego też wkrótce dotarłem.

Samura stała w brzezynie młodej a rzadkiej, warchlaki kryły się za nią, a psy naszczekiwały z przodu.

Chciałem ubić jedno lub dwoje warchłat, więc obchodziłem wkoło rodzinę, ażeby strzelić do młodzieży. Matka, nie bacząc już wcale na dokuczające jej psy, nie spuszczała mię z oka i w miarę jak zachodziłem, ciągle się ku mnie zwracała, zakrywając warchlaki swem ciałem.

Powtórzyliśmy ten manewr dwa razy z je-dnakowym skutkiem i nareszcie musiałem ją zabić.

Zginęła, składając dowód prawdziwie macierzyńskiego poświęcenia.

Miałem w lasach swoich dwa odyńce olbrzymie, niepospolicie ostrożne, przebiegłe i odważne. Jeden z nich, prześladowany przez trzy zimy, zginął dopiero w czwartej, a wiele razy go tropiono, goniono, używając i psów i naganiaczy. Czujność, instynkt zwierzęcia dochodziły do tego stopnia, że z daleka rozpoznawał chód tropicieli i wcześniej się wymykał. Nie umiem powiedzieć co on tam za sztuki płatał psom; to jednak pewna, że psy moje, które zawsze odważnie trzymały odyńca, a wytrwale goniły stado, nie chciały iść za tym dzikiem, wracały z ogonami spuszczoneymi i żadna zachęta na nie nie działała.

W sąsiedztwie mieszkał stary leśniczy, wyjadacz, jak mówią, majster, który posiadał duże trzy ogary, sprowadzone z Węgier, wiatru doskonałego, odważne, rączne.

Raz na polowaniu leśniczy mówi:

„Niech pan te psy kupi! Czyste szatany, biorą nawet wilka, a są w trzeciem polu!”

Żądał za nie trzysta guldenów.

Trzy psy, Dunaj, Popraw, Śpiewka wybornie utrzymane, rosłe, o oczach, z których rozum tryskał i odwaga, stanowiły dla mnie dobrą pokusę.

— „Dobrze—rzekłem—jeżeli te psy osaczą

mego odyńca tak, że będę mógł dojść i strzelać, to je kupię“.

Stańto na tem, że leśniczy po pierwszej przyproszce przyjedzie do mnie z psami.

Ów odyniec prowadził zupełnie prawidłowy tryb życia: nawet gdy go nie ruszano, nie przebył nigdy trzeciej doby w moich lasach i znowu na dwie doby przechodził do lasów sąsiada, który, podobnie jak ja, polował nań dwie zimy bez skutku.

Po upływie tygodnia, zjawia się leśniczy o świcie. Gdym mu powiedział, że psy nie pognią tego odyńca, odrzekł z uśmiechem:

— „Jeszcze u nas nie było takiego!“

Ażeby nie płoszyć ostrożnego zwierza, poleciłem otropić go w dwóch miejscach.

Szczęśliwie trafiliśmy właśnie na jego pobyt w moim zrębie.

Ruszamy do lasu, a kiedyśmy stanęli na tropie, psy rwą się jak tygrysy.

— „Zrobię panu jeszcze jedno ustępstwo— rzekłem do leśniczego — nie pójdę za psami i możesz sam ubić dzika; a jak tylko pogoń się rozpocznie, ja stanę na granicy.

Obejrzał zamki, kapsle, owinął lufy chustką, dał psom po kawałku słoniny i zniknął w gąszczach.

Siedzę na koniu, czekam rozpoczęcia mu-

zyki, ale cicho i cicho, mija godzina, nic nie słyhać przy powietrzu bardzo spokojnem.

Nareszcie widzę leśniczego wracającego, a za nim psiarczyka i wszystkie trzy psy z ogonami spuszczoneymi, z wyrazem upokorzenia, wstydu. Stary splunął i mruknął:

„Tfu, czart, nie dzik! Sobaki jak wściekle pobiegły do barłogu i wróciły... Poszedłem za tropem z tysiąc kroków, szczułem, zachęcałem, na nic wszystko!“

Przeżegnał się, nie chciał już polować i odjechał z psami.

Ten dzik zginął dziwnie i niespodziewanie. Wyjechaliśmy byli we trzech z dwoma psami na zające. Przy wjeździe do lasu spotykamy strażnika, który powiada, że ów odyniec nazywany przez wszystkich dziaduniem, powrócił właśnie dziś rano. Pozwoliłem myśliwym rozstawić się według upodobania, a sam, wzięwszy psy, poszedłem za tropem w gąszcz zwarty.

Las był niewielki, jeno gęsto krzaczasty. Puściłem psa Śpiewaka, a sukę Mrówkę trzymam.

Śpiewak naszczekiwał, więc puszczam Mrówkę i co tchu gonię za nimi.

Widzę dzika, psy; ale gąszcz zaśnieżony przeszkadza mi do strzału.

Idę dalej i oto dzik olbrzymi posuwa się ku granicy, a ja ani krokiem nie mogę się zbliżyć do niego. Odyniec widocznie nie posiada

w tym dniu mocy czarodziejskiej, gdyż psy go-
niły go doskonale i doprowadziły do granicy,
gdzie rąbano sągi, i przeto zawrócił do legowiska.

Wnet potem usłyszałem strzał, a psy ucichły.

Pośpieszyłem na miejsce i widzę obraz
przerażający: dzik-okara, jak go nazywają chłó-
pi, leży powalony, szarpany przez psy, a obok
niego, o stopę od ryja, mój ulubiony preperator
bez życia, trupio blady.

Rzucam strzelbę, rozrywam ubranie na czło-
wieku, szukam tętna serca, biorę śnieg, nacieram
serce, głowę, żołądek: nie mogę się dotrzeć życia

Rozpacz mię ogarnia, ronię łzy, wołam,
proszę, trup milczy.

W takim podrażnieniu gorączkowym, roz-
rzymam kożuch, przewiązuje silnie rękę powyżej
łokcia i w chwili, kiedy ręką drżącą naciskam
żyłę, usiłuję puścić krew, martwiec otwiera oczy
i pyta:

„Co pan robi?”

Była to najrozkoszniejsza dla mnie chwila
w całym moim zawodzie myśliwskim i dziś je-
szcze wspominam ją z rozczuleniem.

Cóż się stało?

Oto odyniec, widząc myśliwego, rzucił się
nań zapalczywie.

A że myśliwy w gąszczach nie mógł się
cofnąć, więc wsadził kule między oczy dzika.

Potwór natychmiast upadł, ryjem przewró-

cił swego zabójcę, który w tejże chwili dostał bicia serca i zasnął w omdleniu ciężkiem.

Inny, podobny do tego dzik, rozmiarów olbrzymich, rozumu godnego podziwienia, ostrożności niezwykłej i odwagi wielkiej, zginął z mojej ręki.

Jednego dnia w styczniu 1854 r., odyniec ten obległ w jarze głębokim.

Rozstawiliśmy konie po czterech stronach legowiska aby mu przeciąć drogę; o dopędzeniu go piechotą nie było mowy, zwłaszcza, że zwierz znał doskonale wszystkie przesmyki, przejścia.

Poszedłem w tropy, prowadząc konia. Kiedy się wdrapywałem pod brzeg już drugiego jaru, jeden z koni zarżał i w tej chwili trąca mię mój służący, pokazuje odyńca uchodzącego szybkim krokiem.

Poleciłem, aby puszczono psy, które się rwały na widok odyńca pomykającego; sam zaś, zmiarkowawszy, że zanim dosiędę konia, dzik już daleko ujdzie, pobiegłem żwawo za tropem.

Zaledwie wydostałem się na górę i uszedłem kilkaset kroków, ujrzałem przed sobą obraz zajmujący. Dzik, widać zmęczony dnia tego, nie miał coś ochoty do biegu, ale, ufny w odwagę i swe szable połyskujące, przystanął.

Oparł zad o pień buku odwiecznego, usiadł, kłapał głośno zębami i zanim przypuścił atak

do któregoś z psów, długo się weń wpatrywał a głównie napadał na jednego.

Szczęście mu nie sprzyjało, psy były zdrowe.

Las odwieczny, staropienny, nie miał żadnego podszycia, więc widziałem wybornie odyńca, a i on też często na mnie spoglądał, jednak wcale się na mnie nie rzucał. Kilkanaście minut tak upłynęło.

Nareszcie dzik rusza ku mnie krokiem wolnym, wstrząsając ogonkiem skręconym w obwarzanek i nie spuszczając mnie z oka. Że nie strzeliłem, to nie przez zbytek cierpliwości: psy mi nie dozwoliły strzału. Wprawdzie stałem wśród lasu, lecz na linii i opodał drzew; sam zaś nie wiem, dlaczego się nie ukryłem przed potworem.

Można było przepowiedzieć koniec smutny mnie, albo jemu. Przybliżył się na dwadzieścia kroków, kłapnął; wtedy strzeliłem, a odyniec w podskoku chciał przesadzić pniak wysoki i pozostał na nim martwy.

Różni ludzie, jeszcze żyjący, pamiętają widok przykry kiszek pobereźnika Iwana, zawieszonych na konarze buku pochyło rosnącego w lesie Polanicy.

Na tego strzelca nieszczęśliwego wyszedł był niespodziewanie z gąszczu odyniec i zanim człowiek mógł zmierzyć, wystrzelić, zwierz już

go powalił na ziemię i rozpruł brzuch jednym cięciem.

Znano także zuchwałego i odważnego dzika w Karpatach węgierskich, niedaleko Koszyc.

Nieraz polowałem na niego z psami, zawsze bez skutku; naganiacze zaś w tym obrębie myśliwskim bali się stawać do obławy.

Opowiadano, że jak tylko zoczył człowieka, natychmiast się nań rzucał, napadał nawet pasterzy w lesie, baby zbierające grzyby i jagody.

Podobno dla psów niebardzo bywał groźny i kiedy je odpędzał, zaraz szukał strzelca, jakby w przeświadczeniu, że ten jest wróg główny. Polowałem przez sześć lat w owych lasach dziewiczych często i na tego napastnika, nigdy jednakże nie strzelano do niego i nie dowiedziałem się nawet, czy też przyszła kreska na Matyska.

Lasy te i to polowanie dzikie z odrębnymi zwyczajami są godne opisu. Góry stykające się z obłokami, jar na jarze, piętrzące się łomy drzewa odwieczne, przygniatające cieniem inne rośliny, gąszcze ogromne, cisza grobowa, oto obraz owej puszczy, która nastraja duszę do marzeń smętnych.

Nie było dla nas granic w tych lasach i nikomu na myśl nie przyszło pytać o właściciela.

Trąbka zgromadzała nas, a wyborni prze-

wodnicy kierowali nami. Nieszczęśliwy, kto bez zapasów żywności puścił się w tamte strony.

Musiał zaspakajać głód słoniną, pić gorzałkę, którą największy pijak u nas pogardzałby, a przy obiedzie, oblewać potrawy winem tegorocznem, przeznaczonem raczej z natury swej do sałaty.

Jadałem tam jaja sadzone, rozpuszczone w czekoladzie, kury z sosem szodowym bijącym do nosa. Te potrawy będą mi pamiętne do śmierci.

Dwaj bracia S., u których bawiłem, dziedziczyli po ojcu: każdy posiadał kilkadziesiąt mórg pola lichego i nieco łąk, a kilka tysięcy mórg górskiego lasu liściastego, niedającego dochodu. Bracia rozmawiali z sobą wyłącznie po łacinie. Jeden z nich posiadał trójkę psów znakomitych, a obaj byli myśliwi zawołani, trawiący w lasach połowę roku.

Suczka Fiołka była tak pokiereszowana przez dziki, że na całym ciele dawały się widzieć szew na szwie, wałek na wałku.

To jednakże nie zniechęcało i nie odstręczało weteranki do polowania. Zalecano mi, abym, kiedy postyszę głos jej, śpieszył na miejsce, gdyż napewno spotkam się z dzikiem. Suczka ta chuda, mała, odznaczała się zręcznością w przytrzymywaniu dzika, którego zawsze napadała od tyłu.

Do kółka myśliwskiego należała osobistość bardzo oryginalna, niejaki Bela, pisarczyk, leśniczy i karbowy zarazem.

Mały, barczysty, zarośnięty, z włosami kędzierzawymi kruczymi, śniady, czoła niskiego, z dużymi ustami, z brzuszkiem wypiętym na krzywych nogach. Nosił krypcie, spodnie z sukna białego, wyszywane bawełną czarną, kurtkę podszytą kożuchem, na szyi chustkę grubą barwistą, na głowie siwą czapkę baranią. Zawieszał na ramieniu lewem strzelbinę krótką z dużym wylotem, którejby nie oddał był za królestwo; nosił w prawej ręce kij, przepasywał ciało rzemieniem, a torba borsucza i trąbka z rogu wołowego dopełniały rynsztunku. Bela był tropicielem najznakomitszym, jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu, podkładał psy po mistrzowsku, poprawiał i zachęcał, sam wcale nie chciwy strzału, uczynny dla innych.

Układał psy doskonale; można było przysiąc, że puszczone na dzika nie pójda za innym zwierzem, jakkolwiek z tymiż pieskami polowano na lisy, zające, sarny.

Atoli ten pół-cygan, pół-węgier miał wadę pijaństwa nałogowego.

Bracia S. twierdzili, że nie trzeźwieje przez całą zimę, a dopiero w lecie wcale już nie pije wódki. Żeby ocenić talent owego tropiciela i jego siłę olbrzymią, trzeba znać tamte góry,

przemierzyć myślą przestrzenie, które przerażają każdego obcego myśliwego.

Bela wychodził przededniem, obtropił dwie, trzy góry i stawiał się zawsze na punkcie zbornym w godzinie oznaczonej; potem zabierał psy, szedł do barłogu i czasem do wieczora prześladował dziki. Przyłgnałem do niego jak dziecko do niańki. Moja wódka nie smakowała mu zrazu, krzywił się, gdyż nie piekła, nie miała woni śmierdziuchy; później przywykł do niej i chadzaliśmy zawsze razem, a ile razy dzik ruszył, Bela nigdy nie strzelił przede mną.

Miałem z nim biedę, gdyż mówił językiem niezrozumiałym dla mnie; więc wyuczyliśmy się wzajemnie wyrazów najpotrzebniejszych na polowaniu i to nam już wystarczało.

Obawiałem się tylko, czy Bela kiedy nie padnie z pijaństwa, gdyż wtedy nie zdołałbym wybrnąć z tych lasów bez granic. Na świeżej ponowie obtropiłem raz kilkanaście dzików.

Puszczono psy i Fiołka, wbrew swemu zwyczajowi, pogoniła warchlaka i przeto pociągnęła inne psy za sobą.

Warchlak zginął z mojej ręki.

Niebawem postyszeliśmy piskliwy głos suczki na uboczu i podążyliśmy w tym kierunku.

Dziki coś nie chciały chodzić, strzały i pogoń wcale ich nie przerażały.

Stanęły na uboczu, a każdy z nich zarysował swą postać na tle śnieżnem.

Było sztuk piętnaście, z tych siedm dużych i odyniec, nieco bliżej nas przez psy napadnięty; ruchliwy, zręczny, odganiał napastników z szybkością godną podziwu. Widzieliśmy jak psy przewracał, słyszeliśmy ich skomlenia.

Kiedym spostrzegł niebezpieczeństwo, nabijam strzelbę, a Bela wskazuje na dzika.

Zrozumiał mię, oczy mu się zaiskrzyły, uśmiechnął się, splunął po tytoniu żutym w ustach, kiwnął głową i podchmielony ruszył na odyńca.

Teraz dzik, otoczony przez psy z Fiołką dokuczliwą na jego tyłach, zaczął mamlać ryjem, toczyć pianę, tupać nogami coraz niecierpliwiej i nareszcie całym pędem uderzył na Belę. Bela jak ryś odskoczył na kilka kroków, wypuścił dzika za siebie, strzelił. Odyniec, kółując, zwałił się do wody bez życia.

Uściskałem nieustraszonego strzelca, chociaż nie rozumiałem dobrze, czy to była odwaga jego, czy gorzałka.

Wysączyliśmy manierkę do dna i ta wódka dobiła już Belę.

Towarzysz mój, rozogniony teraz, zapalił sobie cygaro i głosem ochrypłym, z mimiką gwałtowną począł coś wykladać, wskazując już

na górę, już na psy, na siebie, czego nic a nic nie mogłem zrozumieć.

Dopiero bracia S. nadeszli, wysłuchali mowy Bela i oświadczyli, że należy iść za stadem dzików, które z pewnością stanęło na górze za pasieką. Jeszcze poszwargotali między sobą, potem Bela zabrał psy i zniknął nam z oczu; my zaś poczęliśmy się mozolnie wdrapywać pod górę zaśnieżoną.

Podczas tego pochodu dowiedziałem się, że Bela obejdzie całą górę, puści psy z parowu i napędzi na nas dziki.

Kiedyśmy stanęli na szczycie i zaczęli schodzić po ścianie dosyć spadzistej, światło dzienne już się mroczyło. Mieliśmy pod stopami strumyk, osłonięty wikliną, dalej łączkę, w oddaleniu lasy czarne, okiem nieprzejrzone na górach stożkowatych, a cały krajobraz odznaczał się na tle różowem zachodzącego słońca. Zachwycony widokiem, sięgałem myślą w przeszłość daleką tej pustyni leśnej. Wtem jeden z braci S. ciągnie mię za rękaw i mówi:

„Fiołka gonil“

Rozbiegliśmy się wszyscy, podążając ku strumykowi, przez który dziki miały się przeprawić. Spojrzałem na pagórek, wznoszący się przed nami, i widziałem, jak Bela, zataczając się, ku psom zmierza.

Wnosiłem z ujadania psów o bliskości dzi-

ków, a przeto trudno było nawoływaniem zwracać strzelca pijanego. Milczałem i inni milczeli, wyczekując na posuwające się dziki. Bela, jak tylko spostrzegł, że stado opuszcza krzaki, stanął nieruchomy na zupełnie pewnych nogach. Przypuścił pędzące dziki na dwadzieścia kroków, powalił dwoma wystrzałami dwie ogromne sztuki, przewrócił się na wznak, a cała gromada zwierząt przebiegła przez jego ciało.

Strach nas ogarnął, zapomnieliśmy o dzikach, pędzimy do zabitego, jak mniemaliśmy, Beli, który nie daje znaku życia.

Zbliżamy się w niepokoju i słyszemy sapanie ogromne.

Oglądamy go dokładnie, przekonywamy się, że pijak jest zdrów, tylko plamy czerwone od racic dzików pozostały mu na ciele.

Po tym dniu pamiętnym opuściłem już góry.



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Wstęp	5
Lew	9
Jaguar	40
Tygrys	51
Słoń	68
Hipopotam	88
Nosorożec	99
Krokodyl	114
Strus	126
Goryl	137
Bizon	154
Niedźwiedź biały	162
Niedźwiedź brunatny	172
Niedźwiedź szary	184
Dzik	193

**INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-920 Warszawa

tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F
680